

KWARTALNIK
KLASYCZNY
1928. II. 1.



NAKŁADEM POLSKIEGO TOWARZYSTWA FILOLOGICZNEGO

SPIS RZECZY

I DYDAKTYKA :

Eitrem S., Gimnazjum norweskie w ostatniem trzydziestoleciu	1
Zieliński T., O czytaniu mów sądowych Cycerona w szkole	13
Pilch St., Nowsza metoda nauczania języków klasycznych	32
Auerbach M., Rola gramatyki łacińskiej w gimnazjum	39
Ganszyniec R., O pisownię imion greckich i rzymskich	44

II SPRAWOZDANIA :

Kowalski J., Polskie Towarzystwo Filologiczne w sprawie Projektu Ustawy o ustroju szkolnictwa	45
Kowalski J., Wymowa ruin	58

III BIBLIOGRAFJA :

Streszczenia i oceny podali: Blatt, Fr. Smolka, T. Zieliński	93
--	----

IV KRONIKA

Ganszyniec R., Rok filologiczny w Polsce (I)	99
Rapaport A., Przegląd książek szkolnych za r. 1927	103
Pilch St., Sprawozdanie Sekcji Filol. Koła Lwowskiego TNSW	110

NA OKŁADCE : STAROATTYCKA BOGINI

W roku 1925 wykupiło Muzeum berlińskie z rąk prywatnych jedyny do dziś doskonale zachowany, oryginalny okaz greckiej produkcji artystycznej z pierwszych lat VI w. prz. Chr. 1'95 m wysoka rzeźba przedstawia postać sztywno stojącej kobiety z koroną na bogatej masie stylizowanych włosów, ujętych w węzeł z tyłu głowy. Długi joński chiton i szal przerzucony na ramionach spowijają silną budowę rozrośniętego w ramionach ciała. Lewa ręka zgięta w łokciu spoczywa na piersi, przyczem kciuk ukryty jest pod fałdami szala. Poniżej, prawa zaciśnięta dłoń dzierży jabłko granatu. U dołu widoczne nagie stopy w sandałach. Kulczyki, naszyjnik z pączków i spiralna branzoleta na lewem ramieniu, dopełniają stroju kobiecego. Wartość starożytniczą zabytku podnosi bogata polichromja zarówno szat (wzory meandru), jak i pozostałych ozdób (kwiaty granatu na koronie). Włosy posiadają odcień żółty (blond); w innych częściach przeważa czerwień i barwa niebieska. Trudno odgadnąć znaczenie postaci. Wilamowitz pragnie w niej widzieć archaiczną Afrodytę — inni (Wiegand) doszukują się tu przedstawienia Kory; atrybut zaś w postaci jabłka granatu przemawia zarówno za jednym, jak i za drugim sposobem tłumaczenia i pozostawia jeszcze możliwość uważania zabytku za posąg wotywny lub zwykłą rzeźbę nagrobkową. Zarówno materiał — jednolity blok marmuru z Hymettos — jak i strona stylistyczna posągu przenoszą nas w sferę młodej sztuki attyckiej, na której powstanie złożyły się silne w początkach wpływy konstruktywizmu szkół peloponeskich i podkład rasowy jońskiej tendencji do naturalizmu. Tej idei odpowiada surowa stylizacja szat, zbliżona do schematu kanelurów kolumny doryckiej, obok drobiazgowego opracowania szczegółów morfologicznych, jak palce u stóp, paznokcie itd. W klasyfikacji faktów artystycznych uzupełnia bogini berlińska szereg fragmentów posągów kobiecych znalezionych już dawniej na Akropoli ateńskiej (obecnie w Muzeum Narodowym w Atenach). Archaiczny uśmiech tych postaci, tak różny od uśmiechu Mony Lizy, nadaje sztuce tego okresu piętno swoistego wyrazu.

K. M.

DYDAKTYKA



404710

II 2 (1928)

Biblioteka Jagiellońska



1003239127

SAMUEL EITREM

GIMNAZJUM NORWESKIE W OSTATNIEM TRZYDZIESTOLECIU

Quidquid delirant reges, plectuntur Achivi.

HORACY

I

Walkę o gimnazjum prowadzono w Norwegii w ostatnich latach w tym samym mniejwięcej duchu, co w reszcie Europy cywilizowanej. Humanizm—realizm, entuzjazm dla starożytności — nowoczesny empiryzm, szkoła zawodowa dla uczonych i urzędników — szkoła ogólnokształcąca: oto hasła obozów walczących także w Norwegii.

Do tych zaś hasel przyłączył się szczególny czynnik narodowy. Rozwój polityczny Norwegii w ostatnich 150 latach, najpierw oddzielenie się od Danii, potem — mniej doniosłe — od Szwecji, miało zasadnicze znaczenie dla zagadnienia szkolnictwa, zwłaszcza średniego. Na pierwszy rzut oka wyda się to dziwnem: jednak odpowiedź na to prosta. W Europie zachodniej chodzi zwykle o antagonizm konserwatyzmu i liberalizmu; w Norwegii zaś przyłącza się do tego naturalnego przeciwieństwa politycznego zagadnienie specjalnie norweskie: mianowicie jak się oswobodzić od przemożnego wpływu duńskiego, widocznego przedewszystkiem w naszym języku, potem w całym aparacie administracyjnym, wreszcie w cywilizacji: niezwykle silny wpływ ten objawia się także w pojmowaniu swego zadania przez wyższych urzędników oraz kupiectwo. Walkę tę zaostrza entuzjazm dla naszej przeszłości, dla prastarego języka norweskiego, dla bezcennych sag, wreszcie dążność do nowej autonomji narodowej pod hasłem: „Norwegja dla Norwegów!“ Chcemy bowiem nie tylko politycznie stać na własnych nogach, chcemy także być niezależni od obcych wpływów kulturalnych, o ile to tylko możliwe. A ponieważ dawna szkoła łacińska wy-

tresowywała urzędników, tak strasznie z czasem zduńczonych i tworzących niby rodzaj kasty panującej, to w rozumieniu wielu Norwegów liberalnych także dawna szkoła ponosi w wysokim stopniu winę za zastój narodu.

Tak więc dzieje tej walki o szkołę stają się rozdziałem dziejów społecznych i politycznych narodu, w Norwegji jeszcze więcej niż gdzieindziej. Mimo to mogą one wzbudzić szczególniejsze zaciekawienie u innych narodów europejskich, ponieważ mała Norwegja — zawsze tak radykalnie, a równocześnie tak zachowawczo usposobiona — pojmowała często z dziwną skrajnością prądy europejskie i starała się przytem iść własnymi drogami: p e d a g o g i c z n e więc znaczenie rzutu oka na to jest niemałe.

Ostatnie trzydziestolecie naszego szkolnictwa średniego jest naturalnie tylko wycinkiem z kart z całego rozwoju. W lecie bowiem r. 1896 storting (sejm) norweski uchwalił zakaz nauczania greki i łaciny w szkołach średnich. Udało się jednak ówczesnemu ministrowi oświaty, walczącemu bezskutecznie o „językowo-historyczny program z łaciną“, przymusić do owego zgubnego paragrafu maleńką nowelę: *Wolno królowi za zgodą stortingu pozwalać na naukę łaciny pojedynczym gimnazjum aż do odwołania*. O grece niema tu mowy. Oto w ten sposób wkradła się łacina pocichutko tylnymi schodami do szkoły — by się potem w niej rozgościć. Zobaczymy zaraz, że i greka prawie w ten sam sposób dość niespodzianie wejdzie do szkoły. A do dziś dnia oba języki, których zniknięcie przepowiadano, które uroczyście skazano na śmierć, pozostały w szkole, chociaż weszły tylnymi zaledwie schodami.

II

Żeby zrozumieć uchwałę z r. 1896, musimy rzucić okiem wstecz na poprzedzający ją rozwój zagadnienia szkolnego. Wiadomo bowiem, że i dzisiejsza dyskusja o programie gimnazjalnym w Norwegji, jak i gdzieindziej, obraca się około tych samych zawsze myśli zasadniczych, które podnoszono już wiek temu za lub przeciw językom klasycznym. Oczywiście nie tu miejsce, by uwzględniać dokładniej czynniki, krzyżujące się wzajemnie: jak względy ekonomiczne, wymagające w kraju tak słabo i rzadko zaludnionym, jak Norwegja, uproszczenia i skoncentrowania nauki do granic niezbędnych i ekonomicznie zgodnych, dalej zdumiewający rozwój techniki, tak ważnej dla naszego tworzącego się przemysłu i skłaniającej do bifurkacji nauki w stadium jaknajwcześniejszem; potem świetny rozrost nauk przyrodniczych, zapalających swemi cudami i wprost bajecznymi odkryciami także wyobraźnię pedagoga, wskazujących w swym ewolucjonizmie nawet idealistów-wychowawcy mocny, głęboko etyczny grunt; wreszcie

wielki pożytek praktyczny dokładnej znajomości języków kulturalnych z bogactwem ich piśmiennictwem, znajomości niezbędnej dla członka małego narodu, zwłaszcza przy wzrastającej stale komunikacji. Liczmy do tego jeszcze metodę imitatywną, wypróbowaną dla języków nowoczesnych, oraz zdobycze fonetyki i analizę języka potocznego — na tem polu duży wpływ wywarł znakomity filolog i fonetyk norweski Johan Storm. O narodowej stronie tego zagadnienia, mianowicie o spotęgowaniu ducha norweskiego, wspomnieliśmy już poprzednio. Już w r. 1831, wkrótce po rewolucji lipcowej, wybitny profesor uniwersytetu, jeden z wielkich kierowników naszej polityki w połowie zeszłego stulecia, wypowiedział to zdanie, że należy skreślić języki klasyczne z programu gimnazjalnego, a oprzeć wychowanie na naukach przyrodniczych i językach nowoczesnych. Na to odpowiedziano mu zaraz trafnie, że ten, kto uważa za właściwy przedmiot programu gimnazjalnego jedynie to co pożyteczne, zupełnie nie liczy się z młodzieżą, żądną wartości idealnych i treningu intelektualnego, który nadaje jej myślom stałą strukturę i jest niezbędny we wszystkich okolicznościach życiowych: kto zapoznaje to wszystko, nie może dyskutować o zagadnieniach pedagogicznych. Ale już wtedy liberalizm polityczny sprzymierzył się z niezyczliwością reformatorów szkolnictwa: przewyciężywszy ideały „martwe“, języki klasyczne, zwycięzcy sami chcieli rozporządzać gimnazjami i skierowywać wychowanie „nowoczesnego człowieka kulturalnego“ jedynie do tego, co bezpośrednio „pożyteczne“. Życie dzisiejsze wydawało się tak bogate, że zdaniem tych reformatorów nie było ni czasu ni miejsca dla tego, co przewyciężone, dla przeszłości wyczytanej i wymłóconej. To polityczne przymierze stało się dla rozwoju gimnazjum klasycznego fatalnem dzięki temu, że hasła skondensowały się do doktrynerstwa z osobnym programem, zagrażającego każdej spokojnej dyskusji o tem, co dla młodzieży najwięcej pożyteczne, i o tysiącznych drogach, wiodących do urzeczywistnienia tego celu.

Doskonały pedagog, stary, doświadczony nauczyciel Hartvig Nissen, wybitny administrator i umysł twórczy, wziął się do tej sprawy. Jak znany filolog duński Madvig, sądził i on, że należy najpierw zacząć od języka nowoczesnego, by na dalszym stopniu nauki można było dodać język bardziej obcy: szkoła powinna według niego wyrobić u uczniów wiedzę encyklopedyczną oraz wszechstronną kulturę (*humanitas*); końcowy jego plan z r. 1845 przewiduje 6-letnie gimnazjum, przygotowujące do studjów uniwersyteckich, 4-letnie gimnazjum realne (z matematyką, przyrodą, językiem angielskim), przygotowujące do życia praktycznego i do szkół zawodowych. Ostateczna ustawa z r. 1857 zastąpiła przedewszystkiem pisanie zadań po łacinie tłumaczeniem z łaciny na norweskie

i wprowadziła jako przedmiot nadobowiązkowy angielskie — Anglja bowiem, niezbędna nam ekonomicznie, od dawien dawna budziła u większości Norwegów zaciekawienie, sympatję i podziw największy. Gdy później przedmioty realne zupełnie się usamodzielnily obok łaciny, coraz głośniej podnoszono hasło, że gimnazjum powinno być „ogólnokształcące”, a nietylko dawać przygotowanie do uniwersytetu. Ustawa z r. 1869, obowiązująca do r. 1896, ostatecznie skreśliła język hebrajski — przeżytek przedawnionej „szkoły uczonych” — jako przedmiot nadobowiązkowy, ograniczyła łacinę do 3 klas gimnazjum po 11-10-10 godzin tygodniowo, grekę po 7-7-7 godzin. Obok nich były języki norweski i staronorweski po 4-4-4 godz., język francuski po 2-2-2 godz., historia (starożytna, norweska i północna, potem dzieje jakiegoś większego narodu kulturalnego — obierano zwykle Francję) po 2-3-3 godz., matematyka (arytmetyka, trygonometria i stereometria) po 3-3-2 godz.; dla religii przeznaczono po 1-1-2 godz. — można było tu w ostatnim roku przeczytać jedną ewangelję w oryginale greckim. Obok tego ustawa ta przewidywała gimnazjum realne — ale to nas tu nic nie obchodzi.

III

Takie rozwiązanie zagadnienia szkolnego jednak nie podołało się reformatorom. Zaledwie po 27 latach rzucono tę ustawę znowu do szmelcu celem przetopienia jej na nową. Jakie niezadowolenie, jaką wprost nienawiść budziło gimnazjum klasyczne, można doskonale wyczuwać z romansu *Trucizna*, pióra sławnego nowelisty norweskiego Aleksandra Kiellanda. Biedny chłopak Marius, ofiara swej pilności i gramatyki Madviga, ma po myśli autora charakteryzować cały ten system pełen kłamstwa i gnilizny, noszący w sobie zarodek rozkładu i śmierci. Według zdania Kiellanda wychowanie klasyczne, uważane i podziwiane przez poprzednie pokolenia jako coś wspaniałego, spoczywało na fundamencie zgniłym i zepsutym: zabijało świeżość życiową w duszy młodzieży, pustkę wewnętrzną swych zwolenników wydymało w bańkę mydlaną. Wykuwanie słówek, rozbiór gramatyczny zdań, obcość i spleśniałość historii starożytnej, jej przewrotów, bohaterów, hasła i ideałów, jej nauczycieli — wszystko to przedstawił autor z świetnym dowcipem, wydrwił w jadowitych wycieczkach. Wprawdzie Kielland nie szczędzi swej sympatii dla starego znakomitego dyrektora (znałem go osobiście i wdzięcznie wspominał jako mego nauczyciela) — ale zdolny, bystry i złośliwy syn bogatego armatora i kupca nienawidził śmiertelnie gimnazjum łacińskiego i razem z niem także cywilizacji rzymskiej i z fatalną a głupią konsekwencją także greckiej: cały wdzięk, cały urok nader bogatego talentu służy Kiellandowi tylko do odstonięcia brzydoty nienawidzonego

bałwana. Ani małomieszczański nauczyciel ludowy ani europejczyk Kielland nie mogli zdaje się spostrzec, że łacina może posiadać głębsze znaczenie.

Charakteryzowałem dokładniej Kiellanda, ponieważ on to niezrównanie zaostrzył nienawiść ku szkole łacińskiej i ponieważ jego romans wywarł olbrzymi wpływ nie tylko w Norwegji, lecz wszędzie na Północy, i może nawet dalej: widać to już z haseł, przejętych z niego i powtarzanych podczas dyskusyj w gazetach i w stortingu — odtąd gimnazjum klasyczne według zdania wielu stało się nie tylko niemożliwe, lecz wprost śmieszne. Teraz czytamy jego dzieło już nie z tą samą przyjemnością, co starsze pokolenie: każdy czytelnik, zastanawiający się trochę, spostrzega odrazu błędy jego polemiki przeciw kulturze, odrazu widzi też schematyczność i sztuczność jego konstrukcji romansowej, techniki nowelistycznej. Jednak napad był śmiały i rycerski — chętnie przyklaskujemy temu, kto eleganckim pchnięciem floretu obali majestat kłamiwy i despotyczny.

IV

W dyskusji o zagadnieniu szkolnem, prowadzonej dalej w 70-tych i 80-tych latach, biorą udział rozmaite osoby, powołane i niepowołane, politycy, pedagogowie, publicyści, poeci, profesorowie: nawet kobiety zabierały głos, chodziło bowiem o zaokrąglenie wychowania dziewcząt w szkołach wyższych; kobiety naturalnie nie żywiły dużo sympatji czy też nie miały zrozumienia dla gimnazjum klasycznego, bo „oswobodzenie kobiety“ jest zdobyczą nowszych czasów, mało dbających o to, że już starożytne Ateny znały jakąś *école des femmes* Aristofanesa.

Jeśli kto sobie zada trud i przeczyta sprawozdania z posiedzeń stortingu, zauważy, że najzjadliwsze ataki przeciw gimnazjum klasycznemu wyszły z kół teologów i filologów, zwłaszcza klasycznych. Namietność, jaką przybierały publiczne dyskusje, poznać można po jednym szczególe: wybitny polityk liberalny, kierownik wszechnicy ludowej i zasłużony w swej młodości tłumacz Ammiana Marcelina na język norweski, oświadczył, że woli widzieć w ręku swego syna policyjnie zakazany utwór *Albertine* znanego artysty Christiana Krogha, aniżeli *Ody* Horacego (zresztą syn jego odznaczył się w ostatnich czasach jako wybitny latynista). Ktoś inny zaś, dyrektor gimnazjum położonego najdalej na północy Norwegji, powiedział w ankiecie, że tylko „nowoczesne elementy wychowawcze“, a nie „klasyczne studia językowe“ powinny panować w wyższem szkolnictwie: że piśmiennictwo łacińskie, jako wtórny twór, posiada też znaczenie drugorzędne, podczas gdy w wielkich literaturach nowoczesnych myśl grecka jest *dalej rozwinięta* (pewnie rozumiał też: podniesiona na wyższy

stopień aniżeli u Rzymian) i przytem wzbogacona dorobkiem samodzielną treści: terazniejszość należy do młodzieży, młodzież do terazniejszości! Jednak i on zostawił tymczasowo łacinę jako przedmiot nadobowiązkowy w dwóch ostatnich latach gimnazjum. Jeden członek powołanej do życia przez rząd Komisji (1889—1894), mający jeszcze horyzont najszerzy (zresztą filolog klasyczny i wybitny pedagog), chciał wyzwoić „szkołę średnią“ (odpowiadającą niemieckim klasom *Sexta-Unterssekunda*, polskim kl. I—VI) od łaciny i zostawić języki klasyczne tylko dla 3 lat „gimnazjum“ do wyboru: w samym zaś gimnazjum przeciwstawił on język francuski grece, by nie obciążać zbytnio programu gimnazjalnego. On też podkreślił, że gimnazjum jest w pewnej mierze „szkołą zawodową“, przygotowującą do studjów uniwersyteckich i że ze względu na to można udzielać nauki elementarnej języków, aby później na uniwersytecie rozszerzyć ją do historyczno-literackiego studjum kultury. Większość gimnazjów norweskich zrzekła się wprost języków klasycznych, uniwersytet zaś (z wyjątkiem wydziału matematyczno - przyrodniczego, broniącego naturalnie gimnazjum realnego) zastrzegł się przeciw wszelakim ograniczeniom studjów humanistycznych: jednak wydział historyczno-filozoficzny ustąpił o tyle, że zgodził się na dwa typy: na typ czysto klasyczny (z greką) jak i na typ tylko łaciński (bez greki).

V

W całej tej dyskusji, prowadzonej w stortingu i poza stortingiem, widać zresztą wyraźnie, że zdania grupowały się według przynależności do partji politycznych: konserwatysta — to obrońca łaciny, liberał zaś — wróg łaciny (nacionaliści chcą pozatem mnożyć ilość godzin nauki norweskiego i staronorweskiego, moderniści zaś uczynić jakiś język i cywilizację nowoczesną ośrodkiem nauki gimnazjalnej). Rzadko kiedy jest mowa o głębszych wartościach lub zasadnicza dyskusja o wartościach wychowawczych kultury klasycznej, o możliwości uprzystępnienia ich dla młodzieży: stąd powstaje często wrażenie, że cała ta walka jest raczej symptomatyczno-norweska, aniżeli typowo-nowoczesna, jak to już wypowiedziałem na wstępie.

Mimo to może skorzystać z tej dyskusji każdy filolog, troszczący się o rolę języków klasycznych w wychowaniu szkolnem.

Dlaczego szkoła klasyczna zostawiła tak mało sympatji u swoich wychowanków? Osobiste ich oświadczenia wyglądają prawie na wyznania neofity Armji Zbawienia. Odpowiedź na to rzeczywiście nie jest trudna: winę tu ponosi samo nauczanie, sam nauczyciel, a nie przedmiot nauki. Nauczyciel zaś był takim, jakim go wydała wszechnica. Jeśli kto zawdzięcza łacinie i grece nie więcej aniżeli kilka słówek i może jeszcze kilka przysłów, wykutyh w wielkim znoju, to natu-

ralnie patrzy z grozą i wstrętem na piękne lata młodości, zmarnowane na to. Dawniej, kiedy to urzędnik z fachowym swym wykształceniem uniwersyteckiem przedstawiał szczebel hierarchji społecznej i oświaty narodowej, chętnie się znajomością tych „języków wolnomularskich“ wobec niewtajemniczonych mogło uchodzić za coś osobliwego. Ale teraz oświata, dzięki różnym szkołom, ogarnia wszystkie warstwy ludu: i urzędnikowi już ze względów ekonomicznych trudno utrzymać swój prestiż wobec kupców i przemysłowców, współzawodnictwo młodych ze starymi próbuje krążyć ścieżkami bocznymi, jako najkrótszemi drogami do szczęścia. Nikt zdaje się już nie rozporządzać owem *otium* niezbędnem dla studjum starożytności.

Jednak zadaniem właśnie tego studjum w szkole jest to, by naszej młodzieży nauczyć czci dla mozolnego rozwoju naszej europejskiej kultury i podziwu dla wielkich etycznych, społecznych, filozoficznych, naukowych, artystycznych ideałów starożytności. Ale też właśnie o tem nie myślała dawna szkoła klasyczna — z własną szkodą. Zatrzymała się przy elementach — pokazywała wyżyny, na które nigdy wspiąć się nie myślała: zaś z tych wyżyn dopiero można objąć wzrokiem daleką drogę przebytą przez kulturę europejską i wnioskować o widokach radośniejszej przyszłości dla tej kultury. Nauka samych li tylko języków ciążyła kamieniem na szkole i zgniotła ją, zrobiła z nauczycieli belferów i pedantów, z uczniów słówkarzy i czczych formalistów. Oto gramatyka Madviga pozbawiła tchu Mariusa kiellandowego.

VI

Mam wrażenie, że jednak szerokie warstwy odczuwały, że bezwzględnem potępianiem nauki łaciny wyrządzono krzywdę szkole a sobie szkodę. Zamiast jednak tu, jak wszędzie w polityce społecznej, zabrać się do naprawy, wyłano wprost dziecko z kąpielą. Wkrótce pokazały się także praktyczne niedomagania. Od r. 1896 nie uczono greki w szkole: to się odbiło fatalnie na studjum teologicznem w uniwersytecie — dwu nowych języków (greckiego i hebrajskiego) musiano uczyć na wszechnicy choćby elementarnie. A jakto dopiero odczuli filologowie! I tam stopniowo uznano, że studjum filologiczne wogóle, więc także języków i literatur nowoczesnych, jest niemożliwe bez znajomości starożytności klasycznej i naukowo niedopuszczalne. A historycy? Nawet jeśli — jak prawie wszędzie na Północy — uważa się studjum dziejów własnego narodu za jedyny przedmiot naukowy, któremu historyk może się poświęcić *t w ó r c z o*, to jednak każdy historyk, nie chcąc stać się historykiem tylko lokalnym, czuje, że wszelka *perspektywa* historyczna bez dokładnej znajomości starożytności jest niemożliwa. Lekarze ile razy mówią

swym językiem technicznym, zdradzają równocześnie, gdzie właściwie stworzono podstawę dla studjum lekarskiego (przecież prawdziwi lekarze prawie wszędzie są gorącymi zwolennikami humanizmu o szerokim widnokręgu): do nich dołączają się prawnicy, zawsze *źli chrześcijanie*, o ile naturalnie nie są tylko adwokatami.

Tak więc wytworzyła się przeciw uchwale stortingu reakcja, rosnąca powoli i stale, a mająca swój punkt wyjścia w kołach uniwersyteckich. Nie odezwali się wprawdzie starzy nauczyciele łaciny i greki — zdawało się, że ich wszystkich ogarnęło rozczarowanie, lub że sami wątpili, mimo kilku wynurzeń, o idealności swego powołania i swej nauki. Nie wydawano też, rzecz jasna, żadnych książek szkolnych, mogących udoskonalić technicznie nauczanie języków klasycznych.

Zaraz po uchwale stortingu w r. 1896 wszechnica uporała się z nowem położeniem i urządziła „kursy propedeutyczne” — filozofja i tak tam oddawna była obowiązkowa dla wszystkich; po ich ukończeniu można było przejść do studjum specjalnego. Pensum łaciny zniesionej szkoły łacińskiej (130 stronic wydań teubnerowskich) stało się obowiązkiem dla filologów i teologów (zdawano z niego egzamin ustny); prawnicy i lekarze zdawali egzamin z 80 stron tekstu łacińskiego (z Cycerona, Cezara, Liviusa lub Sallustiusa), realiści zaś z 30 s. To był już bardzo znamieny krok: bo dawniej realiści wstępowali wprost ze swych gimnazjów na uniwersytet, odbywszy rodzaj kollokwjum z łaciny dla pewnych przedmiotów — teraz zaś stało się prawidłem, że żaden zgoła student uniwersytetu nie może zacząć studjum swego przedmiotu bez łaciny.

Jednym z najgorliwszych rzeczników takiej reformy był wśród profesorów uniwersyteckich sławny geolog, wyjątkowo zasłużony także później koło naszego życia uniwersyteckiego i rozwoju naszej nauki. On to ze szkoły wyniósł wielkie poszanowanie dla kultury starożytnej i nie mało chełpił się swą znajomością łaciny. Politycznie stał po stronie partji liberalnej, pod względem religijnym był wolnomyślnym ewolucjonistą. Niech wolno będzie go wspomieć, choć bezimiennie, na tem miejscu, ponieważ znakomicie ilustruje reakcję uniwersytecką, ignorującą świadomie w tym punkcie hasła partyjne.

VII

Lata następne przygotowały wyklarowanie się położenia. Różne typy gimnazjów, typ realny, językowo-historyczny z łacyną, nowoczesno-językowy z językiem angielskim rywalizują odtąd między sobą. Mimo zapowiedzi świetnej przyszłości, typ „angielski” nie stał się wszechpanującym, bo typ realny znakomicie broni swego stanu posiadania. Największą zaś niespodzianką sprawił typ łaciński, zyskujący obecnie coraz

więcej zwolenników. Z początku wymagania przy egzaminie były tam może za niskie: jednak potem dawano i tam trudniejsze zadania (tłumaczenia tekstów klasycznych na norweskie): ale to nie przeszkadza jego popularności — ciekawe, że i dziewczęta wolą tę właśnie szkołę.

By zrozumieć dziwny ten zwrot sympatyj, musimy dać kilka wyjaśnień i obznajomić czytelników przedewszystkiem ze środowiskiem norweskiem.

Pokazało się bowiem, że nauka łaciny wcale nie stanowi zagadnienia ni stanowego ni klasowego. Teraz gdy każdy zdolny uczeń szkoły elementarnej może uczęszczać do szkoły wyższej, gdy urzędnicy pochodzą z każdej warstwy ludności, niema więcej mowy o zamkniętym w sobie stanie urzędniczym ni o kaście urzędniczej. Narodowy samorząd zdobyła Norwegja od Szwecji w drodze pokojowej — odtąd też nie mieszano pedagogiki z polityką. Ufna w swe siły, próbowała zwłaszcza partja włościańska nawiązać nici z Norwegją średniowieczną, wywalczyć miejsce honorowe dla nowego, z różnych narzeczy ludowych skonstruowanego „języka narodowego” oraz usiłowała, kierując się zdrowym zmysłem dla historycznego związku przeszłości z terażniejszością, zdobyć dla łaciny znowu miejsce zaszczytne w szkole. Przytem nie wolno zapominać, że włościanie norwescy prawie zawsze i wszędzie, dawniej tak jak i dziś, sami rządili małą swą włością, różniąc się tem zasadniczo od włościan innych krajów europejskich: miłość wolności i ojczyzny stanowi odwieczną ich sławę. Mam wrażenie, że ci starzy włościanie posiadają więcej idealizmu kulturalnego, aniżeli kupcy i przemysłowcy, zwracający uwagę tylko na praktyczne i ekonomiczne czynniki wielkiej kultury. Duchowieństwo zaś zawsze miewa swe własne programy; ale o ile przypadkiem cele są zbieżne, także teologowie dobrej sprawie dobrej udzielają pomocy — przecież obok świętoszków duchowieństwo miało też zawsze gorliwych rzeczników prawdziwego humanizmu.

Zresztą dyskusja wydobyła także nowe momenty. Podkreślano, że ogromne postępy studjów klasycznych znalazły wyraz w nauczaniu szkolnem zagranicy; wskazywano, że znacznie pogłębiono perspektywę obrazu przeszłości, że już nikt nie widzi teraz, jak to bywało dawniej, w starożytności różowego, jednolitego obrazu winckelmannowskiego ideału kulturalnego, że przeciwnie jestto kultura bardzo złożona, i niezmiernie rozprzestrzeniona, która prawie pod każdym względem przygotowała kulturę nowoczesną i teraz jeszcze może udzielać cennych wskazań i pokrzepienia dla duszy spragnionej. Nawet w dydaktyce rzecznicy starożytności spróbowali współzawodniczyć, i to z powodzeniem, w metodzie „imitatywnej” (*Perse-School* w Cambridge, Anglja). Podnoszono dalej, że nie

wolno się izolować od reszty Europy, gdzie przecież uniwersytet wszędzie opiera się na znajomości języków klasycznych.

Wielka nadzieja modernistów, przenoszących koncentrację nauki z Rzymu i Aten starożytnych do Anglii, by zastąpić studjum kultury klasycznej dokładną znajomością tego państwa nowoczesnego, jego dziejów i piśmiennictwa, nie znalazła tego entuzjastycznego przyjęcia, jakiego spodziewali się angiści. Mały kraj, chcący przetworzyć się w ten sposób w jakiś przyczepek wielkiej potęgi, choćby najwyżej cywilizowanej, zawsze będzie ostatecznie upośledzony. Wielka Anglja przecież sama uprawia studia klasyczne do dziś dnia tak intensywnie, jak tylko można. „Praktyczni” Anglicy wszak widzieli, że liberalny polityk Gladstone, że jeden z wielkich finansistów ostatniej wojny światowej, dyrektor Westminster Bank, pan Walter Leaf, okazali się zarazem znakomitymi badaczami Homera. Co się dzieje w Londynie i w uniwersytecie między kolegami z wybitnym studentem norweskim, znającym we wszystkich szczegółach budynek parlamentu angielskiego i City nowoczesną zamiast ateńskiej agory i Kerameikosu? Bardzo prędko przekona się, jaki solidny fundament posiada angielski *university-man* w swoim gruntownym wykształceniu klasycznym i że właśnie w tem upatruje radykalną różnicę od banauzji wielkiej, choć bogatej masy. Takie kulturalne podporządkowanie się pod naród nowoczesny zawsze zresztą jest niebezpieczne. Już to, że należy tu wybierać (przecie program mówi tylko: *dokładne studjum państwa nowoczesnego*) między Anglją, Francją, Niemcami, że pojęcie *wyższej kultury umysłowej* jest conajmniej bardzo nieokreślone.

Przyznali też potem nieśmiało nauczyciele, że nauka łaciny jeszcze żywo zaciekawia uczniów, że metoda nauczania tego języka jest tak dobrze opracowana, jak w żadnym innym języku, że właśnie tu można zbierać łatwo i rychło owoce nauczania. Właśnie współzawodnictwo z nowym typem angielskim stawiało w nowem świetle stare i uznane zalety nauki łaciny.

VIII

Tak więc przyszła chwila, kiedy typ klasyczny znowu pojawiać się zaczyna na widowni, zamiast raz na zawsze z niej zniknąć. Storting uchwalił w r. 1896, jak wspomnieliśmy wyżej, że wolno nauczyć łaciny w pewnych gimnazjach tylko tymczasowo w okresie przejściowym, storting w r. 1917 wprowadza łacinę i grekę jako przedmioty obowiązkowe (*dopuszcza się grekę w bliżej określonych gimnazjach w związku z typem łacińskim*): naturalnie dopuszczono grekę do egzaminu na uniwersytecie. Mógłby ktoś w tem widzieć charakterystyczny objaw psychy parlamentarnej lub też znamieny odruch niespokojnego temperamentu norweskiego: jednak pokazaliśmy już przedtem, że powody tego leżą głębiej.

Dla przejrzystości zestawiamy plany programu tymczasowego gimnazjum łańskie i nowego gimnazjum klasycznego: liczby podają tygodniową ilość godzin.

	Typ historyczno-językowy z łaciną			Nowy typ łański (od r. 1919)					
	klasa	I	II	III	I	II	III		
religja		1	1	1	1	1	1		
norweskie		5	6	6	5	6	6		
niemieckie		4	3	3	3	4	—		
angielskie		4	2	1	2	2	2		
francuskie		4	3	3	—	5	7		
łacina		—	7	11	6	7	9		
historja		3	3	3	3	3	3		
geografja		—	2	—	2	—	—		
przyroda		4	(chemja)	2	(fizyka)	4	(chemja)	2	(fiz.)
matematyka		5	3	—	5	3	—		
razem		30	30	30	31	31	31		

„Szkoła łańska z greką” ma oprócz tego: 7 godzin greki tygodniowo w kl. II, 9 godz. w kl. III: celem zmieszczenia tych godzin w programie, skreślono w obu klasach język angielski i francuski. Pensum łańskie teraz podwyższono do 150 s. (wolno czytać także poezję, np. Ovidiusa), pensum greckie ustalono tymczasowo na 120 s.: *greka klasyczna z Ksenofontem i Platonem jako głównymi reprezentantami; należy jednak czytać także 1000 w. Homera i późniejszych autorów greckich, wolno uwzględnić także grekę Nowego Zakonu.*

Tak stoi sprawa obecnie. „Nowy typ łański” cieszy się bardzo dużą frekwencją. „Typ łański z greką” — wprowadzony głównie przy szkołach katedralnych, ale także w kilku innych gimnazjach — obierają przeważnie przyszli teologowie oraz uczniowie specjalnie interesujący się starożytnością klasyczną. Uchodzi bowiem za trudny — zważywszy ilość języków do wyuczenia, chętnie przyznamy słuszność. Greka w naszych gimnazjach wydaje się trochę marna, a to z ważnych powodów. Już to nie dobrze, że uczeń ją zaczyna zaraz po roku łaciny — o wiele lepiej wypadłaby greka po czteroletnim kursie łańskim. Potem wymaga nauczanie greki wybitnie uzdolnionych, przezornych, wyrozumiałych nauczycieli: powierzać należy ten przedmiot właściwie tylko entuzjastom, który sam zapalony świetnością kultury greckiej, świętością swego zadania przejęty, potrafi wyjaśnić drugim treść tej kultury jasno, zwięźle i z zapałem. Ostatecznie i tu wszechnica jest odpowiedzialna: jeśli ona nie potrafi wzniecić ognia entuzjazmu, nie można się spodziewać w szkole żadnych iskier. Miejmy nadzieję, że nasza wszechnica potrafi wzbudzić ten zapał! Nowy, nowoczesny humanizm powinien tu ożywić cały

materiał, ująć go po prostu i po ludzku, zrobić z niego sprawę serca. Im większa właśnie jest różnica czasowa, dzieląca nas od starożytności, tem bystrzejszy powinien być wzrok, tem większe też natężenie energii: *πάθει μάθος* oto nasza ewangelja, *προβίπτων* wypisano na naszym sztandarze!

Greka potrzebuje także nowych książek szkolnych, nowej gramatyki i nowych tekstów. W łacinie wre już mrówcze życie: spodziewamy się, że ten żywy ruch przeniesie się rychło na grekę. Słowem, dużej jeszcze i wytężonej trzeba nam pracy, by utrwalić gruntownie i na stałe u nas typ gimnazjum z greką.

Wielką pomocą i nie do pogardzenia są tu przekłady pisarzy greckich, wydawane w nowszych czasach u nas. Wymieniamy na pierwszym miejscu przekłady filologa klasycznego i dyrektora p. P. Oestby: przetłumaczył wiernie Homera, Sofoklesa znakomicie, Aischylosa wprost wspaniale. Szeroka publiczność z chęcią czyta te tłumaczenia (wart także wzmianki przekład Homera na „język narodowy” pana Arne Garborg). Nasz teatr narodowy wystawił w ostatnich czasach *Medeę* Euripidesa, *Edypa Króla* i *Elektrę* Sofoklesa z wyjątkowem powodzeniem. Szerokie warstwy ludności zaczynają zrozumieć, że kultura grecka jest bezcennym skarbem odziedziczonym i niesprzedajnym klejnotem naszej własnej kultury.

Szkoda że gimnazjum nie skorzystało z istniejącej do r. 1911 sposobności omówienia tłumaczeń pisarzy klasycznych w osobnych godzinach. Rzecz jasna, tylko filolog klasyczny może tego się podjąć: to uzupełnienie nauki, złożone w dobre ręce, może znacznie rozszerzyć widnokrąg uczniów. Każdy kto próbował czytać jakieś tłumaczenie z uczniami gimnazjum klasycznego, spostrzegł ku własnemu może zdumieniu, ile to wymaga pracy ze strony nauczyciela: tu conajmniej związek myśli oraz główne wątki utworów jasno i wyraziście występują.

Obecnie przygotowuje się nowa reforma, zmierzająca do ujednostajnienia całego wyższego szkolnictwa (z 5 klasami gimnazjalnemi zamiast dotychczasowych 3). Szczegółów jeszcze nie znamy. Ale nasze „Towarzystwo Klasyczne” postawiło, odrazu też przyjęty, wniosek, by wolno było używać w nauczaniu klasycznym w większej mierze tłumaczeń celem uzupełnienia lektury. Podobno reforma zatrzymuje zasadniczo obecny zakres nauki łaciny i greki: można było naprawdę dodać jeszcze jeden rok dla nauki łaciny.

Przyszłość zależy od nauczycieli, przyszłość szkoły i wszechnicy. Każdy myślący rozumie, że ostatecznie należy oprzeć studia klasyczne na dziejach kultury, a nie na gramatyce, mimo że jest niezbędna. Także nauczanie dziejów starożytnych w gimnazjum należy z natury rzeczy do kompetencji filologa klasycznego. Jeżeli on dorósł do swego zadania, z pewnością oprze się wszelkim napąściom na gimnazjum klasyczne.

TADEUSZ ZIEIŃSKI

O CZYTANIU MÓW SĄDOWYCH CYCERONA W SZKOLE

I

W czasach owej zamierzchłej starożytności, do której odnosimy porządki państwowego życia narodów, został ułożony ustny, niepisany zbiór praw, określających stosunki oddzielnych jednostek między sobą oraz do wyższej jednostki. Wiemy dzisiaj, że ułożenie tych ustaw nie było wynikiem „umowy społecznej”, jak sądzono dawniej — taka umowa kazałaby przypuścić istnienie w zawierających ją osobach cech, które mogły się zjawić tylko jako rezultat ich życia państwowego — lecz że były one dane ludom zgóry, na skutek uroku, jaki miała w ich oczach religja. Tak się rzecz miała u Żydów, Greków, Rzymian; wszędzie statut państwowy był dzieckiem religji, wszędzie *fas* zrodziło *ius*. Wskutek takiego swego pochodzenia również normy prawne korzystały z początku z takiej samej nietykalności, jakiej wymaga dla siebie religja; nie dopuszczały one żadnej innej interpretacji, prócz dosłownej; *ius* było pojmowane wyłącznie jako *summum ius*.

Lecz oto myśl ludzka obudziła się i zmężniała; ona mogła i musiała zażądać dla siebie udziału w zastosowaniu prawa; zachodziło pytanie, jakie stanowisko zajmie ona względem tego, co Hellenowie nazywali *ῥητόν*, tzn. względem ściśle i jasno sformułowanych norm prawnych, obowiązujących dla tych, którzy je przyjęli, w prostym, dosłownym znaczeniu. Pod tym względem każdy naród poszedł własną drogą. U Żydów myśl poddała się *ῥητόν* i uległa mu bez zastrzeżeń; rabinowie wyczerpywali swą pomysłowość, by stworzyć, jak się oni wyrażali, *ogrodzenie dokoła zakonu*; dzięki ich wysiłkom powstał zczasem tzw. talmud, i do prawa żydowskiego dały się zastosować słowa Lukrecego:

caput a caeli regionibus ostendebat,
Horribili super aspectu mortalibus instans.

U Greków przeciwnie, myśl ludzka wolna i buntownicza w poczuciu swej młodzieńczej siły i odwagi, zajęła od samego początku stanowisko wrogie względem *ῥητόν*; uznając za święty w oczach ludu autorytet prawodawcy, który jej bynajmniej nie krępował, nie chciała ona pojmować danych przezeń norm w sensie dosłownym i żądała, by interpretatorzy doszukiwali się jego myśli i woli, wyrażonych w wybranych przezeń słowach w sposób tylko niedoskonały. Tak więc od czasów genialnego inicjatora tego kierunku — mamy podstawę sądzić, iż był to Trazymach z Chalkedonu — interpretatorzy musieli się liczyć z dwiema rzeczywistościami zamiast jednej; wysunięty został wielki dualizm prawny, wyrażany słowami *ῥητόν καὶ δίκαιον*, który dał zczasem pokrewny dualizm *iustum et aequum*.

Nic dziwnego, że z początku działanie tego dualizmu nosiło przeważnie charakter burzycielski; z obu rzeczywistości jedna, *ῥητόν*, była widoczna dla wszystkich w postaci starożytnego pisma świętych tablic; ponadto miała za sobą tradycję, a z nią sympatię wszystkich tych, którzy się za ostoję państwa uważali, a może i nią byli. Druga rzeczywistość, *διάνοια*, spoczywała w grobie wraz z tymi, którym była przypisywana; wywołana stamtąd błędziła jak widmo wśród ludzi, strasząc tych, którzy nie posiadali zbyt silnego ducha. Zadaniem obrońcy *διανοίας* było ożywienie tej widmowej rzeczywistości, wlanie w nią swej krwi, sprawienie, aby utraciła ona wszystko to, co dla ludzi było straszne, i aby czarowała ich swą siłą, świeżością, urodą. Tego, komu się ten cud udawał, Grecy nazywali *ρήτωρ*; zdolność dokonania takiego cudu nazywała się *ῥητορικὴ*. Czy była ona sztuką, czy nauką, czy zwykłą umiejętnością, o to starożytni długo się spierali.

Rodzicami jej były, jakżeśmy widzieli, surowe prawo i wolna myśl; nic dziwnego, że wdała się ona raczej w matkę niż w ojca. Ponieważ zaś etyka (tzn. poczucie moralne podpór państwa) była na skutek tradycji po stronie prawa, zwróciła się ona do owej strony duszy ludzkiej, która jedynie mogła służyć za przeciwwagę do uczuć moralnych — mianowicie do jego potrzeb estetycznych. Retoryka stała się prawdziwym terytorjum piękna; stąd wymaganie piękna — mam na myśli piękno retoryczne, tzn. świadome — rozszerzyło się na wszystkie inne przejawy życia ludzkiego, nie wyłączając ostatniego przejawu — śmierci.

Z tego co powiedziałem, widać jasno, że filozofja, zbudowana na podstawach moralnych, musiała odnieść się do retoryki negatywnie; Platon, jej pierwszy i główny przedstawiciel, poddał klątwie i Trzymacha (w *Rzeczypospolitej*) i Gorgiasza. Lecz czasem, gdy młodzieńcza odwaga retoryki ustąpiła miejsca spokojniejszemu nastrojowi, w stosunkach wzajemnych zaszła poprawa. Z jednej strony retoryka rozumiała, że mając za cel *πειθῶ* a za przedmiot duszę ludzką, nie może się obejść bez psychologii, a więc bez filozofji; z drugiej strony filozofja, otrzymawszy dzięki Arystotelesowi charakter encyklopedyczny, uniwersalny, nie mogła pominąć bez uwagi estetyki, a więc i retoryki. Owocem tego zlania się była *ῥητορικὴ* Arystotelesa; odtąd w retoryce istnieją już nie dwa, lecz trzy elementy: do prawnego i właściwego retorycznego, tzn. estetycznego, dołączył się filozoficzny.

Niestety, nie dokonało się zlanie tych trzech elementów w jednej osobie; retoryka, przyłączywszy się do filozofji, oddzieliła się od prawoznawstwa. Sam Arystoteles, przyjmując retorykę pod swą opiekę, odniósł się wysoce niezyczliwie do jej elementu prawnego, a więc do wymowy sądowej; on nawet czyni ją zbyteczną, stawiając żądanie, aby strony ograni-

czały się do przedstawienia jedynie tzw. *πίστεις ἀτεχνολοί*, tzn. zeznań świadków i dokumentów, oraz aby prawodawca formułował swe uchwały tak wszechstronnie i jasno, żeby podciągnięcie faktu pod prawo nie przedstawiało najmniejszej trudności; filozofowie późniejsi, zwłaszcza Stoicy, odnieśli się do wymowy sądowej bardziej życzliwie, lecz, nie będąc prawnikami, nie mogli jej wypracować, jak należało. Tym sposobem w epoce Arystotelesa odbywa się w retoryce rozłam, fatalny dla krasomówstwa greckiego; jeden obóz stanowią retorzy-prawnicy, drugi retorzy-filozofowie; powstaje także trzecia kategoria retorów-nieuków.

Lecz oto dla kultury greckiej nastął czas podboju całego świata po zawarciu z rzymską siłą przymierza, ważkiego dla historii ludzkości. Na szczęście dla krasomówstwa rzymskiego, nauczycielem Rzymian był retor-filozof (lub raczej filozof-retor), Stoik Panaitios. Mówię: na szczęście, gdyż z trzech elementów, które weszły w skład retoryki wyższej — tak pozwolę sobie ją nazywać — element prawny był Rzymianom najmniej potrzebny: najmniej potrzebny dlatego, że mogli go dodać od siebie. Panaitios został duszą owej świetnej plejady Rzymian, którą zwykliśmy nazywać kołem Scipionów, uczniami jego byli wprost lub pośrednio Scipio młodszy, Laelius, obaj Scaevolowie, mówca Crassus — a potem uczeń Scaevolów i Crassusa, Cyncero. Znaczenie tego faktu jest oczywiste: zlanie się trzech elementów retoryki wyższej, które nie mogło odbyć się na gruncie Hellady, dokonało się samo przez się w Rzymie. Ponieważ zaś mowy Crassusa nie zachowały się do nas, wynika stąd wniosek niewątpliwy, że Cyncero jest dla nas jedynym przedstawicielem retoryki wyższej.

II

Przyczyna tego zlania się zawierała się, jak wyżej zauważono, w tem, że Panaitios, nauczyciel Rzymian, był filozofem-retorem; lecz oczywiście ta zewnętrzna i przypadkowa przyczyna nie mogła być jedyną. Nauka Panaitiosa nie znalazłaby dla siebie gruntu w Rzymie, gdyby warunki wewnętrzne życia rzymskiego, a specjalnie — skoro mowa o krasomówstwie sądowym — sądownictwa rzymskiego, mniej temu sprzyjały. Sprzyjające warunki sądownictwa rzymskiego polegały:

1. Na tem, że sąd pozwalał na przedstawicielstwo tak strony poszkodowanej, jak podsądnego, w najbardziej rozległych granicach. Tylko dzięki temu przedstawicielstwu, którego nie znała Grecja, mogła wogóle zjawić się wymowa sądowa w znaczeniu retoryki wyższej.

2. Na tem, że rozprawy odbywały się ustnie. Nie trzeba nawet mówić, że obrońca, podający sędziemu koronnemu swą obronę w postaci piśmiennego *mémoire* — jak to było

w Europie nowożytnej podczas procesu inkwizycyjnego — nie może rościć sobie prawa do nazwy mówcy.

3. Na tem, że sądy sprawowali przysięgli, a więc niespecjaliści, nie zaś sędziowie-prawnicy¹⁾). Mowa wygłoszona wobec specjalistów zawsze będzie sama miała charakter specjalny; poglądy ogólne, psychologja, retoryka — wszystko to odchodzi na dalszy plan, główną rolę gra powoływanie się na paragrafy praw, na *responsa prudentium*, na *res iudicatae*.

4. Na tem, że sąd rzymski nie znał dowodów tzw. obowiązujących (albo prawnych), przyznając sędziom zupełną swobodę w ocenie podawanych przez strony argumentów oskarżających i obronnych. Tylko taki sąd sumienia może dać mówcy sposobność zupełnego rozwoju; gdzie sąd jest skierowany ku ustaleniu prawdy nie rzeczowej, lecz formalnej, gdzie wyrok sędziego zależy nie od jego przekonania, lecz od istnienia danych, wymaganych przez nieubłąganą „teorię dowodów“ (*law of evidence*), tam wymowa sądowa gra rolę dość żalną.

5. Na tem, że sądy odbywały się publicznie w obecności ludu. G. Uspienski w jednym ze swych opowiadań dowodzi napół żartobliwie, napół poważnie, że prawdziwym encyklopedystą jest wieśniak; istotnie, możemy powiedzieć, że człowiek umysłowo rozwinięty, lecz bez wykształcenia specjalnego, jest zawsze skłonny do encyklopedyzmu. Oto dlaczego słuchacze Cycerona byli tak wdzięczną publicznością dla przedstawicieli retoryki wyższej²⁾, mowa sądowa (tzn. prawnicza) z treści, filozoficzna z ducha i retoryczna z formy musiała ich najbardziej zachwycać.

Wynika stąd, że retoryka wyższa w dziedzinie sądownictwa rzymskiego nie mogła przeżyć takiego ustroju sądowego, jaki istniał za Cycerona; gdy za cesarstwa sprawy najwdzięczniejsze, tzn. kryminalne, zaczęły coraz częściej przechodzić od przysięgłych do tzw. *cognitiones extraordinariae*, retoryka wyższa poczęła coraz bardziej chylić się do upadku. Zczasem element prawniczy opuścił ją zupełnie; ponieważ zaś wymowa polityczna przestała istnieć jeszcze wcześniej,

¹⁾ „Každy, kto choć trochę zna życiowe warunki działalności sądowej, wie, jak wielka jest różnica między rozprawą sądową z udziałem lub bez udziału ławników przysięgłych. O ile w pierwszym wypadku strony się ozywiają, widząc przed sobą sędziów, gorąco zainteresowanych sprawą, o tyle w sądzie koronnym tak strony jak sąd pokrywają się mułem rutyny i nudnego rzemiosła. Oskarżyciel wygłasza „oficjalną“ mowę itd.“. Dżanszjew, Podstawy reformy sądowej (Osnovy sud'ebnoj reformy) s. 281.

²⁾ Zupełnie słuszna jest uwaga Vargha (Die Verteidigung in Strafsachen s. 47): „Man hat nur zu häufig übersehen, dass der Kern der Unwiderstehlichkeit jener klassischen Redner nicht etwa in geschwätziger Ueberredkunst, sondern vielmehr darin lag, dass sie die Richter auf die Kulturhöhe ihrer Zeit emporhoben und ihnen grossartige Gesichtspunkte zur Beurteilung menschlicher Individualitäten und Verhältnisse erschlossen“.

przeto dziedzina retoryki zaczęła obejmować tylko γένος ἐπι-
 δεκτικόν, panegiryki itp., dla których duch filozoficzny był
 raczej szkodliwy niż pożyteczny. Tym sposobem retoryka
 skostniała; wkońcu została z niej tylko część ornamentalna,
 nauka o synekdochach i metonimiach — jednym słowem, na-
 sza „retoryka“, której stopień popularności zupełnie odpowiada
 jej znaczeniu kształcającemu.

Wogóle, im bardziej oddalamy się od epoki rzeszypop-
 spolitej rzymskiej, tem sądownictwo kryminalne nędzniejszy
 przedstawia obraz. Podsądny coraz bardziej staje się ze strony
 przedmiotem sądu; jego nieograniczone niegdyś prawo mil-
 czenia i obrony — *palladium* sądu starożytnego i nowocze-
 snego — jest coraz bardziej okrojone; wreszcie sądownictwo
 kryminalne późnego cesarstwa wynajduje ohydłą instytucję,
 torturę podsądnego, której sądzono było ciężyc hańbiącym
 piętnem na cywilizacji europejskiej w ciągu półtora tysiąca
 lat. Oczywiście, w takich warunkach nie mogło być mowy
 o krasomówstwie sądowem. Nie dozwalał na nie również na-
 iwny proces inkwizycyjny, który go zastąpił wraz z rozwo-
 jem absolutyzmu w Europie. Wymowa sądowa stała się moż-
 liwą dopiero od czasu wprowadzenia procesu zreformowa-
 nego¹⁾, tzn. we Francji od czasów rewolucji, w Niemczech
 od r. 1848, w Austrii od r. 1850, w Rosji od r. 1866. W zrefor-
 mowany proces daje nam znów wszystkie pięć warunków, które
 w epoce rzeszypopolitej rzymskiej sprzyjały rozkwitowi wymo-
 wy sądowej: przedstawicielstwo stron, ustność rozpraw, udział
 przysięgłych, swobodną ocenę dowodów i publiczność procesu.

Muszę jednakże zrobić zastrzeżenie co do jednego pań-
 stwa zachodnio-europejskiego, które nie brało udziału w roz-
 woju (jeśli można ten wyraz zastosować) sądownictwa za-
 chodnio-europejskiego: to Anglja. Tu wczesnie spotykamy
 przysięgłych (*jury*), z początku wprawdzie w charakterze
 szczególnego rodzaju świadków podsądnego, lecz potem rów-
 nież jako sędziów; wczesnie zjawia się również ustność i pu-
 bliczność rozpraw, zaś od wieku XVII przedstawicielstwo
 podsądnego. Dlatego też tu najprędzej mogła się zjawić i istot-
 nie zjawiała się wymowa sądowa; lecz oczywiście nie mogła
 rozwinąć się tak swobodnie, jak w starożytnym Rzymie, gdyż
law of evidence w dalszym ciągu krępowała mowę sądowego.

¹⁾ Reforma procesu kryminalnego w Europie kontynentalnej w latach 1791—1866 nazywa się bardzo słusznie u Vargha (s. 625) „odrodzeniem sądownictwa spornego“ (*die Renaissance des accusatorischen Processes*). Wogóle zaś prawnicy bywają skłonni do pomniejszania tej zasługi starożytności klasycznej, nazywając np. sąd przysięgłych „tworem genjuszu anglosaskiego“: na filologach cięży obowiązek protestu przeciw temu nieporozumieniu i wykazywaniu w całej nietykalności faktu, że starożytność grecko-rzymska była i pod tym względem, jak pod wszystkimi innymi, źródłem idei wyzwolenia.

III

Z tem wszystkim, mowy Cyclerona ocalały. Jakież był do nich stosunek publiczności Europy nowożytnej?

W epoce humanistów, mówią nam, zachwycano się nimi. Nie jest to zupełnie prawdziwe. Oczywiście, humaniści-filolodzy nie mogli nie uwielbiać człowieka, który pisał po łacinie tak, jak i oni pisaćby chcieli; i ten zachwyt stylistyczny kazał im zapomnieć o wszystkim innym: komentarze Manutiusa, Menarda, artykuły Mureta świadczą zarówno o szczerości, jak o powierzchowności ich pochwał. Lecz obok humanistów-filologów byli także humaniści-prawnicy, Hotomannus, Passeratius i inni; nie mając pojęcia o historii prawa, z Digestami w rękę oskarżali naszego mówcę po swojemu, nie przyznając mu prawa nie wiedzieć tego, co w jakieś 200 lat później wiedział Ulpianus. Kiedy, głównie dzięki Savigny'emu i odkryciu Gaiusa, powstała historia prawa rzymskiego, zdanie prawników o Cycleronie się poprawiło, lecz zrozumieć go oni nie mogli, nie mogąc nań spojrzeć z punktu widzenia retorycznego; ci z pośród nich, którzy posiadali wyszkolenie filozoficzne, odczuwali etykę prawa, nie mogli jednak zrozumieć, że tak powiem, estetyki prawa, tzn. pojąć, jak może i jak powinien zmienić się sposób natarcia i obrony, kiedy mówca kieruje się nie tylko względami prawniczymi, lecz także estetycznymi — inaczej mówiąc, retorycznymi.

W każdym jednak razie prawnicy mogli przynajmniej czytać Cyclerona świadomie; filolodzy nie mogli nawet tego. Treścią retoryki wyższej były kwestje prawne; te zaś przekraczały i przekraczają zakres wydziałów filozoficznych. Pozostawała forma, a z nią retoryka niższa ze stylistyką; do pewnego czasu zadowalniano się nią — mówię przeważnie o Niemczech. Lecz sama forma serca nie rozgrzewa; stopniowo zachwyt stylistyczny minął i ustąpił miejsca uczuciu niezaspokojenia; niezaspokojenie doprowadziło do protestów, które rozlegały się coraz częściej i których skutkiem była wkońcu cała wyprawa przeciw Cycleronowi. Chorążym uczonych niemieckich w tej wyprawie był, jak wiadomo, Drumann, jakkolwiek drobne wycieczki odbywały się i dawniej. Drumann pisał swą historję agonji rzeczypospolitej rzymskiej w czasie, gdy proces inkwizycyjny, owa hańba Europy nowożytnej, trwał jeszcze na całej linii; nic dziwnego, że sądzi on mowy sądowe Cyclerona z niewinnością dziecka. Mimo to jednak wyroki jego zachowały swą moc także po wprowadzeniu procesu zreformowanego, czego filolodzy nawet nie zauważyli; uczeni, którzy przyszli po Drumannie, wyroki te powtarzali i odmieniali na wszystkie strony; doszło do tego, że ostatni według czasu historyk literatury rzymskiej nazwał Cyclerona *eine gefallene Grösse*, uroczyście konstatując w ten sposób, że tak on sam, jak i jego stronnicy nie-

zdolni są zrozumieć tej bogatej i iście artystycznej natury, tego jedyne go przedstawiciela retoryki wyższej.

Jasnym jest więc, że nauczyciele w gimnazjach niemieckich, czytający z uczniami mowy sądowe Cyncerona, uczą ich tego, czego sami nie rozumieją. Zrozumieć Cyncerona może tylko ten, kto łączy z wiadomościami prawnymi pogląd filozoficzny i poczucie retoryczno-estetyczne; ci zaś, o których mówię, rzadko bywają filozofami, jeszcze rzadziej znają retorykę — mówię o poważnej i żywej retoryce grecko-rzymskiej, nie zaś o nędznej „retoryce” czasów najnowszych — i nigdy nie studjują prawoznawstwa. Wskutek tego najbogatsze źródło ogólno-kształcących wiadomości i myśli jest coraz bardziej zapuszczone; kto wie, czy niedaleki jest czas, gdy Cyncero zostanie zupełnie wypędzony ze szkół.

A jednak jest kraj, w którym, choć nie rości sobie prawa do hegemonji w filologii klasycznej, studjowanie Cyncerona jest postawione jak należy: jest to ten sam kraj, który, jakeśmy widzieli, miał szczęście zachować po wszystkie czasy procedurę sądową, przypominającą do pewnego stopnia proces starorzyski. Anglicy wyciągają z Cyncerona to, co może i powinien wyciągnąć człowiek wykształcony lub do wykształcenia dążący: drogą prawniczo-retorycznych analiz mów sądowych Cyncerona uczą się oni faktycznie teorii dowodów i teorii zaprzeczeń, sposobów przekonywania i sposobów zbijania przekonań; każdy mówca angielski, bądź adwokat, bądź poseł, wśród swych nauczycieli wymieni z wdzięcznością Cyncerona. Co prawda, na skutek tego, iż życie angielskie jest tak zamknięte dla niemieckiej nauki filologicznej, także my, którzy korzystamy głównie z rezultatów tej nauki, mało o niem wiemy; tylko zrzadka takie fakty, jak pojawienie się trzech wydań w obronie Kluencjusza z komentarzem angielskim, zwracają na siebie uwagę przedstawicieli filologii niemieckiej. Czyż istotnie w szkołach angielskich czyta się tę mowę, tak trudną pod względem prawnym (że jest ona łatwiejsza od mowy w obronie Archiasza, z tego oni oczywiście nie zdają sobie sprawy)? Tak, i najwidoczniej bardzo gorliwie... Zato, jakie wrażenie robi następujący szczegół z biografji pewnego wybitnego działacza angielskiego, którą biorę ze słownika encyklopedycznego: „On (lord Brougham) starannie rozwijał swój talent drogą studjowania mówców starożytnych, jak również ćwiczeń praktycznych i w r. 1800 rozpoczął swą karierę jako obrońca”. Łatwo pojmujemy, że takie zjawiska były przez długi czas możliwe tylko w Anglji; lecz czyż tak powinno być zawsze? *Im modernen Strafverfahren*, mówi Frydmann (*Systematisches Handbuch der Verteidigung* s. 311), *gewinnen die Regeln der antiken Rhetorik wieder an Aktualität*; czyż filolog

Europy kontynentalnej ma się trzymać zdala od życia, gdy życie woła go ku sobie?

Causa quae sit videtis: nunc quid agendum sit considerate.

IV

U nas czytanie szkolne autorów naturalnym biegiem rzeczy szło i idzie w ślad za normami, które wypracowała pedagogika niemiecka w teorii i w praktyce. Otrzymałszy sam wykształcenie filologiczne na uniwersytetach niemieckich, potrafię w dostatecznej, jak sądzę, mierze ocenić ową poważną tresurę umysłową, jaką daje niemiecka metoda pedagogiczna; lecz czytanie Cyncerona było, jakżeśmy widzieli, suchą i martwą gałęzią niemieckiego drzewa pedagogicznego, gałęzią, której nie należało do nas prznosić. Wynika stąd, że powinniśmy własnymi siłami wypracować metody owocnego czytania Cyncerona.

Nie powiem, żeby to było rzeczą łatwą; bywają nawet warunki, kiedy to jest wprost niemożliwe. Mam tu na myśli taką sytuację, kiedy nauczyciel sam jest zgóry przekonany, że w mowach Cyncerona niema nic oprócz „fałszywego patosu”. Oczywiście, gdyby to przekonanie było słuszne, to należałoby wogóle wykluczyć Cyncerona z kanonu gimnazjalnego. Tak jednak na szczęście nie jest, i przeciw owemu oskarżeniu należy z całą stanowczością podkreślić, co następuje. Po pierwsze, że ów niezaprzeczalny patos w rzeczy samej nie jest fałszywy, lecz dla południowca wcale naturalny. Kto odwiedzał Włochy nie tylko jako turysta badeckerowy, kto przysłuchiwał się mowom ich parlamentarzystów, adwokatów, kaznodziejów, nie mówiąc już o mówcach na zebraniach uroczystych, ten wie, że ten patos cynceroniański żyje tam dotychczas jako naturalny wynik i objaw ich psychiki ludowej. A podrugie, że natura południowca, będąc pod tym względem odmienna od naszej, jest zarazem i szczęśliwsza, gdyż znajduje wyjście w słowach dla afektu, który, będąc stłumiony, zatruwałby jego duszę. Nie należy uważać natury własnej za naturę absolutną; i pod tym względem, jak i pod wielu innymi, wykształcenie klasyczne powinno nas zachować od błędów.

Mamy więc przed sobą mowę Cyncerona — mowę sądową; jak będziemy ją tłumaczyć? Czy wyłącznie z punktu widzenia gramatycznego? Byłoby to ogromną krzywdą, którąby nauczyciel wyrządził autorowi, uczniom i samemu sobie.

Stylistyka jest dla ucznia prawie niedostępna; możemy coprawda przejść do realjów, do historii. Lecz do interpretacji historycznej Cyncero daje zbyt mało materiału; ponadto interpretacja specjalnie historyczna musi być uznana prosto za niebezpieczną, a to ze względu następującego. Istnieją dwie rzeczywistości historyczne: historia w znaczeniu *historia*, i historia w znaczeniu *memoria*; pierwsza żyje w książkach, druga w umysłach i sercach ludzkich; pierwsza jest zawsze

istotniejsza, druga często bywa prawdziwsza; z pierwszą ma do czynienia historyk, z drugą mówca. Kto nie uchwycił tej ważnej różnicy, ten nie ma prawa interpretować Cycerona z punktu widzenia historycznego; żeby zaś ją zrozumieć, trzeba znać retorykę wyższą.

Lecz oto pojawia się nowy punkt widzenia — e t y c z n y. A z nim i nowe oskarżenie: taki Roscius, taki Milon, taki Sestius, których broni Cycero — czy to rzeczywiście były takie ujmujące postaci, żeby warto było zaznajomić z nimi uczniów? Oczywiście, tego powiedzieć nie można; ani za rzymskich, ani za naszych czasów świat nie jest czy nie był na tyle zepsuty, żeby dobroczyńców ludzkości miano szukać na ławie oskarżonych. Nie, jeżeli ześrodkowywać uwagę na tych, których mówca broni w swych obrończych mowach, to korzyść stanowczo będzie niewielka.

Lecz cóż pozostanie z mowy sądowej, jeżeli usunie się możliwość interpretacji gramatycznej, stylistycznej, rzeczowej i etycznej? Pozostaje, jak sądzę, mowa sądowa. Czem zaś jest mowa sądowa Cycerona, jużśmy widzieli: jest to pomnik literacki, prawniczy z treści, filozoficzny z ducha, retoryczny z formy. Zbadaliśmy historję zlania się i historję rozkładu tych trzech elementów, które utworzyły retorykę wyższą; możemy teraz postawić żądanie, aby każdy, kto bierze się do interpretacji Cycerona, połączył je uprzednio w sobie. Do tego zaś jest potrzebna przede wszystkim i głównie dobra wola.

Tyczy się to przede wszystkim elementu, który umieściłem na pierwszym miejscu. Wyraz „prawniczy”, pomimo generalnej inicjatywy Mommsena, w dalszym ciągu budzi w filologu jakiś zabobonny lęk; lecz po to, by zrozumieć *causas publicas* Cycerona — a te wyłącznie czyta się w szkołach — nie trzeba wnikać w najtajniejsze gąszczę prawa rzymskiego, i łamać sobie głowy nad różnymi odmianami obligacyj i serwitutów, nad subtelną różnicą między *possesio* i *quasi possessio*, między *actio directa* i *actio utilis*. Oczywiście i to nie zaszkodzi i filolog, który czytał Iheringa, lub zaznajomił się przy pomocy dobrego podręcznika z instytucjami Gaiusa, Justynjana czy z Digestami, z pewnością nie uzna czasu, poświęconego tym zajęciom, za stracony; lecz i tu główną dla niego zdobyczą nie będzie wiedza faktyczna i umiejętność oszołomienia słuchaczy półtuzinem zawiłych terminów prawniczych, tylko raczej zdolność prawniczego myślenia, bardzo cenna przy czytaniu mów sądowych. — Bezpośrednio zaś odnosi się tutaj dziedzina prawa kryminalnego¹⁾, także jednak nie cała; zabójstwo, *repe-*

¹⁾ Nikomu nie radzę czytać lichej broszury Niemeyera (niestety, dyrektora Gelehrtenschule w Kolonji) *Ueber den Proces gegen A. Cluentius Habitus* (1871); lecz mimo wszystko ma ona pewne znaczenie jako doskonała próbka owej *durch keinerlei Sachkenntnis getrübe Unbefangenheit des Urteils*

tundae, ambitus, vis, maiestas — oto wszystko, co potrzeba; niezbędne zaś wiadomości z tej dziedziny prawa zdobywa się samo przez się przy czytaniu mów sądowych Cyncerona, jeśli tylko się je czyta, jako mowe sądowe, nie zaś jako coś innego, tak iż podręczniki rzymskiego prawa kryminalnego — Geiba, Reina, Zumpta i przedewszystkiem Mommsena (*Strafrecht*) — mają znaczenie środków pomocniczych pożądaných, lecz nie niezbędnych. Nie należy zapominać, że prawo kryminalne jest dziedziną najbardziej dostępną z całej nauki prawa; tu bardziej niż gdziekolwiek może być mowa o prawie naturalnem, wrodzonym, i tu kryje się przyczyna, dlaczego tak odczuwamy normy kryminalno-prawne, dlaczego tak łatwo przyswajamy sobie warunki i ograniczenia karalności, a tak trudno je zapominamy, dlaczego wreszcie ta gałąź prawa — i tylko ta jedna — zdobyła sobie nawet dziedzinę beletrystyki, stworzywszy tzw. romans i dramat kryminalny.

Trudniejszą jest nieco pokrewna i jeszcze bardziej niezbędna dziedzina sądownictwa kryminalnego; zupełnie zdają sobie sprawę z tego, że u nas w Polsce nauczyciel już nie bywa pod tym względem w takich dobrych warunkach, w jakich byłem ja przed wojną w Petersburgu. Za owych bowiem czasów istniał tam dla każdego obywatela obowiązek brania udziału w sądach przysięgłych; co drugi lub trzeci rok musiałem poświęcić temu obowiązkowi dwa tygodnie — a ponieważ, jako profesor uniwersytetu, bywałem prawie zawsze obierany na przewodniczącego, więc musiałem bardzo dokładnie uświadomić sobie właściwości nowożytnego sądu z udziałem przysięgłych. A więc: skąd się wziął ten akt oskarżenia? Jaka jest jego wartość jako podstawy dla wyroku? Jakie akty sądowe poprzedzały oddanie oskarżonego pod sąd? Dlaczego oskarżony ma swego przedstawiciela, a strona poszkodowana go nie ma? Dlaczego od świadków wymaga się przysięgi, a od oskarżonego jej się nie wymaga? I było rzeczą zupełnie naturalną, że z tą świadomością w głowie czytałem mowy sądowe Cyncerona z daleko większem zainteresowaniem, niż przeciętny ich czytelnik lub tłumacz. Nie mogłem nie zasta-

(jak się wyraził pewien publicysta niemiecki), która od czasów Drumanna stała się modną w stosunku do Cyncerona. Skamander znalazł się na ławie oskarżonych za to, że w rękach jego „znaleziono truciznę”, przygotowaną do otrucia Cluentiusa; on zarówno jak i jego patron Fabricius zostali skazani jednogłośnie. Niemeyer uważa ich za niewinnych (s. 7), *da das Verbrechen der Vergiftung nicht nur nicht zur Ausführung gelangte, sondern auch in einem so frühen Stadium der Ausführung entdeckt und vereitelt wurde, da auch von der dasselbe notwendig vorbereitenden Handlungen keine einzige perfekt ward*. Za cóż więc, zachodzi pytanie, zostali oni skazani? Chodzi o to, że według rzymskiego prawa kryminalnego (*lex Cornelia dolus*, wyrażający się w *venenum habere*, był karany tak samo, jak sam czyn (rozmyślnie *veneno occidere*). Mówiąc to, trzeba było sprawdzić w Digestach XLVIII 8, 3; lecz łatwiej było, oczywiście, od razu krytykować.

nowić się nad zasadniczymi różnicami między nowożytnem a rzymskim sądownictwem — i nad ich jeszcze bardziej zasadniczym podobieństwem między sobą. Przecie i tu i tam oskarżony bywa uważany za stronę, a nie za przedmiot, jego prawo do milczenia i do obrony niczem nie jest skrupowane; i tu i tam jego los zależy od orzeczenia przysięgłych, nie zaś od wyroku sędziego; i tu i tam to orzeczenie ma jako podstawę swobodną ocenę przytoczonych dowodów, bez wszelkiej obowiązalności tych lub owych ich kategorii. Ale z drugiej strony — w Rzymie poszkodowana strona miała przedstawiciela swych interesów, teraz ona go nie ma (tj. ma go tylko w osobie prokuratora państwowego); tam mowy poprzedzały śledztwo, tu odwrotnie; tam opis (rzekomej lub istotnej) zbrodni był obowiązkiem przedstawicieli, tu mamy akt oskarżenia itd. A więc wynika stąd, że czytelnik Cycerona powinien się zaznajomić z rzymskim sądownictwem kryminalnym? Tak, niewątpliwie; lecz wynika także, iż jest to praca łatwa, ciekawa i wdzięczna. Oczywiście, nie można się tu obejść bez podręczników. Mogę wymienić Geiba (*Der röm. Criminalprocess*), Zumpta (*Der Criminalprocess der röm. Republik*), Poireta (*Essai sur l'éloquence judiciaire à Rome pendant la république*), z których zwłaszcza dwa ostatnie¹⁾ zupełnie dobrze orientują czytelnika niespecjalistę w interesującej nas dziedzinie, a przede wszystkim już wymienione dzieło Mommsena.

Jeszcze mniej trudności przedstawia element drugi, filozoficzny. Że gra on niemałą rolę w wymowie Cycerona, dowodzą tego, niezależnie od naszego zarysu historycznego, słowa samego mówcy, który w swem dziele *Orator* (12), wogóle bardzo ciekawem pod tym względem, oświadcza: *fateor me oratorem, si modo sim aut etiam quicumque sim, non ex rhetorum officinis, sed ex Academiae spatiis exstitisse*; z drugiej strony jest zupełnie jasne, że do czytania mowy w obronie Sestiusa potrzebna jest inna filozofja, niż do czytania Timaios Platona lub *Metafizyki* Arystotelesa. Filozofja, którą jest prześlaknięta wymowa Cycerona, jak ciało jest prześlaknięte krwią, od głównych arteryj dowodów i zaprzeczeń, do ostatnich rozgałęzień oddzielnych *loci*, do najdrobniejszych przenośni i figur, sprowadza się do dwu dyscyplin, które znać musi bezwarunkowo każdy filolog logiki i psychologii, przyczem nawet ta ostatnia staje przed nami nie w postaci ściśle naukowej, lecz w formie owej filozofji życiowej, którą znajdujemy także w powieściach kry-

¹⁾ Co do dzieła Poiret'a trzeba będzie jednak uczynić dość istotne zastrzeżenie. Popierwsze, on nieraz się myli w przedstawieniu prawnej strony zagadnienia; podrugie, cierpi on na manję uogólniania pojedynczych wypadków (zwłaszcza pikantnych), tak że powstaje obraz fałszywy. Z tem wszystkim jednak ze względu na charakter wykładu jest on dostępniejszy od Zumpta i może być polecony dla pierwszego zapoznania się z omawianem zagadnieniem.

minalnych Dostojewskiego. Tym sposobem także to wymaganie, które stawia Cycero swym interpretatorom, polega na prostym *sapere aude*. Sam on nie był filozofem-specjalistą; owoce lekcyj, które pobierał od Philona i Antiochosa, Phaidrosa i Zenona, Diodotosa i Poseidoniosa, polegały raczej na ukształtowaniu ogólnofilozoficznego ustroju umysłu, niż na wiadomościach pozytywnych; lecz ów filozoficzny ustrój umysłu uważny i należycie przygotowany czytelnik łatwo może spostrzec na każdej stronicy jego mów, czy to w logicznie utrzymanej konstrukcji dowodów i zaprzeczeń, czy to w obliczonym psychologicznie porządku, czy to w skłonności do widzenia idei ogólnej w pojedynczych zjawiskach, *avocare* (jak sam się wyraża, *Or.* 45) *controversiam a propriis personis et temporibus*, lub w równie niewątpliwej skłonności wmyślania się w duszę osób zamieszanych w sprawę i dokonywania tego, co dziś nazywa się analizą psychologiczną.

Tak więc Cycero był i prawnikiem i filozofem; czemuż więc, może ktoś zapytać, i prawnicy i filozofowie odnoszą się do niego przeważnie niezyczliwie? Popierwsze dlatego, że był on jednym i drugim; podrugie i przedewszystkiem dlatego, że był on jeszcze prócz tego retorem w sensie opisanej wyżej retoryki wyższej, że u niego argumenty tak filozoficzne jak prawnicze musiały się liczyć z wymaganiami piękna po to, aby w rezultacie nie powstało nagromadzenie myśli, lecz mowa, tzn. całość artystyczna. Dlatego też każdy myślący czytelnik-interpretator Cyclerona winien zapoznać się z temi wymaganiami, tzn. z estetyką krasomówstwa. Istnieją ku temu dwie metody: popierwsze teoria, tzn. przestudjowanie jednego lub kilku z zachowanych nam podręczników retoryki starożytnej: Arystotelesa, tzw. *Cornificiusa*, Cyclerona, *Quintiliana*, *Hermogenesa*, przyczem za komentarz służyć może znana książka *Volkmana*; po drugie praktyka, tzn. analiza retoryczna mów Cyclerona. Która z tych metod jest lepsza — pytanie to zbędne: obie są bezwarunkowo konieczne.

Oto więc na czem polega nowe wymaganie, które Cycero stawia swym interpretatorom... choć, właściwie, waham się nawet nazwać je wymaganiem. Bo w samej rzeczy, czegóż się tu żąda? „Analizy retorycznej“ mów Cyclerona, czyli, innymi słowy, świadomego ich czytania; dalej przestudjowania praw krasomówstwa, tzn. innymi słowy, ułatwienie sobie pracy umysłowej, której wymagałoby świadome czytanie samo przez się. Słusznie uważamy czytanie poetyki Arystotelesa za obowiązujące dla każdego, kto zajmuje się dramatem greckim (czy też każdym innym); bądźmy konsekwentni i wymagajmy znajomości retoryki starożytnej od wszystkich, którzy interpretują Cyclerona.

Powiem więc: umysł świeży, ciekawy i żywy tem się nie zadowolni. Oczywiście, przyjemnie jest powiedzieć sobie,

że rozumie się tego, z kim się ma do czynienia, tzn. że można go mierzyć jego własną miarą; lecz jeszcze przyjemniej jest powiedzieć sobie, że można mierzyć ją samą, tę jego miarę — miarą ogólną i wieczną. Prawa krasomówstwa zostały wyprowadzane drogą empiryczną z gotowych wzorów, nie zaś naodwrot; sam Cycero mówi nam (*De or.* I 146): *non esse eloquentiam ex artificio, sed artificium ex eloquentia natum*. Jeżeli zaś tak jest, to w tych prawach, obok rzeczy indywidualnych i przypadkowych, winny być zawarte pierwiastki ogólne i wieczne; warto, jak sądzę, oddzielić jedne od drugich; jak więc to uczynić? Tak, jak to czynimy w innych wypadkach — drogą porównania. Powinniśmy porównywać starożytną teorię z naszą teorią, starożytną praktykę z naszą praktyką. Co do ostatniej, to najbardziej owocne jest czytanie mów przedstawicieli romańskiego krasomówstwa jako najbardziej pokrewnego rzymskiemu — a więc Lachaud'a, Juljusza Favre'a, Gambetty, chociażby w tych wzorach, które można znaleźć w niedrogiej książce J. Reinach'a *L'éloquence française* (1894). Trudniej — o ile chodzi o czasy nowożytne — o teorię. Istnieją podręczniki w językach obcych (Berryer, *Leçons et modèles d'éloquence judiciaire*, Whately, *Elements of rhetoric* 1873 [istnieje przekład niemiecki Hildebranda pod tytułem: *Grundzüge der Rhetorik*]; Schall und Boger, *Vorschule der gerichtlichen Beredsamkeit*; Frydmann, *Systematisches Handbuch der Vertheidigung*; Vargha, *Die Vertheidigung in Strafsachen*; Ortloff, *Die gerichtliche Redekunst*)¹. Wogóle, najnowsza teoria retoryczna różni się od starożytnej o wiele bardziej metodami dydaktycznymi niż treścią; teoria starożytna gubi się w szczegółach, współczesna zaś w poglądach ogólnych; starożytna, zdobyta drogą empiryczną, lekliwie

¹) Z wymienionych tu dzieł przestudjowałem trzy ostatnie; najbardziej według mego zdania zasługuje na polecenie książka Vargha. Popierwsze, czytelnik znajdzie tu dość szczegółową historję procesu kryminalnego u ludów cywilizowanych od czasów najdawniejszych do najnowszych. Podrugie, autor grzeszy nieszczerością mniej od innych i wogóle, jeśli chodzi o stanowisko, zajmowane względem praw obrony, najbardziej zbliża się do teorii starożytnej. — Frydmann stworzył sobie zupełnie fałszywe pojęcie o rzekomej wszechpotędze państwa rzymskiego, zapominając, że zasady *nullum crimen sine lege* przestrzegano w epoce komisyj kryminalnych tak samo surowo jak dzisiaj (por. Rein, *Criminalrecht* s. 220); wskutek tego fatalnego błędu, niestety podzielanego przez wielu, kuleją wszystkie przeprowadzone przez Frydmanna paralele ze starożytnością rzymską. Obie wymienione książki mają ten wspólny rys, że zwracają główną uwagę na obronę, rozpatrując ją bardziej z punktu widzenia materialnego (tzn. w sensie całości działań obrońcy na korzyść oskarżonego), niż z formalnego (tzn. w sensie mowy obronnej). Wylącznie formalnej stronie rzeczy, i to nietylko obronie, lecz także oskarżeniu, poświęcone jest dzieło Ortloff'a, które można nazwać solidną i poważną teorią niemieckiej wymowy sądowej, tembardziej zasługującą na polecenie, że autor posiada bardzo poważne wiadomości w dziedzinie retoryki starożytnej. Coprawda, nieznanomość warunków życia rzymskiego często czyni go niesprawiedliwym względem niego; czytelnik-filolog winien to mieć na uwadze.

chwytą się praktyki, współczesna usiłuje poddać praktykę sobie; starożytna miejscami jest zbyt szczerą, współczesna często nieszczerą¹⁾. Lecz to nie jest może specjalnie szkodziwe; poznawszy, jak należy, jedną i drugą, czytelnik bez trudu znajdzie drogę pośrednią, słuszną.

V

Taką jest szkoła, którą powinien przejść interpretator mów sądowych Cyncerona. Szkoła to poważna, nie przeczę, lecz przyjemna, pożyteczna i niezbędna. Wielu czyta Cyncerona, wyobrażając sobie, że go rozumie i uważa go za autora nudnego: po takiej szkole oni go rozumieją i uznają za ciekawego. Może mnie tu ktoś zatrzyma: „Co to znaczy: *wyobrażając sobie, że go rozumie?* Czemu, czytając jakąś rozprawę o funkcjach linii, zdaję sobie zupełnie sprawę, że jej nie rozumiem, czytając zaś sądową mowę Cyncerona, nie zdaję sobie z tego sprawy?“ W odpowiedzi powołam się na to, co mówiłem wyżej o martwej gałęzi niemieckiego drzewa pedagogicznego, którą przesadziliśmy do siebie zbyt pośpiesznie. Uczeń przygotował zadany ustęp z Cyncerona; jeżeli jest niegłupim chłopcem, rodzi się w nim niejasne wrażenie, że czegoś nie zrozumiał, że nie wie, czemu Cyncero powiedział właśnie to, nie zaś co innego, a nawet coś wprost przeciwnego. Z tem wrażeniem przychodzi on do klasy; tu słyszy pytania i odpowiedzi o słówkach i konstrukcjach, lecz nie znajduje nikogo, ktoby mu wytłumaczył to niejasne wrażenie, tak, aby ono przeszło w jasne i świadome wyobrażenie, ktoby mu pomógł przyoblec je w formę określonego pytania i dał na to pytanie równie określoną odpowiedź. Dzięki temu to wrażenie zostanie zagłuszone; po dwu, trzech tygodniach już się więcej nie budzi; chłopiec nabiera pewności, że wszystko zrozumiał, że tam wogóle niema nic do zrozumienia.

Tak więc pierwszym skutkiem wyżej opisanej szkoły będzie świadomy stosunek do autora. Mógłbym się tu zatrzymać; rozumie się samo przez się, że doświadczony nauczyciel, zajmwszy świadomy stosunek do autora, potrafi również i uczniów postawić w takim samym stosunku. Lecz ze względu na jasność, aby nie dawać powodu do nieporozumień w materji, gdzie nieporozumienia byłyby w najwyższym stopniu niepożądane, pozwolę sobie choć pokrótce wskazać główne zasady świadomej interpretacji mów sądowych Cyncerona.

Primum naturam causae videat, quae nunquam latet, mówi sam Cyncero (*De or.* II 132), tzn. ów punkt, na którym obrona

¹⁾ Retoryka starożytna otwarcie wypowiada zasady, za któremi bez wahania idzie nowoczesna praktyka, lecz od których odżegnywa się wstydliwie nowoczesna teoria. Słowa Frydmana: *dass die Lehrsätze der antiken Rhetorik nur noch mit der allergrössten Einschränkung acceptirt werden können* (s. X), są tylko skutkiem oszukiwania samego siebie.

może najprędzej liczyć na skuteczną walkę z oskarżeniem; szczegóły daje nauka *περί στήσεων*, która w retoryce starożytnej jest rozwinięta o wiele jaśniej i dokładniej, niż w wielomównej teorii nowoczesnej. Punkt ten należy mieć przed oczyma od samego początku przy czytaniu mów sądowych, zwłaszcza obronnych (a do takich należą z jednym wyjątkiem wszystkie czytane w szkole mowy Cyncerona); ponieważ zaś mowa obronna jest odpowiedzią na mowę oskarżającą, która zaginęła, interpretator powinien choć w głównych rysach odtworzyć tę mowę oskarżającą, do czego znaleźć można dość wskazywek w obronie.

Dalej, należy sobie wyobrazić nastrój sędziów w chwili, gdy Cyncero zaczyna mówić. Teoria starożytna zwróciła należytą uwagę na ów ważny punkt, od którego zależy wybór motywów do wstępu: różnica między *exordium* i *insinuatio* ma za podstawę właśnie ten nastrój, i w mowach obronnych Cyncerona można zauważyć z tonu i charakteru wstępu — powściągliwego i ostrożnego, lub śmiałego i triumfującego — czy mówi on pod bezpośredniem wrażeniem mowy oskarżającej (jak w mowach w obronie Cluentiusa lub Milona), czy też jego koledzy z obrony zdążyli już oczyścić grunt dla niego (por. mowy w obronie Mureny, Sestiusa). Właśnie w wyborze motywów wstępnych wypowiedział się zdumiewający takt, zdumiewające poczucie psychologiczne Cyncerona.

Po wstępie następuje przedstawienie faktów, *narratio*; że *narrationes* Cyncerona są wyborne, przyznaje też teoria nowoczesna (por. Ortloff s. 208), lecz zalety ich widoczne są tylko dla tego, kto patrzy na nie świadomie, z punktu widzenia retoryki wyższej. Trzeba koniecznie dobrze pamiętać o różnicy między *narratio* historyczną a sądową, trzeba wiedzieć, że subiektywizm w przedstawieniu faktów jest nie tylko dozwolony, lecz nawet uważany za obowiązek przedstawiciela strony, że powinien on poczytywać za fakty wszystkie szczegóły, podane mu przez podsądnego i przemawiające na jego korzyść, o ile nie stoją one w sprzeczności z faktami sprawdzonemi, biorąc pod uwagę, że oskarżenie dało przeciwne zabarwienie faktów. Raz to zrozumiawszy, interpretator — zwłaszcza jeżeli zdobył pewne poczucie pod tym względem przez czytanie procesów nowożytnych — znajdzie w *narrationes* Cyncerona bogate i wdzięczne pole do obserwacji; nieraz aluzja, pytanie, lub nawet sama staranność, z jaką mówca podkreśla ten czy inny punkt, pomaga mu do odkrycia tezy, wywalczanej przez oskarżenie, nie mówiąc już o wypadkach, gdzie, jak w mowie za Milonem, mamy środki niezależne; tu właśnie ciekawem jest zwrócić uwagę czytających na sztukę, z jaką Cyncero grupuje fakty, wysuwa okoliczności korzystne dla obrony, przytacza argumenty, łagodzące znaczenie okoliczności niekorzystnych, pozostając oczywiście w granicach, zakreślonych przez obyczaj i etykę.

Dalej idzie *tractatio*, główna arena obserwacji i ćwiczeń dla czytających. Uważam jednak za potrzebne zauważyć, że interpretator nie powinien popadać w błąd, w jaki popada bardzo wielu z pośród piszących dziś o Cyceronie: nie będąc wyszkolonymi w retoryce wyższej, sądzą oni, że mają prawo rozstrzygać kwestję winy, czy niewinności podsądnych na podstawie materiałów danych przez Cycerona. U Drumanna znaleźć można prawdziwe pod tym względem monstra prawne. Naszą rzeczą jest zająć się nie procesem Sestiusa, który już dawno został rozstrzygnięty, tylko mową Cycerona w jego obronie; musimy więc ograniczyć się to tego, co możemy skonstatować. Nie możemy wydawać sądu o świadectwach, dokumentach itd.; podkopywać się pod te *πίστεις ἄπειροι*; jest to praca równie łatwa jak bezpłodna, i nie należy na nią tracić czasu (powołam się i tutaj na wymienioną wyżej broszurę Niemeyera). Musimy, powtarzam, ograniczyć się do tego, co podlega naszej kontroli. Tu przede wszystkim trzeba będzie ustalić granicę między temi *loci*, które wprowadzają nowe dowody prawne, a temi, które powinny tylko zdwoić siłę dowodów przytoczonych wcześniej; pierwsze nazywają się *argumenta*, drugie *amplificationes*; różnica ta, znana już Aristotelesowi, przechodzi przez całą retorykę starożytną, i tylko najnowsi interpretatorzy haniebnie o niej zapominają; skutek jest taki, że w uczniach tłumi się wszelkie poczucie prawnicze, i że Cycero z dowcipnego i myślącego mówcy robi się jakąś gadatliwą babą, piętrzącą dziesięć dowodów na jedną i tę samą tezę. Dalej, całą krytykę prawniczą trzeba będzie skupić na *argumenta*: trzeba będzie rozstrzygnąć, czy mamy przed sobą *argumentum* w ścisłym znaczeniu czy poszlakę (*suspicio*) — przychem świadomy interpretator nie pominie sposobności, by rozwinąć przed uczniami rolę poszlak w procesie kryminalnym różnych czasów i podkreślić raz jeszcze podobieństwa w stosunku do poszlaki między sądownictwem starożytnym a współczesnym. Dalej, ciekawe będzie wyłączyć w oddzielnej grupę dowody psychologiczne: „gdyby podsądny był winien, to, oczywiście, postąpiłby tak a tak, nie zaś tak, jak postąpił w rzeczywistości“, grające tak ważną rolę w mowach sądowych naszych czasów. Dalej — lub może od samego początku — trzeba będzie potraktować dowód z punktu widzenia logicznego: rozstrzygnąć, czy dany dowód należy do dedukcji czy indukcji, tzn. innemi słowy, czy mamy przed sobą entymemat czy przykład.

Po teorii dowodów następuje teoria zaprzeczeń. Należy przede wszystkim rozbić zaprzeczenia na dwie grupy: możemy albo wprost obalić przytaczane przez przeciwnika argumenty, rozbierając je (*κατ' ἀντιρροπίην*), albo pośrednio, przeciwstawiając im inny, bardziej przekonujący argument (*κατ' ἀντιπαράστασιν*) — podział to wieczny i przeto poważany również

przez teorię nowoczesną (por. np. Vargha s. 146, Frydmann s. 196); a potem należy pokazać różną budowę zaprzeczenia και ἀνατροπήν w stosunku do entymematu i przykładu.

Wreszcie *amplificatio* również nie powinna ująć naszej uwadze; jak każde działanie na duszę ludzką, przedstawia ona wdzięczny przedmiot dla krytyki psychologicznej. Co prawda, jest to najtrudniejsza niemal dziedzina wymowy; retoryka starożytna opracowała ją tylko zewnątrz, a współczesna, wskutek swej nieszczerości, pozostawiła ją zupełnie bez uwagi. Lecz nawet zewnętrzne kategorie retoryki starożytnej mogą nam pomóc w uchwyceniu podobnych rysów w różnych amplifikacjach i w ten sposób przynieść pożytek.

Tak można i należy analizować *tractatio*; lecz po analizie należy zająć się syntezą, tzn. postawić pytanie, w jakim stopniu cały kompleks dowodów, zarzutów i amplifikacji odpowiada głównemu celowi mowy: wzbudzeniu czy obaleniu przekonania. Tu trzeba będzie zwrócić uwagę na kolejność dowodów, która u Cycerona jest zawsze głęboko obmyślona i ma za podstawę częściowo względy psychologiczne, częściowo estetyczne; dalej, na środki, do których ucieka się mówca, aby słuchacze, zagłębiając się w jakiś jeden argument, nie stracili z oczu pozostałych; tu mówca nasz wykazuje takie obmyślenie, taką troskliwość o interes słuchaczy, tzn. pośrednio swego klienta, że tylko ta jedna strona jego charakteru jako mówcy kazałaby nam uznać go za wzorowego. Lecz jest to temat nieskończony.

Pozostaje ostatnia część mowy, *peroratio*, ze swemi dwoma elementami: *enumeratio* i *commiseratio*. Tu ten ostatni zwłaszcza element daje interpretatorowi sposobność do pomówienia na ważny temat — o roli afektów w sądownictwie, tzn. o tem, czy wolno czy też nie wolno mówcy zwracać się nietylko do rozumu, ale i do serca słuchaczy. Nie należy pozostawiać bez uwagi różnego stosunku do tej kwestji teorii starożytnej i nowoczesnej, oraz starożytnej i nowoczesnej praktyki; lecz to nie wszystko: należy postawić pytanie co do przyczyny tego różnego stosunku i oczywiście dać wedle możliwości na nie odpowiedź.

Wszystko, co powiedziałem, odnosi się do konstrukcyjnej części retoryki (*inventio* i *dispositio*); lecz ponadto, jest także część retoryki ornamentalna — głównie nauka o figurach i tropach. O niej to zwykle myśli publiczność, gdy mowa o retoryce; z niej przeniosła ona swą odrazę na retorykę wogóle. Jest to położenie nienormalne, którego nie należy tolerować. Przedewszystkiem uczniowie powinni wiedzieć, że to nie retoryka wymyśliła tropy i figury, że one istniały wszędzie i zawsze. Nieprawdą jest dalej, że mowa obrazowa musi być koniecznie nienaturalna i pretensjonalna; wprost przeciwnie: zjawisko nienaturalne przedstawia mowa szara

i bezbarwna. Im człowiek stoi bliżej przyrody, tem bardziej mowa jego jest obrazowa. Zresztą mogę się tu powołać na to, co wyłuszczyłem dokładnie w swojej rozprawie o prozie artystycznej (*Z życia idei* I 212 n.) Nieprawdą jest wreszcie, że retoryka formalna jest czemś szablonowem, martwem; proszę spróbować zbudować ją na psychologii — wtedy widać, jaki to jest żywy i ciekawy przedmiot. Co prawda, retoryka filozoficzna to zadanie przyszłości; lecz na potrzeby szkolne wystarczy i to, co może dać nauczyciel, łączący z wiadomościami teoretycznymi i odczytaniem w zakresie literatury starożytnej i ojczystej, filozoficzny ustrój umysłu, a przede wszystkim dobrą wolę.

VI

Takie są wymagania, które nie ja, lecz sam Cycero stawia swoim tłumaczom. Czy są one słuszne? Zdaje się, nie może być wymagań słuszniejszych nad te, co do których wymagający może powiedzieć: Czyniąc zadość im, otrzymacie sami i zadowolenie i pożytek.

Nie chciałem jednak ograniczyć się do roli tego, co tylko innym wskazuje drogę; chciałem się przekonać własnem doświadczeniem, czy ta droga jest możliwa i czy prowadzi ona do celu. Wybrałem więc jedną z mów sądowych Cycerona, aby opatrzyć ją w dokładny komentarz właśnie z tego punktu widzenia, o którym była mowa w tej rozprawie. Jest to *In Verrem V*; ma ona równocześnie z tym artykułem ukazać się w wydawnictwie Książnicy Polskiej. Dlaczego właśnie ta? Dlatego, że jest ona ze względu na poruszone tematy jedną z najciekawszych, a ze względów etycznych chyba najszlachetniejszą: w całym jej przeciągu współczujemy z mówcą.

Czy uczniowie dadzą sobie radę z tym moim komentarzem, czy nie — to inna kwestja; oczywiście będzie to zależało od poziomu danej klasy, i już zadaniem nauczyciela będzie w każdym danym wypadku wybierać odpowiedni materiał. Przede wszystkim jednak pragnąłbym, żeby to wydanie znalazło drogę do rąk każdego nauczyciela, żeby było przestudjowane przez niego dokładnie i sumiennie — nie dlatego tylko, aby tłumaczyć uczniom właśnie tę tylko mowę. Przeciwnie, proszę widzieć w niej tylko wzór, tylko próbkę: ta nowa metoda, którą zastosowałem w moim komentarzu, może być zastosowana do każdej mowy Cycerona. Jest to bowiem metoda — jedyna — interpretacji żywej.

Ale, podkreślam to jaknajmocniej, wymaga ona też interpretera żywego. Proszę się jaknajżywiej wczuć w zdarzenia, o które tu chodzi, proszę wywołać w swej wyobraźni podwójną ich rzeczywistość — jak one nastąpiły tam w dalekiej Sycylii, i jak je odtworzył mówca tu, na mównicy rzymskiego forum. Niema tu nic trudnego, należy tylko zechcieć, należy

szczerem wysiłkiem odepchnąć tę sztuczną przegródkę, która nas, współczesnych czytelników, dzieli od owego świata. I niech nikt nie myśli, że jest do tego niezdolny; jest to przecie ten sam akt woli, którego używamy wobec najlichszego romansu.

Mój komentarz jednak stosuje się przeważnie do tej drugiej rzeczywistości — do tego, jak mówca korzysta z ustalonych przezeń zdarzeń dla udowodnienia winy oskarżonego — tzn. dla obrony pokrzywdzonej prowincji. W tem zawiera się oryginalność mojego komentarza, ale mniejsza o to: w książce dla użytku szkolnego oryginalność wcale nie jest potrzebna. Nie, ale w tem zawiera się także jego pożyteczność; sądzę, że po tem, co było powiedziane w poprzednich rozdziałach, mam prawo to utrzymywać.

Na jeden możliwy zarzut chciałbym jednak odpowiedzieć. Wiem bowiem, że w naszym społeczeństwie — nie w Polsce tylko, ale wogóle — grasuje choroba, którą nazywam terminofobją. Otóż tę chorobę należy jaknajenergiczniej zwalczać. Niepodobna przecie uczyć geometrii, nie używając takich terminów, jak trójkąt, paralelogram, sześcian itd.; to samo dotyczy się każdej poważnej nauki, a więc także i tej retoryki wyższej, o której tu mowa. Już w niniejszym zarysie użyłem kilku terminów retorycznych; w moim komentarzu jest ich daleko więcej. Nie mogłem i nie chciałem tego unikać: termin jest to skryształizowane w jedno słowo określenie, jego wartość — i logiczna i praktyczna — jest bardzo wielka. Używając terminu, usuwa się mglistość pojęcia — naturalnie pod warunkiem, by termin był użyty trafnie. Nie znaczy to jednak, że należy wymagać od uczniów, by uczyli się wszystkich użytych w komentarzu terminów, Są między niemi takie, które mają znaczenie ogólne; są i takie, których znaczenie ogranicza się do danego miejsca. Segregacja jednych i drugich będzie zależała od taktu pedagogicznego nauczyciela: na życzliwą współpracę tego ostatniego autor komentarza liczył bodaj w większym jeszcze stopniu, niż to bywa wogóle w dziedzinie dydaktyki gimnazjalnej.

RADA (Horacy c. I 11)

Nie dociekaj, bo nie dociec tego ludzkiej głowie,
jaki koniec mnie czy tobie znaczyli bogowie.

Precz kabała, w babilońskim łącnie zbłądzisz lesie:
słodziej ufać przeznaczeniu, cokolwiek przyniesie.

Czy nam więcej, czy nam Jowisz zimę da jedyną,
co dziś morze wichrem porze, cedź, dziewczyno, wino!
Gawędzimy, a godziny czmychają zazdrośnie:
rwij, co daje dzień, nie żałuj, nie dowierzaj wiośnie!

STANISŁAW PILCH

NOWSZA METODA NAUCZANIA JĘZYKÓW KLASYCZNYCH

Nowe programy Min. WR i OP kładą wielki nacisk na metodę nauczania¹⁾. Ma ona wyrabiać w uczniach samodzielność, przygotowywać i zaprawiać do zdobywania prawdy własnymi siłami; ma być metodą nie nauczania, lecz uczenia się. Jak najmniej wykładu i podawania gotowej wiedzy przez nauczyciela, lecz bezustanne zmuszanie i przyzwyczajanie uczniów, odpowiednio do ich wieku, do samodzielnej pracy, do myślenia i wynajdywania czegoś nowego, a więc do rozwijania i wzbogacania swych sił duchowych, do zdobywania wiadomości drogą własnego wysiłku umysłowego. Zamiast podawać gotowy materiał, ma ich wcześniej zaprawiać do podstawowej formy naukowego myślenia, wyprowadzania ogólnych typowych zjawisk ze szczegółów²⁾. To tylko ma wartość wychowawczą, co wzmacnia energję myślenia i samodzielnej pracy umysłowej, a zapobiega bezmyślnej i mechanicznej czynności, która niestety często cechowała dawną metodę, zwłaszcza przy nauczaniu języków starożytnych.

Dawna więc metoda wykładowa, zwana także akroamatyczną (od ἀκροαματικός 3. przeznaczony do słuchania), przy której uczeń przeważnie tylko się przysłuchuje, a nauczyciel mówi, ma zejść na drugi plan, a wysunąć się musi na czoło nowsza metoda, heurystyczna (od εὐρίσκω znajduję), zwana tak dlatego, że chce znaleźć prawdę, która drzemie niejako w duszy ucznia, dla niego samego często bezwiednie, ma ją obudzić i uświadomić mu za pomocą stosownych pytań. Chodzi więc o wydobyć jej ze skarbnicy wyobrażeń i pojęć, które spoczywają w łonie duszy, a poruszyć je należy stosownem pytaniem, jakby różdżką czarodziejską, chodzi o zapłodnienie istniejącego zarodka i pobudzenie go do wzrostu, a nie o wykazanie wiedzy, zewnątrz zdobytej. Nazywamy ją także sokratyczną metodą nauczania, ponieważ Sokrates uprawiał ją z zamiłowaniem. Mawiał on, że rozprawiając ze swoimi uczniami właściwie ich nie uczy, tylko na ich duszach wykonywa sztukę matki swej położnej (stąd nazwa tej metody μαϊευτική τέχνη), gdyż zapomocą stosownych pytań ułatwia duszy niejako wydanie prawdy na świat. Jest to nauczanie zapomocą pytania; dlatego nazywamy ten sposób uczenia również erotematycznym, tj. pytającym (od ἐρωτάω pytać). Lecz metoda erotematyczna daje uczniowi w pytaniach pewne

¹⁾ O formach czyli metodach uczenia por. A. Danysz, *O kształceniu*, Lwów, Macierz Polska 1918, 264 n. A. Scheindler, *Methodik des Unterrichts in der lateinischen Sprache*, Wiedeń 1913, 9.

²⁾ Por. P. Dettweiler, *Didaktik und Methodik des lateinischen Unterrichts*, Monachjum 1914, 18—20.

wytyczne, ułatwienia, drogowskazy na tej drodze, którą ma dążyć do zdobycia prawdy. Lepsza jest metoda laboratoryjna, gdy uczeń sam, o własnych siłach, nieraz po długim błędzeniu, pracą własnej myśli dochodzi do prawdy i utrwala ją w sobie. Ma ona główne zastosowanie w przyrodoznawstwie, fizyce i chemji, ale również w każdym przedmiocie nauki szkolnej zastosować można sposób nauczania, podobny mniej lub więcej do metody laboratoryjnej. Gdy np. w językach klasycznych uczeń ma przełożyć na język polski jakiś ustęp przy pomocy tylko słownika, to będzie to poniekąd postępowanie laboratoryjne.

Częstsze zastosowanie mieć będzie nauczanie erotematyczne, którego istotą jest zapomocą pytań i odpowiedzi wywabiać prawdę ze skarbcza duchowego ucznia. Skarb ten leży częstokroć głęboko ukryty, i potrzeba nieraz głębokiego wiercenia pytaniami, dopóki się nie natrafi na ukrytą żyłę cennego kruszcu. To wymaga wiele logicznej i psychologicznej pracy ze strony nauczyciela w rozwijaniu pytań i rozkładaniu odpowiedzi na części istotne i nieistotne; nieodzowna jest także duża współpraca ze strony ucznia. Lecz taka praca sprawia obu stronom wielką radość, gdy sokratyczne postępowanie nauczyciela ma powodzenie, gdy radość z poznawania prawdy błyszczy w młodocianych obliczach uczniów. Dowody wiedzy uczniów sprawiają obu stronom radość, lecz w wyższym jeszcze stopniu dowody zrozumienia, poznawania prawdy i wydawania trafnych sądów i powinny mieć większe znaczenie przy ocenie uczących się.

Wartość wychowawcza tej metody nauczania jest bezwątpienia większa, niż dawnej, akroamatycznej, bo wyrabia w uczniach wiedzę istotną, opartą na prawdach nie wmówionych, lecz zdobytych pracą własnej myśli, rozwija w nich samodzielność, podstawowy postulat dzisiejszej pedagogiki. Nie jest to zasada nowa, bo już niemiecki wychowawca, Wolfgang Ratichius (właściwie Ratke, 1571—1635) i czeski pedagog Jan Amos Komenský (Comenius, 1592—1670) stawiali żądanie¹⁾, by nauka gramatyki języków starożytnych opierała się głównie na indukcji i metodzie heurystycznej, ograniczała się do głównych reguł i właściwości, odstępujących od języka ojczystego, polecali, aby niczego nie traktować pamięciowo, lecz dążyć do zupełnego zrozumienia. Przy nauce każdego przedmiotu uczeń ma uczyć się widzieć, myśleć, pracować. Wskazali więc pod wielu względami drogę, którą kroczyć musi dzisiejsza pedagogika, jeśli nauka szkolna wydać ma trwałe owoce. Także Fr. A. Wolf, twórca hipotezy o formalnie kształcącym wpływie nauki języków klasycznych, utrzymującej, że nauka form i słów jest doskonałą gimnastyką umysłową, żądał indukcyjnej metody

¹⁾ Por. Fr. Majchrowicz, *Historja pedagogji dla użytku seminarjów nauczycielskich i nauki prywatnej*, ²Lwów 1907, 138 n. 142 n. Dettweiler s. 5.

w nauczaniu gramatyki języków klasycznych, polecając, by prawidła składniowe uczniowie sami wykrywali z lektury, podobnie jak dziś obowiązuje ta metoda przy nauce gramatyki wszystkich języków (por. Majchrowicz s. 193 n. Dettweiler s. 6).

Widzimy więc, że postulat kształcenia w uczniach samodzielności pojawia się już z pocz. XVII stulecia, a w najnowszych czasach stał się tylko bardziej aktualnym; domagają się go coraz liczniejsze głosy. Jest to niejako reakcja przeciwko zbyt niemu rozwieleniu się dawnej metody pamięciowej. Oczywiście, nieraz jeszcze wypadnie stosować dawną metodę wykładową, jak również dedukcyjną obok indukcyjnej, ale na czoło wybić się musi metoda nowsza, heurystyczna, która właściwie ma wiele cech wspólnych z indukcyjną. Wprawdzie i metoda pamięciowa ma wartość i powinna być do pewnego stopnia w użyciu, lecz kiedy weźmie ona górę w nauczaniu, wówczas nie może być mowy o rozwoju wszystkich dyspozycji psychicznych, co jest przecież celem nauki. Często się zdarza, że ci nauczyciele, którzy kładą nacisk na formalnej, rozum i pamięć kształcącej stronie nauczania języków starożytnych, uprawiają nadmierne ćwiczenia gramatyczne, przez które osiąga się wprawdzie zewnętrzne wiadomości, ale umysł zmuszony jest ciągle do zachowania się raczej biernego, do pracy dość mechanicznej, zacieśnionej. Miejsce gramatycznego schematyzowania zająć więc musi, o ile to możliwe, rozumienie, oparte na własnym sądzie i samodzielnym poznawaniu. Nie znaczy to, aby wyłącznie nowszą metodą miał się kierować nauczyciel. Ma on zawsze możność wyboru formy uczenia, zależnie od klasy, uzdolnienia uczniów i przedmiotu, który w danej chwili omawia.

Jeśli mowa o heurystycznym nauczaniu języków starożytnych, nie wynika z tego, że w ten sposób ma się traktować wszystkie deklinacje i konjugacje; byłoby to często kołowaniem i błędną drogą¹⁾. Wyrobiecie jednak w uczniach samodzielności powinno być dążeniem każdego nauczyciela, a to da się nieraz osiągnąć również metodą dedukcyjną.

Postulat rozwijania w uczniach samodzielności powinien być wytyczną w pracy dla nauczycieli języków starożytnych, gdyż nauka tego przedmiotu jest podstawą wychowawczą w gimnazjach klasycznych dawnego i nowego typu, zajmuje największą ilość godzin, a pozycja filologii jest narażona na ciągłe ataki, które przedewszystkiem spowodowane są złą metodą nauczania. Nie utrzymamy się na tem stanowisku, jeśli nie doprowadzimy uczniów klas wyższych do tego, aby samodzielnie bez większych trudności czytali autorów.

Starałem się dotąd wykazać, że nowsza metoda nauczania w większym stopniu niż dawna wyrabia w uczniach samodzielność. Góruje ona także tem, że budzi w wychowankach

¹⁾ M. Siebourg, *Lateinisch und griechisch* w R. Jahnke, *Ziele und Wege des Unterrichts*, Lipsk 1918, 94 n.

o wiele więcej zajęcia, zaciekawienia dla przedmiotu, co ma ogromne znaczenie w nauczaniu, jak to podnoszą zgodnie wszyscy pedagogzy od Herbartu począwszy. Wilhelm Jerusalem w dziele swem: *Die Aufgaben des Lehrers an höheren Schulen*, ²Wiedeń-Lipsk 1912, 164 n. zaznacza, że budzenie zajęcia i przyzwyczajenie uczniów do regularnej pracy są dwiema głównymi zasadami nauczania, które stosować się powinno na każdym stopniu i w każdym przedmiocie. Lecz dodaje (s. 165 i 166), że pierwsza zasada, tj. budzenie zajęcia, nie jest jeszcze należycie ceniona przez nauczycieli. Filologowie klasyczni np. kładą nieraz większą wagę na to, aby osiągnąć pewność w formach gramatycznych i staranność w preparacji, niż wzniecać w uczniach radość z lektury autorów i głębsze zajęcie oraz zrozumienie świata starożytnego. Podobne zarzuty czyni także nauczycielom innych przedmiotów.

Zarzuty, w znacznej mierze słuszne, odnieśćby można i do naszych szkół, w których panuje przeważnie zasada przymusu, a ścisłe wdrażanie uczniów do udziału w lekcji wydaje się ważniejszym od dobrowolnego z ich strony, radosnego udziału w nauce. Jeśli nauczyciel zaniedba pielęgnowania w uczniach tej wewnętrznej radości z nauki i budzenia przyjemnych uczuć z samodzielnej pracy, jeśli nie zdoła w nich podniecić zainteresowania, wtedy wyszkolenie nie wejdzie do najgłębszych skrytek duszy, lecz pozostanie przejściowym przymusem zewnętrznym, więzami, których pozbywają się możliwie najprędzej. Dlatego pierwszym i najważniejszym obowiązkiem nauczyciela jest budzić w swych wychowankach zajęcie czyli radość z samodzielnej pracy duchowej. Znaczenie tego uznał już św. Augustyn, który w *Confess.* I 14, 23, mówiąc o uczeniu się języków, tak się wyraził: *Hinc satis elucet maiorem habere vim ad discenda ista liberam curiositatem quam meticulousam necessitatem: wynika z tego dość jasno, że swobodne zainteresowanie większe ma znaczenie w uczeniu się tego, niż przymus połączony z obawą¹⁾.*

Zainteresowanie należy do uczuć przyjemnych. Radość ma wielkie znaczenie dla życia moralnego i wychowania, jest siłą rozszerzającą i zarazem koncentrującą, pobudzającą i twórczą. Nauczyciel, który potrafi uczniów przyjemnie zająć, sprawia już przez to samo, że zupełnie oddają się swemu przedmiotowi, koncentrują na nim swe siły duchowe czyli uważają. Umilkłyby niezliczone skargi na nieuwagę uczniów,

¹⁾ Podobną myśl znajdujemy u Kwintyljana, *Inst. or.* I 1, 20: *id in primis cavere oportebit, ne studia, qui amare nondum poterat, oderit, et amaritudinem semel perceptam etiam ultra rudes annos reformidet. Lusus hic sit...* por. W. H. D. Rouse - R. B. Appleton, *Latin on the Direct Method*, London 1925, 4, gdzie w rozdz. I jest wiele trafnych uwag o konieczności budzenia w wychowankach uczuć radosnych, zaciekawienia dla przedmiotu nauki i poczucia własnych sił przez odpowiednią metodę nauczania.

jeśliby nauczyciele uważali za swój główny obowiązek obudzić w wychowankach zainteresowanie, tj. radość z uczenia się. To radosne usposobienie i podniecenie, które nazywamy zainteresowaniem, powstaje przez to, że dajemy uczniom sposobność do samodzielnej pracy myślowej, do rozwijania w sposób zadowalający dyspozycję psychicznych i funkcji intelektualnych. Radość, którą sprawiamy naszym uczniom przez budzenie zainteresowania, podnieca ich równocześnie do samodzielnej pracy i zwiększa poczucie własnych sił; w tem właśnie leży główne znaczenie tej zasady nauczania. Im częściej i intensywniej pozwalamy uczniom doznawać radości z samodzielnego myślenia i wydawania sądów, tem większe rodzi się w nich pragnienie wiedzy, tem chętniej przyjmują naukę do swych serc i rozumów; przez to praca nasza staje się lżejsza, przyjemniejsza i wydaje lepsze owoce. Jeżeli jest mowa o interesującym nauczaniu, nie znaczy to, że nauczyciel ma używać oryginalnych zwrotów, dowcipnych pomysłów, żartów itp. rzeczy rozweselających. Są one zgoła niepotrzebne. Nauczyciel musi tylko posiadać silną wolę, aby tak pokierować nauką, żeby nietylko polegała na przerabianiu danej lekcji i jej egzekwowaniu, lecz dawała uczniom sposobność do rozwijania własnych sił duchowych w sposób sprawiający im przyjemność, do kształcenia dyspozycji psychicznych i funkcji intelektualnych. Jest to zainteresowanie teoretyczne lub intelektualne.

Dla praktycznego stosowania powyższej zasady ważne jest to, że duchowa samodzielność wtedy tylko może być przyjemna i sprawiać radość, jeśli jest skuteczna, jeśli jej towarzyszy pomyślny wynik. Jeśli praca ma być przyjemna, musi się udać, musi być owocna. Wynika z tego powinność dla nauczyciela, aby zwłaszcza przy rozpoczęciu nowego przedmiotu lub jakiegoś działu tak zajął uczniów, żeby łatwo odpowiedzieli jego wymaganiom. W następstwie radosnego usposobienia wzmagają się w uczniach zdolność do twórczej pracy, do rozwiązywania zadań trudniejszych.

W niższych klasach można stosunkowo łatwo zaspokoić tę wrodzoną niejako uczniom potrzebę doznawania uczucia przyjemnego przy uczeniu się. Już powtórzenie małego zdania w języku łacińskim czy greckim, rozebranie go na części składowe i przetłumaczenie sprawia im radość, uczucie zadowolenia. W początkach nauki języka łacińskiego nie należy uczniom z góry podawać gotowych reguł wymawiania pewnych liter (np. *c* po *a*, *o*, *u* — *i*, *e*) czy akcentowania, ani gotowych wzorów odmiany czasownika czy rzeczownika. Większą przyjemność sprawi im i większe obudzi w nich zainteresowanie dla tego języka, jeżeli reguły czy wzory sami będą wyprowadzać drogą heurystyczną z ustępów zawartych w podręczniku. Wielką przyjemność znajdują uczniowie w two-

rzeniu zdań z jednego lub więcej danych wyrazów, bo to ich podnieca do samodzielnego myślenia. Nauczyciel musi się zastosować do pojęć chłopca, zgodnie z zasadami kojarzenia się wyobrażeń i pojęć nawiązywać do rzeczy znanych, porównywać ciągle z językiem ojczystym, główną pracą wraz z ćwiczeniami w formach przenieść do nauki szkolnej, jak najmniej pozostawiać pracy domowej (Dettweiler s. 20).

Tego nawiązywania do rzeczy znanych domaga się też zasada apercpcji, tj. uświadomienie, przygotowanie umysłów młodzieży do przyjmowania wiadomości naukowych. Jest ona siłą pobudzającą na każdym stopniu nauki. Obserwacja najprostszego procesu fizjo-psychologicznego poucza nas, że każdy przedmiot nauki przyswajamy sobie tem łatwiej, im więcej kojarzy się z wiadomościami i pojęciami w nas istniejącymi. Z tego wynika, że przy nauczaniu gramatyki języków starożytnych należy wychodzić od języka ojczystego i ciągle do niego nawiązywać; gramatyka oderwana nie może być punktem wyjścia i podstawą nauki tych języków, głównym celem ma być lektura autorów i przekład na język polski. Wynika dalej z tego, że przy objaśnianiu autorów należy ustawicznie uwzględniać stosunki ojczyste, starożytne urządzenia, zwyczaje, poglądy, instytucje polityczne i religijne porównywać z nowoczesnymi, przede wszystkim ojczystymi (Dettweiler s. 20. 23). Przytem należy to mieć na uwadze, że niejednokrotnie trzeba wprzód wyjaśnić niejedną rzecz z zakresu języka ojczystego, aby uczyć czegoś w języku obcym. Tego trudu nie należy unikać przy nauczaniu języków starożytnych, gdyż w przeciwnym razie młodzież uczyłaby się słów i frazesów, bez odpowiednich pojęć i myśli. W klasach niższych nadarza się prawie codziennie sposobność objaśniania słów, których niejednen z uczniów uczy się bezmyślnie napamięć, nie kojarząc z tem stosownych pojęć. Uczeń ma sobie uświadamiać znaczenie i wpływ tych języków, szczególnie łacińskiego, na język polski; w tym celu przy odpytywaniu słówek należy domagać się podania wyrazów pochodnych, używanych w naszym języku. To wiąże przeszłość z terażniejszością, ożywia naukę i budzi zajęcie dla przedmiotu. Świat starożytny może także być walnym czynnikiem wychowawczym, uszlachetniającym młodzież, przyczynić się do wyrobienia w niej silnej woli do dobrego, pięknego charakteru, jeśli nauczyciel zwracać będzie uwagę wychowanków na ideały świata starożytnego, przykłady męstwa i poświęcenia dla ojczyzny, sumiennego wykonywania obowiązków. Może się to również przyczynić do ożywienia nauki, do zwiększenia zainteresowania.

Obudzenie radości z uczenia się i zajęcia dla przedmiotu jest rzeczą stosunkowo łatwą, trudniej jest utrzymać je trwale w tym samym stopniu. Nauczyciel musi uwzględniać

stopień rozwoju uczniów; nie powinien ich odstraszać zbyt wielkimi wymaganiami, ani przytępiać i nudzić pytaniami o rzeczy elementarne. Należy więc nakreślić sobie zasadę, że w każdym przedmiocie i na każdym stopniu nauki będziemy się starali stosować taką formę nauczania, któraby rozwijała w uczniach samodzielność, budziła w nich radość z uczenia się i zainteresowanie.

Aby jednak nauka wydawała owoce, należy przyzwyczajać uczniów do regularnej pracy i poczucia odpowiedzialności, które się z tem łączy. Praca jest najważniejszą podstawą umoralnienia i dlatego wdrożenie uczniów do systematycznej pracy należy do najważniejszych zadań etycznych szkoły. To też jeśli tak wychowamy naszych uczniów, aby codziennie myśleli o pracy na dzień następny i przyszłe, aby tę pracę uważali za pierwszy swój obowiązek, jako rzecz samą przez się zrozumiałą, a brzydzili się lenistwem, wtedy daliśmy im cenny skarb na życie. Doświadczenie uczy, że uczniowie zakładów, w których ściśle żąda się regularnej pracy, przeważnie w przepisany czas kończą studia wyższe. To przyzwyczajanie do pracy należy rozpocząć już od kl. I. Zadajemy uczniom małe, łatwe do opanowania pensum, lecz z bezwzględną surowością żądamy z niego sprawozdania, aby uczniowie poznali, że sami ponoszą odpowiedzialność za swą pracę. Zadania te będą się zwiększać w miarę postępu nauki. Już w niższych klasach filolog musi uczniom zwrócić uwagę, że na to się ćwiczy formy w klasie, aby je wrazić w pamięć, i że po pewnym czasie muszą je zupełnie opanować, muszą się one zautomatyzować. Przy interpretacji autorów nauczyciel już w klasie musi wychowanków przyzwyczaić do ściśle metodycznego myślenia i gruntowności i już podczas nauki szkolnej nietylko podniecać rozum do samodzielnej pracy, lecz także wyszkolić, wdrożyć go do regularnej pracy. Lecz nietylko w szkole powinni uczniowie z wytężeniem pracować, lecz także w domu muszą się przygotować do godzin szkolnych i przyzwyczajać się do odpowiedzialności za spełnienie obowiązku, za wykonanie zadań, na nich włożonych.

Streszczając powyższe wywody, powtarzam, że pierwszeństwo w nauczaniu powinna otrzymać nowsza, heurystyczna, metoda dlatego, że wdraża uczniów do samodzielnej pracy, budzi w większym stopniu zajęcie dla przedmiotu i przyzwyczaja uczniów do pracy, gdy ci widzą owoce swych wysiłków, wspólnie z nauczycielem przedsięwziętych. W stosowaniu jednak tej formy uczenia należy zachować miarę, bo przesada w tym kierunku nie pozwala dojść do odpowiednich wyników. Słusznie też w ostatnich czasach Ministerstwo WR i OP w okólnikach swych przestrzega nauczycieli przed zbyt niemyślnym używaniem tego sposobu nauczania.

MARJAN AUERBACH

ROLA GRAMATYKI JĘZYKA ŁACIŃSKIEGO W GIMNAZJUM

Nauka każdego przedmiotu szkolnego, traktowana metodycznie, uzyskuje bez względu na to, jakie sobie stawia cele, dwa wyniki: pewną sumę wiadomości i pewne wykształcenie formalne. Przewaga jednej strony nad drugą zależy od metody i od przedmiotu nauki. I tak np. w nauce matematyki przeważa wyrobienie formalne, w nauce historii materialne. Dotyczy to i nauki łaciny w szkole średniej ogólnokształcącej. Bez względu na to, jaki cel oficjalne programy stawiają nauce tego przedmiotu szkolnego, kształci on formalnie i materialnie. W historycznym rozwoju metodyki i dydaktyki tego przedmiotu można obserwować zjawisko, że im programy są późniejsze, tem większy nacisk kładą na stronę materialną, innemi słowy tem bardziej w cień ustępuje kształcenie formalne jako specyficzny cel nauki łaciny. Coraz też rzadziej mówią nauczyciele łaciny o kształceniu formalnem, gimnastyce umysłowej, czy szkole myślenia, jaką jest nauka łaciny w gimnazjum. A plany nasze dla nauki tego przedmiotu nie podkreślają znaczenia kształcącego łaciny w kierunku formalnym. Program gimnazjum humanistycznego z r. 1920 nawet nie różni wyraźnie między celem formalnym a materialnym. Podczas gdy programy innych przedmiotów mają określony cel dichotomicznie¹⁾, nie widać tego podziału w określeniu nauczania języka łacińskiego. Bo za definicję celu formalnego nie można uważać 1. punktu, który brzmi: *kształcenie zdolności myślenia i rozwijania umysłu wogóle*. Program z r. 1924 opuścił ten punkt, zostawiwszy inne, które określają niedwuznacznie cele materialne. Uwydatnia cel formalny program gimnazjum klasycznego, który brzmi: *zadaniem nauczania języków klasycznych ma być: 1. doprowadzenie do rozumienia tekstów autorów greckich i rzymskich; 2. zaprawianie do analizy myśli i zjawisk językowych, rozwinięcie zdolności myślenia w dziedzinie łączności pomiędzy treścią a słowem; 3. wyzyskanie elementów swoistych morfologii, składni i semazjologii języków klasycznych, gwoli głębszego zrozumienia objawów mowy wogóle*. Dalsze punkty odnoszą się do lektury. W planie szczegółowym wedle klas nauka gramatyki występuje jedynie jako środek do celu (do czytania autorów): *zasadnicze wiadomości z morfologii i składni jako przygotowanie do lektury (kl. IV); uzupełnienie wiadomości gramatycznych (kl. V)*.

Już sławny *Zarys organizacyjny* z r. 1849, wypracowany przez Bonitza i Exnera, który stał się wzorem dla całej za-

¹⁾ Program historii mówi wyraźnie pod 1. o celach materialnych, a pod 2. o wyrobieniu rzetelności i sprawności myślenia w dziedzinie spraw ludzkich wogóle. Program geografji mówi też o dwu celach: 1. z punktu widzenia rzeczowego, 2. z punktu widzenia praktycznego i wychowawczego, w którym kładzie nacisk na nawyk do myślenia realnego.

chodniej Europy, zaznacza wyraźnie oba cele, dając pierwszeństwo celowi materialnemu: *Als Hauptzweck der Erlernung der alten Sprachen ist, obwohl die durch grammatische Studien zu erwerbende formelle Bildung nicht ausser Berechnung bleibt, doch die Lesung der klassischen Schriftsteller angenommen... Das Gymnasium soll diese Lesung nicht bloss möglich machen, sondern in reichem Masse und guter Auswahl wirklich vornehmen.*

Mimo zaznaczonych różnic, jeśli się porówna plany dla nauki łaciny w różnych fazach, widać rzecz dość dziwną: kierunek i wymagania zostają naogół niezmienione, zasadniczych zmian niema: nauka łaciny ma wciąż dwa cele, formalny i materialny, z których materialny stoi na miejscu naczelnym. Rozstrzygnięcie, czy oba te cele dadzą się utrzymać w dzisiejszej naszej szkole, czy trzeba jeden zarzucić a zostać przy drugim, lub czy trzeba może oba zarzucić, a nowy postawić, zależy 1. od oceny wartości celów, 2. od możliwości ich zrealizowania. Rzecz jasna, że jeśli jeden z tych dwu punktów okaże się niewykonalnym lub niewartościowym, odpadnie jego wartość wychowawcza jako cel nauki.

Nie ulega żadnej dyskusji twierdzenie, że szkoła ogólnokształcąca musi rozwijać i doskonalić władze duchowe, nie tylko podawać pewną sumę wiadomości. Wśród władz duchowych bezpośrednio i najintensywniej kształci szkoła średnia dyspozycje intelektualne. Dawniej lwia część tego trudu spoczywała na nauce filologii klasycznej, bo — prócz matematyki, która kształci i rozwija swoisty sposób myślenia, nie mający w ścisłym tego słowa znaczeniu zastosowania poza matematyką — żaden przedmiot nie robił tego w całej pełni. Nauki przyrodnicze i geografia według dawnych planów i metod kładły raczej nacisk na systematykę niż na metodę, na wtłoczenie w pamięć ucznia poglądu na cały obszar wiedzy niż na wyrobienie pewnych metod i sposobów patrzenia na świat i pewnego rodzaju rozumowania.

Dziś stosunki się zmieniły. Nauka przyrody i geografii w dużej mierze kształci „formalnie” tak, że nauka łaciny nie jest już samodzielną panią w tej dziedzinie szkolnej. I dobrze się stało, że inne przedmioty uwolniły naukę łaciny od części obowiązków, popierwsze, że można przez to więcej czasu poświęcić innym zagadnieniom, podrugie, że unika się przez to jednostronności w kształceniu formalnym. Nie ulega bowiem wątpliwości, że umysł kształcony na jakimś przedmiocie nabiera przedewszystkiem zdolności wydawania sądów prawdziwych w tym przedmiocie a przenoszenie tej zdolności na inne pole nie jest rzeczą ani łatwą ani prostą.

Wykształcenie formalne, jakie daje nauka łaciny, nie ogranicza się do gramatyki, fleksji i składni, bo głównie te części gramatyki ma się na myśli, gdy się mówi o wartości kształcenia formalnego gramatyki łacińskiej. Ono sięga znacznie dalej. Przy czytaniu autorów wciąż a wciąż kształci się formalnie.

Pomijam to, że starając się zrozumieć tekst i tworząc tłumaczenie, nie wolno naruszać zasad logiki, która jest kodeksem formalnego wykształcenia, ale wszelkie dyskusje i rozważania psychologiczne, etyczne, estetyczne, kulturalne itp. są w swej istocie czemś formalnem.

Gdyby znajomość fleksji i syntaksy nie była potrzebna jako środek do celu (do czytania autorów), możnaby z niej w obecnym gimnazjum zrezygnować z powodów wyżej wyliczonych. Możliwość jeszcze inne argumenta przytoczyć przeciw gramatyce jako celowi. Uczeń, męczący się nad urobieniem formy fleksyjnej lub przetłumaczeniem zdania z polskiego na łacinę, posługuje się figurą *Barbara*, tzn. zna ogólne prawidło jako przesłankę większą (np. wszystkie *neutra* kończą się w nom. plur. na *-a M a P*), ma daną przesłankę mniejszą (*bellum* jest neutrum *S a M*) i wysnuwa wniosek: *bellum* ma nom. plur. *bella* (*S a P*). Schemat ten z małemi zmianami powtarza się w kółko przy wszystkich operacjach fleksyjnych i syntaktycznych.

Jako środek do celu jest gramatyka bezwątpienia nietylko ważną, ale konieczną, nieodzowną. Nauka gramatyki może być tylko uświadomieniem tego, co się wiedziało nieświadomie. Tę funkcję spełnia gramatyka języka ojczystego: uświadamia proces nieświadomy. Całkiem inną rolę spełnia gramatyka języka obcego: ona uczy rzeczy dotąd zupełnie nieznanych. Ona też wcale nie uzdalnia do używania w mowie języka, którego gramatykę się umie. Nie potrafi mówić lingwista temi językami, których gramatykę zna. Można też znać gramatykę w taki sposób, że zobaczywszy (lub usłyszawszy) formę fleksyjną czy syntaktyczną, zaraz ją poznamy i zrozumiemy, choć nie moglibyśmy jej ani z pamięci wydobyć ani przy pomocy „dobrze znanych” reguł urobić. Zjawisko to jest tak częste, zwłaszcza u nas nauczycieli filologii klasycznej, że każdy je w introspekcji odkryje. Jakżeż często zabraknie nam słowa łacińskiego lub greckiego, które widziane w tekście najmniejszych nie sprawia trudności! Rozumienie tekstu polega na całym szeregu kojarzeń, które nie są odwracalne. Jak łatwo mówić pacierz, tak trudno jest mówić pojedyncze słowa pacierza w porządku odwrotnym! Z drugiej strony znajomość gramatyki wcale nie wystarcza do rozumienia tekstu. Można sobie łatwo wyobrazić teoretycznie, że ktoś przerobił doskonale gramatykę Tacyty i zabrawszy się potem do czytania dzieł Tacytowych utyka na każdym kroku. Bo też nawet najdokładniejszy opis języka autora nie wyczerpuje wszystkiego tak, jak najdokładniejsza analiza chemiczna komórki jest niezupełną. Zostaje dużo, dużo irracjonalnego, co tylko się wyczuwa w czasie czytania, a co nie da się ująć w prawidła ani nawet w opis dyskursywny.

Zdolność urabiania form nie jest koniecznie potrzebna do możliwości rozumienia tekstu, lecz tylko do mówienia względnie pisania, co nie jest celem łaciny w gimnazjum; odpada też jako środek, a nie jest potrzebny jako cel. Do możliwości

rozumienia tekstu wystarczy poznanie formy lub frazesu zobaczonego. Chociaż nie wiem, czy perf. do τίθημι jest τέθεικα czy τέθηκα, poznam to perf., zobaczywszy je. A dalej! Nie wystarczy formę poznać, jak nie wystarczy nawet formę umieć urobić. Trzeba czegoś więcej, co jednak jest irracjonalne, i czego nie można zdobyć, jak tylko przez długie i obfite czytanie tekstów.

My tracimy dużo, bardzo dużo czasu na zmechanizowanie urabiania form. Więć objaśniamy budowę form fleksyjnych czy syntaktycznych, potem przerabiamy to tak długo, aż się proces zmechanizuje i uczeń bez wysiłku i prędko potrafi powiedzieć formę lub zdanie żądane. Należy tu wyraźnie odróżnić proces objaśnienia od procesu mechanizowania. Kształcącym jest proces objaśnienia. Nie można tego samego powiedzieć o procesie drugim, procesie mechanizowania. Możliwy byłoby wytłumaczyć i uzasadnić zużyty czas i siły na zmechanizowanie twardą koniecznością, że zmechanizowanie jest konieczne jako środek do tłumaczenia autorów. Możliwy, gdyby tak było w istocie. Ale tak nie jest. Zdolność i możliwość urabiania form i budowania zdań łacińskich nie jest ani wystarczająca ani niedozowna do zrozumienia tekstu. Popierwsze, nie są to kojarzenia — jak powiedziałem — odwracalne jako asocjacje przez następstwo w czasie; powtóre, jeślibyśmy je nawet przez powtarzanie w obu porządkach, polsko-łacińskim i łacińsko-polskim, zrobili odwracalnymi, to one nie wyczerpują tego, czego potrzeba przy tłumaczeniu tekstu łacińskiego.

Jak wygląda nasza nauka łaciny? Półtora do dwu lat tracimy na uczenie urabiania form fleksyjnych i syntaktycznych i piszemy tłumaczenia z języka polskiego na język łaciński dla kontroli, czy cel został osiągnięty, na to, by w 6—8 kl. od czasu do czasu powtarzać ten materiał i konstatujemy ze zgrozą, że uczniowie umieją mniej niż w klasie IV, kiedy uczyliśmy ich początków. Jaki skutek tego? Irytujemy się, że robota poszła na marne.

Jeśli wizytator przy maturze zapyta ucznia o part. praes. do *ire*, lub indicat. fut. do *patior*, a uczeń nie umie formy powiedzieć, wizytator jest zgoła niezadowolony. Uczniowie się martwią, wciąż wracają do powtarzania fleksji i kilkudziesięciu prawideł składniowych, a rozumienie tekstu równa się prawie zeru. I wizytator i nauczyciel, a za nimi i uczniowie, są przekonani, że cała wina spada na nieznaną elementom gramatyki. Tymczasem ma się sprawa całkiem inaczej. Gdzieindziej jest sedno rzeczy. Brak metodyki tłumaczenia, opartej na psychologii, a nie na gramatyce zbudowanej metodą logiczną, nie-uświadamianie sobie faktu, że nie potrzeba wcale umieć urabiać formy, by móc tłumaczyć, że znajomość form i reguł syntaksy wcale nie wystarczy do tłumaczenia autora.

Ile razy nauczyciel słyszy z ust ucznia, że wszystko wie w zdaniu, które ma przetłumaczyć, a nic nie rozumie! Co to

znaczy? Tylko tyle, że wszystkie formy poznał, że zna wszystkie słówka, ale nie umie z tego zbudować całości. Im więcej uczeń czyta, tem łatwiej rozumie tekst, a nie im więcej umie gramatyki. Metodyka i dydaktyka łaciny od dziesiątek lat wysilają się na wyszukanie coraz nowych, ulepszonych metod uczenia gramatyki, a niema wcale wysiłków w kierunku opanowania trudnego problemu rozumienia obcego tekstu.

Nie chcę być źle zrozumianym. Znajomość dokładna gramatyki (jako zdolność urabiania form i tłumaczenia z języka polskiego na łaciński) i znajomość tajników rozumienia tekstu dadzą wyniki przepiękne. *Atque idem ego hoc contendo: cum ad naturam eximiam et illustrem accesserit ratio quaedam conformatioque doctrinae, tum illud nescio quid praeclarum ac singulare solere existere.* Ale jeśli mamy do wyboru między znajomością gramatyki w sensie wyżej przedstawionym a zdolnością tłumaczenia tekstów, należy wybrać to drugie. Nawet gdyby był czas dostateczny i na naukę gramatyki i na czytanie autorów, jeszcze należałoby się dobrze zastanowić nad tem, czy warto ten drogi czas tracić na naukę gramatyki w naszym sensie i na tłumaczenie z języka polskiego na łaciński, czyli czy wartałoby podtrzymywać ten cel formalny. Ale powiedzmy sobie otwarcie: czasu nie mamy, każda godzina zabrana autorowi jest zbrodnią, każda dygresja, w której nauczyciel żąda urabiania formy, jest stracona, bo bezpośrednio nie potrzebna. Wystarczy z uczniami przejść pensum gramatyczne w takim wymiarze, by uczeń poznawał formy (na to trzeba czasu mniej niż teraz, gdy uczymy go urabiania form), i wcześniej przystąpić do czytania tekstów. Korzyść byłaby nietylko na czasie, ale znikłyby utyskiwania uczących i niesmak uczniów. A cel byłby w stopniu o wiele większym uzyskany. Nie wyklucza to, raczej więcej daje możliwości do wprowadzenia ucznia w tajniki mowy, która się nie kończy na fleksji i szkolnej syntaksie. Z lżejszem sercem poświęciłby tedy uczący od czasu do czasu godzinę na objaśnienie istoty praw językowych, na działania analogji, zjawiska semazjologiczne, na stosunek języka do kultury itd.

Streszczam się. Na podstawie poprzednich wywodów twierdzą: 1. że zdolność urabiania form nie jest koniecznie potrzebna do rozumienia autorów; 2. ponieważ celem nauki łaciny w szkołach średnich ogólnokształcących nie jest nauczyć uczniów mówić ani pisać po łacinie, tylko tekst łaciński rozumieć, przeto niema potrzeby wymagać od uczniów urabiania form, co w swej istocie jest identyczne z używaniem łaciny w mowie i piśmie; 3. że tzw. formalne wykształcenie przy pomocy morfologii i syntaksy da się w równej mierze uzyskać na procesie odwrotnym, tzn. na poznawaniu widzianych czy słyszanych form gotowych; 4. że zostaje mimo to jeszcze rozległe pole do ćwiczenia formalnego na materiale językowym, jakiego dostarczają teksty autorów starożytnych.

RYSZARD GANSZYNIEC

O PISOWNIĘ IMION GRECKICH I RZYMSKICH

Świetny rozwój naszego piśmiennictwa naukowego i pedagogicznego nadaje aktualność pewnym zagadnieniom, które do niedawna umyślnie lekceważono. Do tych zagadnień należy pisownia imion greckich i łacińskich — wskazał na jego doniosłość St. Pilch (*Kwart. Klas.* I 1927, 255), omówił je podobno na jednym z posiedzeń Koła Poznańskiego H. Ułaszyn z punktu widzenia historycznego i polonistycznego. Narazie naśladowamy w praktyce eklektycyzm Morawskiego, który z świadomą inkonsekwencją używał spolszczonych form imion obok oryginalnych — ale nie wiem, czy teraz jeszcze może się komuś podobać taka wiązanka ortograficzna z pracy 16-stronicowej (M. Maykowska, *Anonima monografia O stylu artystycznym*): s. 3. 4 *Manutius* — 4 *Cassius* — 16 *Cecyljusz* s. 4 *Longinus* — 17 *Lizjasz* — 9 *Timajos*, s. 4. 5 *Dionizjos* — 6 *Djonizjos* — 8 *Dionisjos* — 10 *Djonisjos* — 4 *Dionysios*.

Czy to nie dytyrambiczna już pisownia? Akademia poleca spolszczenie imion: nie mamy powodu słuchać tej normy, skoro Akademia sama przełamuje tę zasadę tam, gdzie o wiele łatwiej da się przestrzegać, pisząc *triumpf*, *dialog* itd. Jak wszędzie, tak i tutaj da się przewidzieć czas, gdy zwycięży w zakresie języków starożytnych pisownia oryginalna taksamo, jak zwyciężyła w odniesieniu do nowoczesnych imion obcych (por. *Szyller* — *Schiller*, *Russo* — *Rousseau* itd.): imiona greckie i łacińskie dlatego właśnie nie od razu były objęte ową dążnością poszanowania dyplomatycznej pisowni imion, rozciągającą się aż do imion czysto polskich (np. *Staszic*, *Zamoyski* itd.), że filolog odnosił się do nich z tą samą objętnością jak społeczeństwo. Polecamy więc konsekwentne używanie oryginalnych form greckich imion i łacińskich i stosowanie do nich wymowy takiej, jaką stosujemy do samego języka obcego (więc *Lysias* a nie *Lizjasz*, *Thukydides* a nie *Tucydides*, *Oidipus* a nie *Edyp* itd.): gdzie natomiast już posiadamy dobrze spolszczone imiona, co do których pisowni niema wątpliwości (jak *Horacy*, *Wergili* — *Homer*, *Herodot* itd.), ostatecznie można ich używać obok oryginalnych form (*Horatius*, *Vergilius* — *Homeros*, *Herodotos* itd.).

Z tą samą trudnością ortograficzną musiały się załatwić także inne narody, jak Francuzi i Niemcy: znamienny jest fakt, że wszędzie myśl wierności dyplomatycznej w pisowni imion starożytnych zwyciężyła w tych krajach mimo kilkuwiekowej tradycji średniowiecznej i humanistycznej. Skróćmy więc sobie drogę ewolucji koniecznej, przyjmując zgodnie w piśmie i w nauce dyplomatyczną wierność formy imion starożytnych: dajmy starożytnym to, co przyznajemy bez różnicy współczesnym — prawdziwe a nie zniekształcone imiona, nie przezwiska.

SPRAWOZDANIA

POLSKIE TOWARZYSTWO FILOLOGICZNE W SPRAWIE PROJEKTU USTAWY O USTROJU SZKOLNICTWA

W myśl życzenia, jakie Pan Minister WR i OP wyraził w przedmiocie *Projektu Ustawy o Ustroju Szkolnictwa* (18 sierpnia 1927), PTF przedkłada uwagi, uzyskane drogą dyskusji nad *Projektem Komisji*, w łonie Towarzystwa na posiedzeniu we Lwowie dn. 1 października 1927 i na Zjeździe Walnym w Warszawie dn. 15—17 października 1927.

1. 7-klasowa szkoła powszechna a 8-klasowa szkoła średnia. PTF życzy przyszłej 7-klasowej szkole powszechnej najpomyślniejszych warunków rozwoju w Polsce. Troskę o rozwój takiej szkoły uważa za zadanie całego rozumnego społeczeństwa. PTF zajmuje w stosunku do 7-klasowej szkoły powszechnej tylko o tyle stanowisko krytyczne, o ile wprowadzenie 7-klasowej szkoły powszechnej zagraża w myśl *Projektu Komisji* bytowi 8-klasowej szkoły średniej.

Jeżeli *Projekt Komisji* dąży do wprowadzenia 5- i 3-klasowej szkoły średniej w miejsce 8-klasowej, oczekivalibyśmy, że w myśl, jaka każdą reformę winna ożywiać, szkoła taka będzie lepsza. Tymczasem nikt ze sfer nauczycielskich ani ministerjalnych takiej nadziei dotychczas nie wypowiedział, ani zgóry nie jest to prawdopodobne.

Dalej, jeżeli porównać wysoki procent obszaru wiejskiego w Polsce w stosunku do obszaru miejskiego, łatwo zrozumiemy, że w zasadzie szkoła powszechna pozostanie nadal, i to na długo, w przeważającej liczbie mniejszoklasową, a tylko rzadkie szkoły powiatowe i miejskie będą szkołami 7-klasowymi. Czy wobec takiego stosunku liczbowego można już obecnie mówić u nas o podstawie 7-klasowej szkoły powszechnej? Czy dla niewielkiej liczby wyższych szkół powszechnych należy niszczyć ustrój szkoły średniej?

Projekt Komisji ustanawia wiele rodzajów szkół współ-

bieżnych co do lat nauki, nie mających jednak wykluczać się wzajemnie. Przejście z dotychczasowej szkoły powszechnej do pełnej szkoły średniej odbywało się tak swobodnie, że porównanie szkoły powszechnej do ślepej ulicy nie jest słuszne. Całość i ciągłość szkoły powszechnej i szkoły średniej przedstawiała doskonały typ szkoły jednolitej. Przeciwnie, nie jest możliwym skoordynowanie obecnej szkoły 7-letniej ze szkołą średnią, bo 7-letnia szkoła powszechna daje wykształcenie zaokrąglone w zakresie, jaki jest dla niej właściwy. Otóż ten zakres już ze swej natury nie liczy się, albo liczyć się nie powinien, ze szkołami dalszemi. Przedewszystkiem już dlatego poziom szkoły 7-klasowej powszechnej winien być niższy, że jest ona objęta przymusem szkolnym. Nastąpiłoby w takiej masowej szkole powszechnej rozcieńczenie elementu lepszego, a z przesunięciem okresu selekcji zwiększyłaby się jej surowość; następstwa tego byłyby jednostkowo dotkliwsze, a zbiorowo szkodliwsze. Obecnie zaledwie 8% młodzieży zdaje pomyślnie egzamin wstępny z klasy VII szkoły powszechnej do IV klasy gimnazjalnej. Ażeby uzyskać wyniki potrzebne do rzucenia kładki między szkołą 7-klasową powszechną a szkołą średnią, trzeba by poziom gimnazjum zniżyć o jakich lat dwa.

O ile idzie o filologję klasyczną, po ukończeniu 7-klasowej szkoły powszechnej uczeń będzie przystępował do pragmatycznej historii starożytnej, nie znając wykładu popularniejszego, ale dotychczas udzielanego przez nauczycieli wykształconych filologicznie i historycznie na uniwersytetach; nie będzie też uczeń, karmiony wykładem pragmatycznym, znał tej historii z uprzedniej lektury Neposa, Cezara, Liwjusza, po 16 zaś miesiącach nauki lingwistycznej będzie się zmagał z poezją Owidjusza.

A. Pożytek z nauczycieli, w klasach oderwanych od szkoły średniej. Z tych samych powodów, wyrastających z interesów obrony 8-klasowej szkoły średniej, PTF pragnie poruszyć także sprawę przygotowania nauczycieli szkół powszechnych do nauczania w trzech niższych klasach dotychczasowego gimnazjum, skoro *Projekt Komisji* nie mówi o uzupełnieniu szkoły powszechnej, lecz o przeniesieniu trzech klas gimnazjum niższego do szkoły powszechnej. *Projekt Komisji* nie zdaje się liczyć z wymaganiami, jakie do wykształcenia nauczycieli szkół powszechnych w dotychczasowym zakresie ich działalności przykładały ciała fachowe. Wyrazem wybujałych nadziei w odniesieniu do zadań i możliwości przyszłego nauczycielstwa w nowo stworzonej z trzech klas gimnazjalnych nadbudowie szkoły powszechnej, jest zdanie *Projektu Komisji* s. 32: *Powtórę wykształcenie nauczycieli ma być takie, aby nauczyciel pracujący w wyższych oddziałach szkoły powszechnej, mógł do problemów wychowania i nauczania podchodzić nietylko od strony psychiki wychowywa-*

nego dziecka, ale i od strony istotnego głębszego zainteresowania się zagadnieniami naukowymi, jakie przerabia wspólnie z uczniami.

Zapytujemy, jak nauczyciel, wyposażony jedynie w świadectwo dojrzałości nowego gimnazjum 5-letniego lub 3-letniego i dyplom pedagogicznego kursu rocznego a, jak dotychczas, doksztalony na kursach seminarzysty, będzie zdolny głębiej interesować się zagadnieniami naukowymi, czy nawet „przeżywać“ je wspólnie z uczniami, którzy dotychczas od 10 roku życia spotykali się z nauczycielami wykształconymi uniwersytecko i duchowo bliżej stojącymi uniwersytetu niż szkoły powszechnej? Czy, gdy młodzież wiejska nudziła się w dotychczasowych szkołach ludowych (*Projekt* s. 31-32), młodzież miejska nie będzie się nudziła z maturzystami i seminarzystami, „przeżywającymi“ zagadnienia naukowe? Maturzysta — z pewnością pośledniejszego uzdolnienia, bo zdolniejszy pójdzie na uniwersytet — jedynie przysposobiony na kursie rocznym, będzie nauczał niemieckiego, geografii, matematyki, tj. przedmiotów udzielanych w tych klasach dotychczas przez fachowców, którzy zazwyczaj uzupełniali swe wykształcenie akademickie studjami i podróżami zagranicznymi.

Nie samo uzgodnienie programów w 3 klasach najwyższych szkoły powszechnej z programami 3 klas najniższych szkół średnich załatwia sprawę przesunięcia tych klas ze szkoły średniej do szkoły powszechnej, bo pozostaje różnica w przygotowaniu nauczycieli. Dotychczas to było więcej miarodajne dla poziomu szkoły. Istnieją szkoły, w których programy dopuszczają wielką różnorodność, ale niema szkoły, w którejby kwalifikacje nauczycieli mogły być tak różnorodne, bo typ kwalifikacyjny nauczycieli stwarza formę szkoły.

B. Powszechna, nie wyłączna. Wyłączna w wszystkich naszych reformach ministerjalnych, a w obecnym *Projekcie Komisji* usuwająca wszystko inne na bok, troska o szkołę powszechną przykro kontrastuje np. z niedawnym wystąpieniem jednego z ministrów zagranicznych, który oświadczył, że chociaż obejmuje staraniem całą młodzież szkolną, jednak serce jego bije dla gimnazjum.

Mimo istnienia w Niemczech od lat 40 gimnazjum zreformowanego według programu frankfurckiego, typ ten od 35 lat uważany jest za niewyszły jeszcze ze stanu doświadczonego, nie figuruje w planie ministerjalnym i np. w dziele Cramera odgrywa bardzo nieznaczną rolę wobec gimnazjum klasycznego. A trzeba stwierdzić, że w typie frankfurckim nauczanie łaciny trwa o rok dłużej niż w naszych szkołach humanistycznych. Natomiast w *Projekcie Komisji* niema poprostu mowy o gimnazjum klasycznym, które ma paść głównie ofiarą. Zadania szkoły średniej zostały zupełnie pominięte milczeniem w *Projekcie Komisji*.

2. Zasada wyjątkowości. PTF jako złożone z nauczycieli zarówno uniwersyteckich jak i gimnazjalnych i za troskane o dobro tak szkolnictwa jak i nauki, nie może w *Projekcie Komisji* nie dostrzec wielkiego niebezpieczeństwa dla studjów wyższych. Dotychczasowa 8-klasowa szkoła średnia była w przeważającej mierze typem szkoły przygotowującej do studjów wyższych. Gdy szkoła ta ma dziś ulec nie ograniczeniu, ale zniesieniu, gdy natomiast w tem, co z tej szkoły zostanie, mają być wprowadzone ułatwienia dla przechodzenia ku szkołom wyższym, PTF musi zwrócić uwagę na różne postaci takich ułatwień, jako szczególnie niebezpieczne dla studjum wyższego filologii klasycznej. *Projekt Komisji* oblicza poszczególne formy szkolne na uczniów, którzy nie mają osiągnąć celu swej szkoły, lecz piąć się ku szkołom ogólnokształcącym i wyższym. Już dotychczasowe reformy zbyt opierały się na zasadzie uzdolnień wyjątkowych. Przedstawiony w *Projekcie* ustrój szkolny można nazwać wprost anomalistycznym, liczy się on bowiem z mniejszością uczniów, na której są zawieszane nadzieje wybitniejsze. *Projekt Komisji* nazwano projektem ustawy dla wyjątkowych.

Każdy typ szkoły wydaje się poprostu przeznaczony jedynie dla uczniów najgorszych, którzy z konieczności będą musieli się nim zadowolić, uczniom zaś lepszym *Projekt Komisji* otwiera zawsze furtkę do szkoły wyższej. Należy wątpić, czy możliwość uzyskania studjów najwyższych stanowi podstawę szczęśliwości czy nawet sprawiedliwości społecznej. Zamiast proponowanego pierwotnie koryta, któreby nadmiar młodzieży odprowadzało z przepelnionych szkół średnich (230.000 uczniów) do szkół zawodowych, *Projekt Komisji* przygotował system szczelin, któremi z wszystkich szkół młodzież będzie podchodziła ku bramom uniwersytetów. Wiadomo, że ogół domagał się ułatwienia przechodzenia z jednej szkoły do drugiej, aby odsunąć moment decyzji, a następnie, by dać uczniowi także szkół zawodowych pełnię praw cywilnych. Jednakże z tego zastrzeżenia *Projekt Komisji* uczynił oś orjentacyjną całego ustroju szkolnictwa: w takiej architekturze korytarze mogą zastąpić sale, i całe szkolnictwo wytworzy amfiladę jednolitą w kierunku szkół najwyższych. Takie urządzenie prowadzi do wyjąławiania zawodów z jednostek uzdolnionych, na rzecz dążności społecznych. Będzie demoralizacją zawodów otwierac zawodowcom, prawidłowo ukończonym, nową drogę.

Projekt Komisji wspomina o zdemoralizowaniu i zdeklasowaniu tysięcy młodzieży, odchodzącej corocznie z klas środkowych gimnazjum. Czy jednak nie jest to także forma doboru naturalnego, jaka może ich spotkać w przyszłości w służbie państwowej, i jaka przyświeca również obecnemu *Projektowi Komisji*? W szkole średniej w Ameryce zaledwie 3% uczniów dociera do studjów uniwersyteckich.

Wobec systemu nawiązywania jednej formy szkolnej do drugiej, zarysowanego w *Projekcie Komisji*, w formach pośrednich będą zatrzymywani tylko ci uczniowie, którzy doznają niepowodzenia w formie wyższej. Używany często przez przeciwników szkoły 8-klasowej termin selekcji w języku szkoły nie oznacza nic innego jak usuwanie uczniów mniej zdolnych. W świetle takich poglądów, celem szkoły jednolitej nie byłoby nic innego, jak stopniowe usuwanie, przyczem nacisk leży nie na pozytywnym ukończeniu s w o j e j szkoły, lecz na dyskwalifikacji i negatywnym zamknięciu drogi do stopnia wyższego. W języku selekcji kwalifikacja ukończonej szkoły zawodowej oznacza nieudolność do wyższych studiów technicznych. W praktyce szkolnej rola selekcji będzie bardzo przykrą i przez stałe orientowanie ku największemu wysiłkowi będzie czysto negatywną. Zniknie zadowolenie z osiągnięcia celu bliższego, zastąpione wyścigiem ku rzeczom dla większości nieosięgalnym. Każda klasyfikacja będzie dla większości dyskwalifikacją w odniesieniu do czegoś jeszcze nie-realnego. Ten ujemny stosunek selekcji do rzeczywistości aktualnej, do tego, co uczeń już osiągnął, a bez względu na to, czego osiągnąć nie może, przeniesiony z rzeczywistości życia, niedostrzegalnej dla większości, w teorię wychowania, poświęci całkowicie pedagogikę psychologji, etykę metafizyce społecznej, szkołę wyda na łup brutalnej walki o byt.

Ustosunkowanie różnych form szkolnych w ten sposób, by żadna szkoła nie była zdolna zatrzymać ucznia wychodzącego z najmniej przygotowanych warstw społeczeństwa, nie wpłynie na podniesienie powagi form pośrednich w oczach publiczności; nie przyczyni się do urobienia jednolitej atmosfery szkolnej, a w znacznej mierze w umysł młodzieży zaszczerpi poczucie ciągłej warunkowości, płynności, braku zdecydowanej linii życiowej, liczenie się ciągle z możliwościami lepszymi niż te, o których ustaleniu należałoby myśleć. PTF musi określić dążności *Projektu Komisji* jako przeciwne wewnętrznym celom szkolnictwa, których właściwością jest zachować pewne odosobnienie form szkolnych w interesie ich jedności, różnicowania ich metod, atmosfer i materiału uczniów. Zresztą PTF odpiera twierdzenie, jakoby szkoła średnia była stanową, gdyż wiele wybitnych jednostek ze stanów najniższych, dzięki szkole średniej, doszło do najwyższych stanowisk. Młodzieży pochodzącej ze stanu średniego jest w naszych szkołach średnich 18⁰/₀.

Tworzenie szerokiej powierzchni rekrutacyjnej (*Projekt s. 17: Dla sprawy poziomu umysłowego środowisk z wyższem wykształceniem decydujące ma znaczenie rozszerzenie powierzchni rekrutacyjnej jednostek kształcących się na tym poziomie, rozszerzenie, które jest jednym z kardynalnych celów proponowanego ustroju*), biorąc praktycznie, nie jest objawem pożądanym

w świetle zestawień z lat ostatnich (8% dyplomowanych absolwentów uniwersyteckich), a także nadal nie wpłynie na dobór jednostek uzdolnionych do studjów najwyższych, bez przewidzianego systemu bardzo surowych egzaminów. Lecz egzaminy w praktyce bardzo często są jednym więcej czynnikiem demoralizacji, a jeżeli będą surowe, by łatwość mechanicznego przechodzenia z formy w formę regulować zastawkowo, będą zwalczane. Dlatego rzucanie pomostów wątpliwie fakultatywnych między różnymi rodzajami szkół, wywoła opuszczanie szkół pośrednich i zalew szkół najwyższych w stopniu jeszcze silniejszym niż dotychczas. Tymczasem ze słów *Projektu Komisji* (s. 18) wynikałoby, że im większej ilości jednostek zapewni się dostęp do najwyższych form szkolnictwa, tem mniejsza będzie chciała z nich korzystać.

W szczególności PTF zwraca się przeciw demoralizującej instytucji kursów rocznych, które w pewnych wypadkach, bliżej zresztą nieznanymi i niewiadomo, jak dających się wyznaczyć, mają zastępować całe dotychczasowe gimnazjum niższe, w pewnych zaś dwie najwyższe klasy dawnego gimnazjum wyższego, nie jest zaś wykluczonem, że niekiedy¹⁾ mogą zastąpić całą szkołę średnią. Instytucja kursów rocznych, o ile te mają zastępować szkołę regularną, wprowadza w prawidłowość i stopniowość form szkolnych zasadę wyjątkowości bez określenia jej granic i ich sprawdzalności, krzywdzi studjujących normalnie i, co zatem idzie, rzetelnie, w stosunku do rycerzy szczęścia, łamiących przegrody naturalne w dążeniu do anomalji. Instytucja kursów rodzi podejrzenie, jakoby projektodawcy uważali przebywanie młodzieży w atmosferze szkolnej za nudę, a cel wychowania szkolnego uznawali za wymijalny drogą skrótów i regułek pamięciowych. Zastąpienie wykształcenia normalnego systemem podkształcania i dokształcania na kursach czyni wrażenie, jakoby *Projekt Komisji* liczył się w wybitnym stopniu ze zjawiskiem samouctwa, co jednak nie może być uważanem za objaw dodatni w szkolnictwie. Miast dopuszczać takie wypadki, *Projekt Komisji* je normuje, a przez to i rozszerza, i zapewnia wypadkom, z natury swej wyjątkowym, pewnego rodzaju osobny system szkolnictwa. Państwo wolne i demokratyczne nie potrzebuje jednak przewidywać ustawowo podobnych wykolejeń z prawidłowej drogi kształcenia szkolnego.

Także w stanie nauczycielskim instytucja kursów rocznych wywoływa zjawiska niesolidności, nadużywania wpływów lub niewywiązywania się ze zobowiązań, jak o tem rzeczywistość lat wojennych i powojennych dostatecznie przekonywa.

¹⁾ Np. po ukończeniu szkoły zawodowej a w zamiarze dostania się na IV stopień szkolnictwa, tj. z pominięciem koniecznej dozy wykształcenia humanistycznego, jaką dotychczas pobierali wychowankowie szkoły średniej bez różnicy typu.

3. Skutki dotychczasowych reform w szkołach klasycznych i humanistycznych. Przechodząc do dyskusji nad przyszłym położeniem nauczania języków klasycznych w nowo przewidzianej formie dotychczasowej szkoły średniej, PTF pragnie w najżywszy sposób zaprzeczyć twierdzeniu *Projektu Komisji* (s. 17), jakoby *nauczanie języków klasycznych mogło w ciągu lat pięciu, jak wskazuje doświadczenie, dać zupełnie zadowalające rezultaty*. PTF, jako związek uniwersyteckich i gimnazjalnych pracowników w dziedzinie filologii klasycznej i nauczania filologicznego w uniwersytetach i szkołach średnich Państwa Polskiego, stwierdza jednomyślnie, że nietylko w zakładach, gdzie nauka języków klasycznych trwa lat pięć, ale nawet tam, gdzie zachowała ona dawną ilość lat nauczania (choć nie godzin), nauka języków klasycznych, skutkiem reform lat ostatnich, podpadła i że widoki uzyskania przygotowanych do studjum uniwersyteckiego abiturjentów są na dziesiątki lat uszczuplone, co w najwyższym stopniu szkodzi nietylko pedagogicznemu, ale i czysto naukowym zadaniom uniwersytetów, gdyż profesor, pozbawiony zrozumienia i możliwości współpracy ze strony słuchaczy, nie ma dla siebie samego tych warunków pracy naukowej, jakie znajduje w dobrze przygotowanym seminarjum. Skoro *Projekt Komisji* przewidywa sprawdzanie kwalifikacyj abiturjentów, a nawet usuwanie z uniwersytetów jednostek niepożytecznych, zachodzi obawa, czy w przyszłości studjum uniwersyteckie filologii klasycznej będzie zdolne dostarczyć odpowiedniej ilości kwalifikowanych nauczycieli języków klasycznych dla szkół średnich, nawet przy znacznie zmniejszonym zapotrzebowaniu, jak to rokuje *Projekt Komisji*.

W związku z temi uwagami, wbrew zdaniu *Projektu Komisji* s. 41: *niedomagania dzisiejszej szkoły średniej nie są w znaczniejszej mierze wynikiem wad programowych*, PTF widzi się zmuszone stwierdzić z całym naciskiem, że w zakresie nauczania języków klasycznych niedomagania naszej szkoły średniej powojennej są wyłącznie wynikiem wad programowych. Do tych wad programowych należą w pierwszym rzędzie: zbyt ryzykowne zmiany, przeładowanie programów nauką rzeczy (bo należy uwzględnić, że podanie wiadomości nie powoduje, w sposób konieczny, ćwiczenia umysłu), wprowadzenie przekładów, osłabienie przygotowania gramatycznego, przewaga ilości lektury nad jakością, niemożność przerobienia materiału w zmniejszonej ilości godzin, tem więcej w zmniejszonej ilości lat nauczania, oparta na stwierdzeniu wizytatorów warszawskich.

4. Przesunięcie nauki języków klasycznych na 15-ty rok życia. PTF pozwala sobie zwrócić uwagę Komisji na fakt przesunięcia nauczania języków klasycznych do klasy obecnie czwartej i na 15-ty rok życia, co pozostanie bez

analogji do nauczania innych języków i będzie stało w sprzeczności z powszechnie stwierdzonym pewnikiem psychologicznym łatwiejszej nauczalności języków w wieku młodszym. Przesunięcie okresu próby i wyboru, przyczem nieznamość przedmiotu wybieranego odbiera wyborowi znaczenie sprawdzania uzdolnień, obciążenie pamięci 14-letniego chłopca nowymi, trudniejszymi przedmiotami, stoi w sprzeczności z przysłowiową zasadą pedagogiczną o tym wieku: *noli me tangere, cresco*.

Jest wiadomo, że różne kierunki pedagogiczne kładą nacisk na zaczynanie studjum gramatycznego od języka ojczystego. Jednakże wszystkie wydane przez Ministerstwo WR i OP *Plany* nauczania stwierdzają jako pierwszy i główny cel nauczania języków klasycznych: wdrożenie kategorii językowych w umysł rozwijający się i wyrabianie go na ćwiczeniach lingwistycznych, które mają za cel najogólniejszy: ustalenie logicznego stosunku pomyślenia do powiedzenia. Stwierdzono oddawna, że uczyć myśleć jestto uczyć mówić, a nie odwrotnie. Od wieków najwybitniejsze powagi naukowe, także z dziedzin nauk przyrodniczych, a wślad za nimi także nasze ciała fachowe bez różnicy, przyznały językom klasycznym najbardziej zasadniczą rolę w takim urabianiu i porządkowaniu umysłowości chaotycznej, uczuciowej i nieskrystalizowanej wieku niedojrzałego.

Z chwilą jednak, gdy uczeń kategorie myślenia, od czasów Arystotelesa uważane zarazem za kategorie gramatyczne, będzie poznawał najpierw na języku ojczystym, którego bardzo kapryśna gramatyka nie zna dotychczas zadowolającego opracowania szkolnego, lub na innych językach nowożytnych, gdzie pojęcia gramatyczne dziedziczą się po językach klasycznych i gdzie nadto przyłączają się trudności wymowy, a w znacznej mierze panuje zanik fleksji rzeczownikowej, obcy językowi ojczystemu i językom klasycznym, gdzie fleksja czasownikowa, z powodu różnic wymowy, staje się historycznie nieprzejrzysta, i gdzie istnieje z góry skłonność do zaniechania studjum gramatycznego, a conajmniej cofania go poza konwersację, z tą chwilą uczeń nie zdobędzie wyrobienia gramatycznego do 14-tego roku życia, nauka zaś gramatyki języków klasycznych nastąpi zbyt późno, by wdrożyła się w umysł, już obecnie więcej zainteresowany rzeczowo, usposobiony literacko, bądź specjalistycznie, jednym słowem anomalistycznie, gdy studjum gramatyczne szkolne reprezentuje kierunek analogistyczny, logiczny, racjonalistyczny. Tem samym cel, wskazany w *Planach* Ministerstwa WR i OP dla nauczania języków klasycznych, rozwieje się, a uczeń będzie zaczynał od pochodnych obrazów gramatycznych, ażeby dojść do postaci pierwotnej, tzn. będzie odbywał drogę odwrotną i przeciwną metodzie ewolucyjnej. Bez uprzedniego studjum klasycznego nie można uczyć także żadnej gramatyki.

Tłumaczenie z języków klasycznych na język polski, z powodu bardziej, niż w językach nowożytnych, odległych form ujęcia językowego, zwłaszcza w zakresie słownictwa oderwanego, jest najcenniejszą dla umysłu młodocianego szkołą kontrolowania kategorii logiczno-gramatycznych, oraz wszystkich środków słownictwa i składni. Tylko dzięki usilnej pracy stylistycznej w szkołach umysłowość francuska zdobyła swą precyzję i wyrazistość. Umysłowość polska, mało wyposażona w skłonność do uporządkowanego myślenia, może na tradycyjnym studjum klasycznym, niejako u siebie w domu, dążyć do podobnych, nietylko w literaturze, ważnych wyników.

5. Trzechletnia szkoła średnia i zależność losu szkoły humanistycznej od potrzeb istotnych. Stworzenie 3-letniej szkoły średniej okrawa dawne gimnazjum, już przedtem okrojone z 3 klas niższych, ponadto z 2 klas najwyższych, zostawiając kadłub, najśredniejszy ze szkoły średniej, czyli, prócz imienia, ze szkołą średnią już nic nie mający wspólnego, bo jest niemożliwym przypuścić, by wykształcenie ogólne można było zdobyć w latach trzech. Wobec ogólnej dążności do mniejszego wysiłku, taki najbardziej rozcieńczony typ szkoły średniej może stać się najbardziej poszukiwanym i, co za tem idzie, może w przyszłości zastąpić z imienia szkołę średnią, nie dając lepszego przygotowania, niż dawne szkoły wydziałowe b. zaboru austriackiego.

Dalsze niebezpieczeństwo urasta z braku określenia cyfrowego wydziałów humanistycznych w szkole średniej 5-klasowej. Wprawdzie *Projekt Komisji* przewidywa (s. 42) dla każdej szkoły dwa wydziały, jednakowoż art. 17 (s. 8) zacieśnia to różniczkowanie do istotnych potrzeb. Jeżeli powstaną szkoły o jednym z dwu typów, dziecko urzędnika przeniesionego może znaleźć się w niemożności kończenia szkoły średniej w typie, w jakim zaczęło się kształcić. Pewne wyższe rozumowania, niedostępne najszerszym masom, powinny losu studjum humanistycznego nie zostawiać istotnym potrzebom, czyli interpretacji tych potrzeb, czyto przez świeżo do życia kulturalnego powołane warstwy społeczne, a szukające ucieczki od pracy fizycznej szlakiem szkoły, prowadzącej do posad urzędniczych, ale nie uczącej „rzeczy niepotrzebnych“, czyto przez czynniki mało rozumiejące godność naszego państwa.

Niwelacyjny charakter ustawy spotka się z odporem społeczeństwa, które ma prawo żądać od państwa, aby utrzymano i taki typ szkoły, gdzie ono pragnie kształcić swoje dzieci, z upodobań osobistych, do jakich społeczeństwo ma niewątpliwie także prawo, bez względu na najwznioślejsze pobudki państwowe projektodawców. Przyznawszy nawet słusność *Projektowi Komisji*, obywatele naszego państwa mogą jednak oczekiwać, że w pewnych granicach upodobaniom ich stanie się zadość ze strony Państwa. Tymczasem *Projekt Komisji*

nie przewidywa ani jednej szkoły średniej 8-klasowej. Gdyby w Anglii lub w Ameryce nie istniały szkoły średnie o większej ilości lat nauki, niż to wyznacza *Projekt Komisji*, na samo życie pewnej części społeczeństwa szkoły takieby wprowadzono na nowo. U nas natomiast idzie o usunięcie, wbrew woli społeczeństwa, tradycyjnego typu szkoły. W walce o szkołę polską wyróżnia się umiarkowanie społeczeństwa wobec radykalizmu reformatorów.

6. Pożytki studjum klasycznego. Pożytki płynące ze studjum klasycznego, sławione od wieków przez najgłębsze umysły wszystkich dziedzin teorii i praktyki, wychodzą daleko poza zastosowanie formalne (wyrabianie umysłu przez studjum lingwistyczne, lektura arcydzieł literatur starożytnych, w języku łacińskim także wybitnych dzieł nowożytnych, pomoc w nauce języków obcych, rozumienie terminologii naukowej i potocznej), bowiem znajomość języka łacińskiego jest wymagana nie tylko w studjum wyższem, a często i średniem, wszystkich umiejętności (teologia, prawo, medycyna, nauki przyrodnicze i matematyczne), ale nawet wiele zawodów, graniczących raczej ze sprawnością niż umiejętnością, jej wymaga (np. wszelkiego rodzaju zatrudnienia techniczne: farmacja, dentystyka, elektrotechnika). O ile więc studjum języka łacińskiego można nazwać wprost utylitarnem, o tyle studjum greckie jest niezbędne dla przyszłych pracowników naukowych, gdyż początki wszystkich nauk wyszły z Grecji. Cała nomenklatura naukowa i techniczna, nie wyłączając dziedzin najbliższych życiu codziennemu, odwołuje się do słownictwa greckiego.

Pożytki studjum klasycznego są także społeczne, ponieważ urabia ono zmysł organizacyjny. Państwo o ustroju demokratycznym wymaga większej ilości obywateli z wykształceniem humanistycznym. Studjum kultury narodu wymarłego pozwala na potrzebny w nauce obiektywizm, uwalnia naukę szkolną od wszelkiej tendencyjności, wychowuje obywateli w sposób nieuprzedzony dla wyboru tych czy owych wartości kultury współczesnej, co w narodach korzystających z cudzego dorobku kulturalnego jest szczególniejszego znaczenia. Politycznie będzie szkodliwym usunięcie studjum klasycznego z gimnazjum niższego, zwłaszcza w b. zaborze niemieckim, gdyż młodzież, pochodząca z mas robotniczych, ale nie alfabetycznych, żadna tej nauki, zasili prywatne szkoły niemieckie, zaś w województwie pomorskiem filologia 9-letnich gimnazjów gdańskich pocznie uzupełniać braki studjum ojczystego. Usuwając ją z kraju, nie pozbedziemy się jej, lecz otrzymamy ją z zewnątrz i ułatwimy wdzieranie się obcej kulturze silniejszej. Już obecnie ludność tamtejsza zmianę gimnazjum 9-letniego na 8-letnie odczuwa jako obniżenie kultury, jak na Zjeździe oświadczył jeden z nauczycieli pomorskich.

Prócz znaczenia formalnego i stylistycznego, prócz znaczenia utylitarneho, naukowego, społecznego i politycznego, studjum klasyczne ma dla nas Polaków nadto znaczenie narodowe, bo tradycyjne, znaczenie kulturalne, jako podtrzymujące historyczny związek kultury ojczystej z humanistyczną kulturą Zachodu. Bez znajomości języków klasycznych, staniemy się ignorantami najświetniejszych kart naszej przeszłości kulturalnej, od pierwszych zabytków naszego piśmiennictwa do okresu romantyczności, zatracimy poważny dorobek, który jest dla nas, mieszkańców Europy Wschodniej, słusznym tytułem dumy szlacheckiej, otworzymy dostęp wpływowi niepożądanym Wschodu i zmienimy mimowolnie kierunek naszego rozwoju dziejowego. Gdy historia naucza, że szkoła humanizmu jest przywilejem ludów zdrowych, mocnych i zdolnych, odmiana kierunku stawia złowrogię horoskopy. Ludy wschodnie, obce humanizmowi (bo Polacy są jedynym ludem słowiańskim i jedynym ludem Europy Wschodniej, który stworzył humanizm imponujący i obcym i nam, o ile tylko go znamy), zawdzięczają wiele kulturze bizantyzmu. Skoro ta nam jest obca, wyparłszy się humanizmu, staniemy się najuboższym w związki kulturalne ludem w Europie. W szczególności, wobec znanych na całym świecie uzdolnień literackich i artystycznych narodu polskiego, porzucenie studjum klasyczności grozi upadkiem i tych tradycji narodowych, pierwszorzędnego dziś znaczenia w stosunkach kulturalnych, a nieledwo politycznych, świata cywilizowanego. Pod każdym więc względem, ruina szkoły klasycznej oznacza dla Państwa Polskiego zaczynanie na nowo historii w wieku dwudziestym. Historia jednak poucza, że tylko te narody okazały się twórcami i przodującymi kulturalnie, które odziedziczyły kulturę, chociaż częściowo obcą, ale starszą i wyższą, korzystając w ten sposób z cudzego dorobku i oszczędzając na czasie rozwoju i wysiłku.

7. Zagrożenie podstaw kultury. Prócz celów ogólnooświatowych, o podkładzie społecznym, i prócz celów oświaty zawodowej, o podkładzie gospodarczym, państwo nasze ma zadania kulturalne, występujące zwłaszcza na tle współzawodnictwa kulturalnego państw, obecnie wszystkich bez wyjątku. Wytwarzanie wartości kulturalnych jest nawet uważane przez niektórych teoretyków za główną rację bytu państw. Otóż szkoła średnia, jako ogólnokształcąca, jest zasadniczym środkiem podtrzymywania, przekazywania i pomnażania zdobywcy kulturalnych. Od urządzenia szkoły średniej będzie zależało, w jakim stopniu każde z państw będzie uczestniczyło w rozwoju kultury ogólnoludzkiej, w jakim stopniu okryje się tak dziś cenioną chlubą pionierstwa w tej dziedzinie. Przeto państwo nie może poprzestać na ujednostajnieniu stopnia oświecenia wśród ogółu swych obywateli, ale musi przygoto-

wywać wytwórców wartości kulturalnych wyższych, wychodzących poza społeczne lub gospodarcze potrzeby swego społeczeństwa. Tymczasem *Projekt Komisji* wyraźnie zajmuje się kulturą materialną, a nie liczy się z potrzebami kultury duchowej. A właśnie studjum klasyczne stanowi zdrowy równoważnik przeciw przewadze światopoglądu materialistycznego.

Obok wytwórców i dla nich samych, państwo powinno dbać o dosyć szeroką, choć w stosunku do ogółu wyborową, warstwę konsumentów kultury wyższej. W szlachetnym współzawodnictwie z państwami najbardziej kulturalnymi, które na czas kształcenia w szkołach średnich przeznaczają 9 (Niemcy), 7 (Ameryka, gdzie przyłączono dwie najwyższe klasy 6-letniej szkoły elementarnej do szkoły średniej), 8 (Francja i Anglja) lat nauki, Państwo Polskie nie może, bez szkody dla swego wiekowego stanowiska kulturalnego w rządzie narodów oświeconych, obniżyć jednostkowo swego poziomu inteligencji, poziomu europejskiego, i zniżając się do rzędu państw nie mających dorobku humanistycznego, przeprowadzić częściowego rozbrojenia intelektualnego.

8. Stanowisko PTF wobec Projektu Komisji. Niezależnie od sprawy wyrażenia cyfrowego zapowiedzi *Projektu Komisji* w przedmiocie szkół humanistycznych i klasycznych, PTF z ubolewaniem musi stwierdzić, że zasadniczo wypowiada się przeciw całkowitemu usunięciu nauczania języków klasycznych z trzech klas niższych szkoły średniej ogólnokształcącej. PTF zabrało głos, zadośćczyniac swjej odpowiedzialności wobec historii, i jest przekonane, że doświadczenia, jakie poczynilibyśmy z nowym ustrojem, zawróciłyby nas ku szkole klasycznej, jak to dzieje się w wielu małych krajach, gdzie pokuszono się o walkę ze starożytnością. PTF jako zrzeszenie filologów klasycznych musi w części przynajmniej, ale w części pokażnej, naszego szkolnictwa średniego, upatrywać typ szkoły, nie zamkniętej w sobie, ale przygotowującej do studjów wyższych. PTF życzy sobie najgoręcej, ażeby już szkoła średnia otwierała tym wszystkim uczniom, którzy na studia wyższe nie postąpią, możliwie szeroki wgląd w zjawiska świata starożytnego. Ale groźnie przedstawia się działanie reformy, jeżeli weźmiemy pod uwagę wyższe potrzeby kulturalne, potrzebę stworzenia podstaw i warunków dla odpowiedniego wysiłku naukowego, jaki umysłowość nasza musi podtrzymywać, podobnie jak i we wszystkich innych dziedzinach, oraz jeżeli weźmiemy pod uwagę potrzebę kształcenia nauczycieli języków klasycznych.

PTF zajmuje się całością szkoły średniej o tyle, o ile zachodzi możliwość, że z całości szkoły średniej mogą pewne jednostki kierować się ku studjum klasycznemu na uniwersytecie. Gdyby ta całość szkolnictwa średniego miała ulec reformie, studjum uniwersyteckie filologii klasycznej musiałyby

stworzyć odpowiednie zabezpieczenie dla siebie przed napływem jednostek nieprzygotowanych, bo rzecz jasna, poziom studjum uniwersyteckiego, jako naukowego, nie może być dostosowany do nowych programów szkoły średniej, jak to *Projekt Komisji* przewidywa dla szkoły średniej w stosunku do szkoły powszechnej. Gdy szkoła średnia przestaje być w swej całości szkołą przygotowawczą do studjum uniwersyteckiego, gdy zaczyna dawać własną całość zaokrągloną, odstęp między szkołą średnią a uniwersytetem powiększa się i uniwersytet musi zerwać dawną łączność przejścia na podstawie świadectwa maturalnego między szkołą średnią a wyższą. Dla pragnących od początku dążyć do studjów wyższych, dla takich, którym od początku szkoła średnia nie jest celem lecz środkiem, jest koniecznem zachować pokaźną liczbę 8-klasowych szkół średnich, głównie klasycznych. PTF jako towarzystwo naukowe czuje się w prawie stanąć wobec *Projektu Komisji* na stanowisku potrzeb uniwersytetu. Uniwersytet zaś wymaga szkoły, któraby była szkołą przygotowawczą do studjów wyższych. Jak 7-klasowa szkoła powszechna ma za zadanie zapewniać dostęp do szkoły średniej, tak pewna przynajmniej, ale znaczna, część szkół średnich powinna mieć za zadanie zapewniać dostęp na uniwersytet. Z przedstawionych powodów, szkoła średnia, chcąc zapewnić swym uczniom swobodę studjów uniwersyteckich, szczególnie filologicznych, nie może liczyć mniej, jak 8 lat nauki średniej. PTF popiera myśl 7-klasowej, ale nie wyłącznej, szkoły powszechnej. Uczniowie winni mieć swobodę w wyborze szkoły średniej klasycznej po ukończeniu 4 klas nauki powszechnej.

Dla istniejących już szkół humanistycznych PTF domaga się wprowadzenia fakultatywnego nauczania greczyzny i obowiązkowego wprowadzenia łaciny do liczby przedmiotów maturalnych. Szkołom średnim żeńskim, zarówno humanistycznym jak i klasycznym, należy dać odmienny dobór tekstów i realjów, zastosowany do przyszłych zadań kobiety w społeczeństwie. Dlatego szkoły te winny otrzymać osobne podręczniki.

8-klasowa szkoła średnia o charakterze klasycznym jest potrzebna w tym stosunku liczbowym, by umiarkowane zapotrzebowanie istniejących w Polsce uniwersytetów mogło być pokryte. Zatem w b. zaborze rosyjskim należy otworzyć szereg gimnazjów klasycznych; brak takich zakładów przyczynia się jedynie do pogłębienia różnic dzielnicowych. Przedstawiciele szkolnictwa b. zaboru rosyjskiego uznali na Zjeździe za złą drogę rozszerzanie szkoły b. zaboru rosyjskiego na całą Polskę. Za podstawę wychowania narodowego należy przyjąć szkołę humanistyczną, a program jej sprawdzać według programu szkoły klasycznej, nie zaś szkołę klasyczną rozcieńczać w humanistyczną.

J. K.

JERZY KOWALSKI

WYMOWA RUIN

My Polacy w kraju naszym, pozbawionym zabytków muzealnych, poznajemy starożytność głównie z książek, z tekstów starożytnych i nowszych opracowań naukowych. Przez wrodzoną naszemu plemieniu skłonność, zwracamy się przede wszystkim ku literaturze, w ściślejszem jej rozumieniu, literaturze pięknej. Filolog, znajdujący więcej tekstów starożytnych, urabia sobie pewne ogólne pojęcie o świecie starożytnym, pojęcie, że tak powiem, literackie. Otóż, skoro wymowa ruin jest silniejsza nad wszystkie pojęcia, ilekroć ona nie współdzwięczy z niemi, głuży je z konieczności, a wtedy w umyśle filologa powstają *lakuny* i *koruptele*, bo jakaś wielka i niewidzialna *altera manus* w jego zwoje mózgowe worywa glossy starsze od słowa pisanego. Zaczem chciałbym przejrzeć krytycznie bruljony mych wrażeń i chciałbym powiedzieć, co nam wymowa ruin objawia i dlaczego przez to właśnie, że mówi nieraz co innego niż literatura, wymowa ruin uczy nas tak wiele.

Najpierw dlatego, że podobna w tem do najstarszych świątyń literatura helleńska stoi na podbudowie z kamienia. Starożytni pytali, czy literatura helleńska istniała przed Homerem. Nowsi uczeni wydobywają z Homera główne zarysy domniemanych poematów przedhomeryckich. Tyle w literaturze sięgamy wstecz, ale i nie więcej, bo nie tak daleko, jak sięgają kamienie w samej Helladzie.

Rozczytując się w literaturze helleńskiej, filolog wyobraża sobie starożytność helleńską niejako samorodną. Słyszy wprawdzie, że w religji helleńskiej i w kulcie znachodzą się czynniki obcego, przedhelleńskiego pochodzenia, ale nie dostrzega szerszego ich oddziaływania. Przeciwnie, wydaje mu się, jak gdyby zostały one częścią odosobnioną, częścią przetrawioną samodzielnie. Zresztą którymniebądź autorem, a jest ich tylu, tak klasycznych, i tak mało ma się dokoła prócz nich, zapija słaby posmak barbarzyństwa.

Pierwsze więc przekonanie, jakie filolog uzyskiwa ze studjum filologicznego, głównie studjum literackiego, jest przekonanie o samorodności literatury helleńskiej. Widzi jej początki w samej umysłowości helleńskiej i poznaje jej rozwój w granicach tych samych. Nie zauważa, by Helleni uprawiali jakiegokolwiek gotowe formy przekazane. Ponieważ po starożytności odziedziczyliśmy, my w krajach odległych i ubogich w muzea, tylko piśmiennictwo, i ponieważ, czytając dzieła historyczne i prace archeologów, przecież najwięcej obcujemy z literaturą, zwłaszcza jeżeli umiemy ją rozumieć, przeto filolog w sposób łatwy i samorzutny utożsamia literaturę z całością kultury helleńskiej, co więcej — utożsamia ją z cywilizacją

helleńską, i wtedy w umyśle jego powstaje przekonanie o samorodności całej kultury i całej cywilizacji helleńskiej, o samorodności wogóle całego tego zjawiska, które nazywamy Helladą.

A jednak, o ile chodzi o Hellenów, 1. ich ustroje rodowe wykazują, w warstwach starszych, pokrewieństwa obce, 2. są oni przybyszami, 3. ich język należy do szerszej rodziny języków. Nietylko więc przynieśli z sobą coś z tego, czego ziemia helleńska przed nimi nie znała, ale nadto zastali niejedno, czego sami nie znali tam, skąd przyszli. O tem wszystkim filolog wie niejedno, niewątpliwie więcej, niż Helleni starożytni, a e do studjum literackiego nie jest mu to potrzebnem.

Zbliżając się do Aten, odświeża w pamięci wiersze Pindara, tragicików, słowa mówców. Wstępując na Akropol przez Propyleje, widzi przed sobą blask epoki peryklesowskiej: rzędy kolumn doryckich i jońskich u wejścia, świątynkę Nike Apteros po ręce prawej, w tyle widnieje ogrom marmurowy Partenonu¹⁾. Gdy podejdzie wyżej, ukazuje się cud architektury i rzeźby jońskiej, Erechtejon z galerijką Kor.

Gdy jednak wstąpi do sal Muzeum Akropolskiego, ogląda inne Kory, śmiałym rzec, taneczniejsze, jedyną na świecie kolekcję dam uśmiechniętych. Kory Erechtejonu zachowanego wydadzą mu się lepiej zbudowane; tamte nie znały widocznie gimnastyki, a chciały podobać się, nie artystom, lecz nade wszystko mężczyznom. Tu strój nie ma zdobić ciała, lecz głosić jego wdzięk symfoniczny. Tam nie umiary w budowie ciała całego, ale plastyka form pełnych podnosi epizodycznie, drogocenne, ale nie dlatego przykrótkie rąbki. Te tylko artysta mógł stworzyć, nie wiążąc się żadnym wzorem widzianym. Zwykła dziewczyna wiejska mogła tak wyjść z pod dłuta wielbiciela form czystych. Tamte lalki wytworne mają w sobie folklor megaronów homeryckich, może lepiej powiedzieć: modę. Te są idealne i, może przez to, mniej żywe; ich oblicza, ich stroje są typiczne. Tamte pyszną się urodą nieanatomiczną, ale wcale wymowną — nawet ruch ich ręki nie należy do sztuki, lecz do mody. Uśmiech tamtych nietylko jest wyrazem życia. Twórca Kor archaicznych rzeźbił dla ludzi i dlatego posągi jego uśmiechają się towarzysko, uprzedzając niejako, że tylko na podobiznie są z kamienia. Nie typiczne są, ale konwencjonalne. Kory Erechtejońskie były pomyślane zbożniej, z uwagą na samą sztukę, a następnie także architektonicznie, dlatego, jak są przyciężkie, tak są nie tyle spokojne, ile zasępione.

¹⁾ Lecz Partenon ogromem wydaje się tylko zdaleka; ma więc zalety ogromu, będąc widzialnym z wielkiej odległości, a nie dzieli wad jego: wszystkie ogromy są zbliżone potworne, tymczasem Partenon zbliżony nie jest ani wielki ani mały, jest umiarkowany. Już z Pnyksu widzi się, że Partenon panuje nad Akropolem. Będąc na Akropolu, znajdujesz go na właściwym miejscu.

Filolog wie, że Kory muzeum są jednak starsze, i to kłopotce; jakżeż to więc: dekadencja przed rozwojem? Jeżeli pomyśli dłużej, znajdzie podobne zjawisko i w literaturze: Homer a elegją, czy choćby tragedją; wielki gest Teognisa, Alkajosa, dumne loty Pindara, a skromne i naiwne mieszczaństwo Herodota, ludowa groza tragików, popularny ton mowców. Są tu gzygzaki w chronologii, ale niemi biegnie jedna rysa pęknięcia. Mówią, że miara klasyczna nałożyła to piętno zadumy przy ciężkiej Korom Erechtjonu. Tak, może — lecz my sądziliśmy pierwiej, że przed zrównoważeniem nie było nic pięknego, że nie istnieje w Helladzie inne piękno, jak miara, że piękno klasyczne, to piękno helleńskie, zawsze helleńskie.

Gdy popatrzeć w Muzeum Narodowem Ateńskim na mnogie okazy „Apollonów”, gdy przypomnieć sobie polychromję architektoniczną, widzianą w muzeach Sycylii i całej Hellady, otrzymujemy jakby pchnięcie wstecz, gdzieś przed Helladę. Jeszcze w V wieku zdarzy się taki, zapóźniony na prowincji, typ „Apollona”, z dwoma kanciastymi puklami, zstępującymi przez ramiona na piersi — przypomina on, jako żywo, postaci faraonów, tyle że stoi. Te właśnie pukle nie pozwalają wyplaszczenia tułowia sprowadzać wprost do pierwokształtu ksoanon (ξόανον). Było i to, ale wpływ Egiptu (w Eleusis, mieście kapłanów, gdzie wpływy egipskie są bardzo szerokie, znaleziono również takiego „Apollona”) jest pewny. Niech wystarczy to jedno spojrzenie w stronę równiny nadnilowej. Tiary, mitry i wysokie fryzury postaci kobiecych, czy to są posągi, czy małe terakoty, czy majoliki, zdobią nietylko boginie i kapłanki obrządków wschodnich, ale są również, i to długo, typycznym atrybutem plastyki helleńskiej.

Długo historycy sztuki helleńskiej, tkwiąc w założeniach czysto literackich, bronili się przeciw uznaniu polychromji w plastyce i architekturze helleńskiej. Dziś jestto już niemożliwe, kiedy wiemy, że nawet Hermes Praksytelesa w Olympji nosi ślady barwy. Nietylko stiuki, nietylko terakoty wszystkich rodzajów, ale nawet marmury, walające się na terasie i po zboczach Akropolu, noszą pozostałości żywej polychromji. I w jednej chwili Louvre paryski z jego malowanemi kamieniami Wschodu starożytnego staje przed oczyma. A jak żywą jest właśnie polychromja minońsko-mykeńska! Smak klasyczny zubożył z czasem gamę barw mocnych, niemal wyparł porcelanę i majolikę, ale zawsze pozostał mniej surowym od klasycyzmu uczonych.

Filolog widzi palmety i rozety na nagrobkach Keramejku, widzi je ponownie na złocie Myken i Troi, w Knosos, na pieczętkach minońskich, widział je może w Luwrze na pomnikach Wschodu. Palmety i rozety, plastyczne i malowane, żyją w sztuce helleńskiej nieprzerwanym ciągiem u ludu (nadto w sztuce bizantyńskiej i tureckiej) do dziś dnia, na naczyniach

glinianych i, plastycznie, w architekturze palmeta trwa jako ornament listewny. Podobnie ma się z tzw. szlakiem greckim. Te tak powszechnie i nieprzerwanie helleńskie motywy są pochodzenia niehelleńskiego!

Usuńmy posągi, opuśćmy muzea, wróćmy na Akropol. Błądząc jego stokami, zdarzy się, że filolog potrąci nogą o nożyk kamienny. Jeżeli był przedtem w Cheronei, w Orchomenos, Mykenach, w Tirynsie, Argos, ba w całej poprostu Helladzie i poza nią, na Krecie, wie co to oznacza: oto że Akropol był zamieszkały, tzn. że był akropolem już od epoki minońskiej, a może nawet neolitycznej. Krążąc tuż przy murze Temistoklesa, wzdłuż lewego boku Erechtejonu i po Hekatompedonie, przekonywa się naocznie, że w drugim tysiącleciu przed Chr. był tam dwór i domy, że było starsze wejście na Akropol od tej strony, że jaskinie, znajdujące się tuż niżej, w zboczu Akropolu, podobnie jak w najkrótszej ścianie, zwróconej ku skałom pentelikońskim, były od prastarych czasów przybytkiem kultu. Wszędzie w Helladzie (najbliżej w Eleusis) jest wiele takich grot, mniej lub więcej sztucznego pochodzenia, pełno wyciosów skalnych i nisz i grobów kowanych, dających się od czasów najdawniejszych.

Ta historia, wykuta w skałach Hellady, mówi o wiele więcej, niż historia literatury helleńskiej. Opowiada nie tylko prehistorję Hellady, ale nadto coś bliższego nas filologów. Posłuchajmy.

Hellada historyczna obwarowywała się przeciw najazdom murami i ludne jej miasta, rojące się tłumami roboczemi, potrzebowały, czemraz więcej, równin dla pomieszczenia swej ludności. Ateny, Korynt, Selinus, Akragas (mimo swego nazwiska), Syrakuzy, leżały na równinach. Miasta przedhistoryczne, powiedzmy raczej grody, gnieźdzą się na wierzchołkach gór — tak było w czasach, kiedy człowiek nie umiał jeszcze piętrzyć głazów, surowych czy ciosanych, kiedy nie umiał sporządzać większych pocisków. Z miejsc niedostępnych raził przeciwnika kamieniem zpod nogi. Równiny były podówczas zalesione, bądź moczarowate, pełne zwierza i tnącego owadu. W krajach gorących wiatr od morza ochładza góry, zbocza obfitują zazwyczaj w źródła, tak zresztą rzadkie na ziemi helleńskiej, palonej słońcem przez ośm miesięcy w roku. Równiny wzywają malarję, najgroźniejszą plagę południa. Te miasta przedhistoryczne, które, z jakichkolwiek powodów, rozsiały się na wzgórzach mniej wzniesionych, powstały stosunkowo później, jako kolonie państw już rozwiniętych (Mykeny, Tiryns; morze broniło miast minońskich na Krecie). Władcy ich rozporządzali już wielkimi ilościami jeńców — bo któż inny mógłby wykonać cyklopią iście pracę warowania, i jakie skarby wystarczyłyby, by zwabić robotnika dobrowolnego?

Tzw. mur Pelasgijski dokoła Akropolu powstał dopiero wtedy, kiedy miasto objęło nie tylko całą terasę Akropolu, ale i kiedy wejście nań przeniosło się w stronę Areopagu. Mur Pelasgijski tworzył w tym miejscu jakiś okazalszy portal, zniszczony i zastąpiony później przez przebudowę Peisistrata. Jest bardzo możliwe, że już wówczas istniało przedmieście na skałach w stronę Faleronu, inaczej wyrzucenie muru w tę stronę byłoby niezrozumiałe. Mury powstają wogóle tam, gdzie platforma szczytowa przestaje wystarczać, gdy zachodzi potrzeba łączyć szczyty sąsiednie (jak w Chaironei). Mury bronią też nie samej terasy, ale i korytarza między kilkoma wzniesieniami (Mykeny, Argos, Syrakuzy). W Tebach, w Koryncie, mur oddala się znacznie od pierwotnej polis-akropolis.

Jest widoczne, że jeżeli zrazu przedmieścia na zboczach akropolów i na sąsiednich równinach były przeznaczone na opróżnienie w razie napadu i jeżeli ludność zrazu miała chronić się na akropole (w Mykenach całe miasto pierwotne leży na stoku akropolu, przeważnie w obrębie muru), później stało się to niemożliwym, i jeżeli słyszymy o obronie Akropolu przeciw Persom, panom całego miasta, działo się to nie z powodów wojskowo-strategicznych, lecz z gorliwości kapłanów, niechętnych opuścić prastare świątynie¹⁾. Akropol traci więc znaczenie obronne, miasta rozścielają się na równinach lub na wydmach nieobronnych (Tiryń, Teby, Akragas, Selinus). Akropole nabierają wtedy znaczenia sakralnego. Co to mówi? Otóż węzeł między zamierzchłą przeszłością a czasami historycznymi pozostał tak silny, iż góry pozostały na zawsze święte w uczuciu Hellenów, jako pierwsze schroniska gromad społecznych. Było jeszcze mniemanie, że szczyty gór stanowią sąsiedztwo nieba, lecz jedno pojęcie jest niezależne od drugiego. Tam gdzie nie było osobnego kultu góry, ludność trzymała się jej tylko siłą tradycji, z początku świeckiej, z czasem uświęconej.

Chadzając skałami Phaistosu, Aten, Eleusyny, Larissy Argejskiej, Akrokoryntu, Syrakuz, z trudnością przychodzi uwierzyć, że społeczność V stulecia (Phaistos była zamieszkała jeszcze w czasach hellenistycznych) mieszkała na tak stromych i niewygodnych urwiskach, w domach ciosanych na zrębach skalistych, przechadzała się ulicami krzesanymi od zamierzchłych czasów w opoce, zstępowała po schodach wykutych w zboczach, wędrowała niemal codziennie na akropole,

¹⁾ Jak senat rzymski nie opuścił nieobronnego, ale świętego Forum za napadu Gallów. Kapitol, tj. trzy rozległe wzgórza sąsiednie, mógł pomieścić całą ludność. Gdy broniono się w *Arx*, tj. na pagórku najdalej położonym na północ, gęsi w świątyni Jowisza, tj. na trzecim pagórku po przeciwnej stronie, miały obronić Kapitol, a więc i najniższy pagórek środkowy, tzn. Kapitol właściwy, był broniony, co przedstawiało pomieszczenie dostateczne dla większości zaludnienia Rzymu ówczesnego.

urwiskami ledwo nadciętemi, dokąd dzisiaj podróż ik waha się drapać nawet w porze zimowej.

Do dziś dnia skały te, wyrzeźbione w ulice, mieszkania, schody, kaplice, nisze i nekropole, zięją powietrzem neolitu. Nie było potrzeby już wtedy mieszkać w skałach. Bogacze ateńscy zakładali ogrody nad Ilisosem, ludność uboższa siedziała jednak, jak pierwiej, na zboczach wyżej, czy to po stronie przeciwnej, na skałach ku Faleronowi, zanim demokracja nie odwiodła ich na gliniastą równinę Keramejku i na łagodną pochyłość, opadającą w równinę, gdzie rozłożyły się dzisiejsze Ateny, gdzie widnieją piętna barbarzyństwa perskiego, wmurowane przez Temistoklesa, oczywiście na oczach miasta.

Nikt nie zrozumiałby stromej i, w dzisiejszym odczuciu, niewdzięcznej, wprost niedostępnego położenia okręgu Apollona pytyjskiego w Delfach, gdybyśmy nie cofnęli się w epokę neolitu, kiedy kult skupiał się dookoła kilku odłamów skalnych, wysoko rzuconych na zbocza. Nie jest to bez powodu, że, im bliżej skał Phaidriad, wiek skorup naczyń malowanych podnosi się. Przed rozszerzeniem telesterjonu w Eleusis, obwód święty leżał wyłącznie na skale trudno dostępnej, zwłaszcza póki nie wycięto schodów ku świątyni Demetry. Dwa inne obwody święte w Delfach (tzw. Marmaria i gymnasium z palestrą) są młodsze: pierwszy nie przesięga chyba wieku VIII. Do dziś dnia droga święta w Delfach, mimo przegowanego bruku rzymskiego, odwodzi uwagę przeznieszego podróżnika od spojrzeń na pomniki. I tu można dziwić się, myśląc, że przecież tędy uroczyste procesje chadzały.

Olympja nie była nigdy osiedlem ludzkim, acz i tam kult wyszedł ze wzgórza Kranion; jak nazwa dowodzi, był on przedhelleński, co potwierdzają nadto budowle podkowiaste, odkryte przez Doerpfelda. Jak żywą była tam tradycja z 2000 lat prz. Chr., dowodzi fakt, że tzw. buleuterjon, zbudowane w VI i V w. (dwa skrzydła), zachowało tę osobliwą formę podkowy. Spotkałem ją jeszcze w przedmykeńskiej części Tirynsu i w mykeńskich budowlach za telesterjon eleusyńskim, gdzie podkowa powtarza się również w tzw. buleuterjonie. Olympja była wyłącznie okręgiem świętym, zarządzanym przez sąsiednią, obwarowaną Pisę, gdy miasto Delfy leżało tuż obok swego buleuterjonu.

Jest prawdą, że w przejściu z II na I tysiąclecie prz. Chr. istniały wielkie miasta, które potem utraciły to znaczenie, albo nawet opustoszały zupełnie, tak że znachodzimy dziś nieraz ślady pradawnych osiedli, usiane ceramiką przedgeometryczną, nie umiając doczepić do nich żadnego nazwiska homeryckiego, czy ze Strabona. Jest również prawdą, że niektóre miasta (np. Orchomenos) odbyły rozwój wprost przeciwny opisanemu, tzn. posuwały się od stóp góry ku szczy-

towi, aż dopiero później (w Orchomenos w okresie macedońskim) zamieniły go na cytadelę (nie na akropol). W Kyme cytadela rzymska zajęła szczyt wyższy, ale nie noszący śladów wcześniejszych; jedynie na zboczach, stanowczo niemieszkalnych, odkryto ryciny neolityczne. Lecz tam są ku temu przyczyny szczególne, np. w Orchomenos stopa góry sterczała w jezioro dziś osuszone, i była w tem miejscu obronna; miasto późniejsze darło się w górę jedynie z braku miejsca, dostęp zaś od strony lądu, tj. z tyłu, jest z natury warowny. W Tirynsie przesunięcie ku szczytowi zostało prawdopodobnie wywołane potrzebą związku z przedmieściami, nowopowstałymi, gdy grzbiet góry nie mieścił więcej ludności. Phaistos na Krecie nie miała zrazu charakteru obronnego, mimo że jest trudno dostępna; dopiero zwaliska na wzgórzu najbliższem (na południe) zdają się wskazywać na późniejszy zamiar zamienienia pałacu w twierdzę. Dalsze wzgórze, znacznie wyższe, nie pozostawało chyba w związku z osiedlem pałacowem.

W Argos stosunek wysokiej (500 m) góry Larissy do niższego (200 m) wzniesienia tarczowatego, Aspis, nie jest dla mnie dosyć wyrazisty, ponieważ na obu znalazłem ostrza kamienne. Być może, są to pierwotnie dwa różne grody, a miasto Argos powstało przez synoikismos, nie w kierunku siodła łączącego oba wzgórza (tzw. Deiras), ale od strony Larissy ku zatoce. Gdyby oba wzgórza należały były pierwotnie do jednej społeczności, byłoby przejście zaludniło się. Raczej należy przyjąć samodzielny rozwój Larissy i zniszczenie czy opuszczenie Aspidy, zamienionej później na okrąg świątę. Przemawia za tem, że akropol Argosu osiadł na Larissie, nie na Aspis, bodaj czy nie dawniej zamieszkałej, jak zwaliska na niej i znaleziny świadczą. Z dwu wzgórz o nierównej obronności, należy przypuścić, że wzgórze mniej obronne było zamieszkałe wcześniej i że raczej ludność wzgórza silniejszego nie byłaby dopuściła do utworzenia osobnego osiedla w promieniu swoich pocisków. Właśnie Aspis, nie Larissa, choć wynioślejsza, króluje nad jedynem w Helladzie skrzyżowaniem prastarych dróg przechodu plemion i komunikacyj. Takie zamieszkanie wzgórza dostępniejszego w sąsiedztwie wzgórz mniej dostępnych, da się dokumentować na Kymie, Atenach (Lykabetos!), Mykenach, Tirynsie.

Dla historii powstania miast helleńskich trzeba przyjąć, wprost odwrotnie niż w miastach nowożytnych, zasadę synoikizmu, tj. nie zwoływania ludności z powiatu do miasta, jak to błędnie objaśnia się tzw. synoikizm Tezeusza¹⁾, ale łączenie

¹⁾ W Attyce ludność pozostała zawsze na powiecie, a domy, leżące poza murami, nie tworzyły faktycznie jednego miasta z Atenami, lecz tylko politycznie, i to znacznie później.

osad samodzielnych a blisko siebie położonych¹⁾ w całość miejską. To nie przeszkadza, by miasta te nieraz zachowały nadal wygląd kilku osiedli (Syrakuzy, Selinus, Teby, Korynt w stosunku do Kraneion, Ateny), niezbyt szczerlnie spojonych. Miasta takie mogły zachować wygląd osad pierwotnie rozrzuconych, mimo że otrzymały wspólny zarząd, rynek. Nowożytny podróżnik, studjujący topografię miast starożytnych, nieraz popada w zakłopotanie, widząc oddzielne grupy zamieszkania w obrębie wspólnego muru, a nie mogąc z rozległością terenu pogodzić prawdopodobnej, a nazbyt na ten teren szczupłej liczby mieszkańców. Nie znajdziemy łatwo w czasach nowożytnych analogji do tego zjawiska. Jak sprawiało starożytnym mieszkańcom wielką niewygodę drapać się po stromych skałach, tak była uciążliwą dla nich komunikacja w rozrzuconych częściach miasta²⁾, a jednak pozostałość czasów dawniejszych utrzymywała się nienaruszona w okresie klasycznym.

Uderzające staje się to, gdy zważymy, że od najdawniejszych czasów mieszkania prywatne były w Helladzie zbite w niezmiernie ciasnej sieci ulic i wprost niewiarygodnie szczupłe. Tylko kto widział przedhistoryczne mieszkania na Aspis argejskiej, w Mykenach, Tirynsie, Phaistos i Hagia Triada, zrozumie stłoczenie mieszkań na skalistych częściach Aten i Syrakuz. W okresie hellenistycznym zmienia się rozkład mieszkań, ale, jak dowodzą Priene i Pompei, stłoczenie mieszkań pozostaje, domy tworzą wyspy, otoczone ulicami z 4 stron.

Tylko istnieniem osad, sąsiadujących o miedzę, o pastwisko (o takie pastwiska toczyły się wojny przed Homerem, w okresie historycznym wojna o łąkę między Kirrą, Krisą, Amfissą i Delfami), tłumaczy się plan wielu miast helleńskich, wielkich i małych, utrzymany w czasie pełnego rozkwitu ludności mieszczańskiej do schyłku epoki klasycznej. 200-tysięczna ludność Aten dzisiejszych zawiera się na części terytorjum dawniejszych, 10 razy mniej ludnych Aten starożytnych. Tak zatem pojęcie topograficzne miasta w Helladzie starożytnej było inne niż u nas, a było inne dlatego, że w przedwieczu i w epoce przedhistorycznej miasta tak powstawały.

Pozwólmy naszemu filologowi błądzić w dalszym ciągu wśród zwalisk miast starożytnych. Wychowany na piśmiennictwie, którego główny zrąb pochodzi z w. V—IV, szuka on w gruzie odpowiedników kamiennych dla tradycji piśmiennej. Wie,

¹⁾ Niech nas nie zwodzi dzisiejsze poczucie odległości, rozszerzone przez udoskonalenie środków komunikacji. W Helladzie starożytnej Mykeny, Tiryns i Argos, odległe od siebie o 7—10 km, tworzyły osobne państwa. Plateje, w odległości 12 km od Teb, sprzymierzały się przeciw nim z Atenami.

²⁾ Nie trzeba utożsamiać ich z naszymi przedmieściami, bo miały znaczenie, między sobą, równorzędne; właściwe przedmieścia (proasteia) leżały na skrawkach wszystkich dzielnic zewnętrznych.

że starożytni mówią tu i ówdzie o początkach swojej cywilizacji, ale głównie żyją w własnych wiekach. I tu ciągnie się dalszy rozdzźwięk w umyśle filologa. Ruin z V i IV w. jest w Helladzie mniej, niż ruin nierównie starszych. Niech nas nie ludzą muzea ze swemi setkami waz czarno- i czerwono-figurowych — te znaleziono wyłącznie w grobach. Podróżnik znajduje w Helladzie, zwłaszcza w Beocji i w Argolidzie, ziemię dosłownie usianą łupkami starszemi i młodszemi (z okresu tzw. rzymskiego) — najmniej znajdzie klasycznych. Ogląda mury cyklopie i pelagijskie, nietylko mury V i IV stulecia. W Atenach Mury Długie przepadły do szczętu, częściowo tylko ocalały mury Temistoklesa i Kimona, ale również ocalało kilka metrów muru pelagijskiego.

Rzeźba, jak wspomniałem, w samej Helladzie jest silniej reprezentowana z epoki archaicznej. Malarstwo klasyczne przepadło doszczętnie; znamy więcej minońskie, mykeńskie, archaiczne i hellenistyczne. Architektura klasyczna występuje tylko na Akropolu i w Teseionie. Olbrzymie świątynie na Sycylii są wcześniejsze. Wielka świątynia w Delfach przewdziła swą suknię archaiczną na poklasyczną; w dziejach architektury w. V, to jakby karta wydartą. Prawie żadna świątynia helleńska, zachowana przynajmniej w zarysie, nie jest pierwszą na swoim terenie. Pierwsze czytelne zarysy sięgają czasów neolitycznych. Na Krecie (Mallia) mają znajdować się zwaliska świątyni helleńskiej z IX w.; starsza świątynia w Heraion argejskiem pochodziła z VIII w., ruiną stała już w starożytności, dziś nawet nią być przestała; w Delfach i w Olympji mamy w. VII (obok starszych pokładów), świątynia helleńska w Mykenach pochodzi z w. VI, świątynie w Argos są również przedklasyczne. Z świątyni olimpijskiej zostały ledwo posady, raczej dowód, że była, niż samo istnienie. Frontony jej wypełniają jeden z rozdziałów historii rzeźby w. V, obawiam się, że nie główny.

Wiele budowli publicznych w Helladzie, zwłaszcza teatrów, nosi ślady przebudowy rzymskiej. Hellada wypięła wszystkie gorycze wielkości, przecierpiała wszystkie hojności, doświadczyła tyłu fundatorów — począwszy od bastardów kultury helleńskiej, królików azjatyckich, nieszczęśliwie helleńskiego Hadrjana i równie nieodzownej jak niepożądaney Regilli, skończywszy na patryjotycznych kupcach nowohelleńskich — że wszędzie, gdzie każda piędź ziemi winna ważyć się na staterze Dzeusa homeryckiego, tam utopiono drogie pieniądze, ale lichą sztukę, w reklamie godnej najszybszego zapomnienia, w wystawie wszystkiego, co należało schować w samym pomyśle. Wielki posąg Hellady, ubrany wedle wszystkich mód naraz, zszedł do roli manekina, właśnie dlatego, że od początku był zdolny być nagim. Rzymski pokaz rzadkich ale źle opracowanych marmurów, rzymska cegła, trwalsza,

niestety, od kamieni, rzymska czerwona, stemplowana ceramika rzucają się w oczy wszędzie w Helladzie. Dość spojrzeć w Atenach przed Propyleje, dość przejść dawną dzielnicą rynkową ku Atenom Hadryana. W Delfach a także w Olympji całe dzielnice gimnazjów i łaźni zostały po natrętnych dobrodziejach, gdy wszystko, co lepsze, przepadło. Jak robactwo rzymskie budowle obsiadły wokoło święte obwody. W Eleusis ledwo środek obwodu pozostał helleński. Kolosalne wota rzymskie piętrzyły się nieledwo u wejścia obu wielkich świątyń w Delfach i w Olympji; w Olympji wypełniały one nadto osobną ulicę. Kiedy literatura helleńska przemilczała cały dorobek cywilizacji rzymskiej, ich wodociągi, nymfea, kanały, mosty, drogi i bruki, filolog może tego nauczyć się tylko z ruin. Nie będzie zachwycony artystyczną wartością pracy budowniczej Rzymian, ale musi uznać jej solidność, celowość i pożytek cywilizacyjny.

Ale nie chciałem mówić o okresie rzymskim, w tak opłakany sposób dobrze reprezentowanym w Helladzie. Mniej opłakanie, ale i mniej dobrze, wychodzi okres hellenistyczny, tak słabo znany i z literatury. Ale wróćmy do okresu klasycznego. Filolog zwiedzający Helladę uzna wkońcu, że epokę klasyczną można lepiej, choć może nie trafniej, poznać z literatury, tej jaka zachowała się, niż z zabytków monumentalnych, że dzisiejsza Italja daje nam więcej wyobrażenia o rzeźbie klasycznej, niż sama Hellada. Trzeba z kolei odwiedzić stolice Europy, by w ich muzeach znaleźć wielkie ogniwa dziejów sztuki helleńskiej, wywiezione z Hellady. Nie jestto wina Hellady, i nie o tem też chciałem mówić. Bo pragnę jeszcze raz powtórzyć, że Hellada zachowała zadziwiająco wiele z epoki ubogiej w literaturę i z epoki przedliterackiej. Wymowa ruin uczy filologa cofnąć się przed literaturę, a jeżeli chce przy niej pozostać przez zamiłowanie osobiste, uczy go na nią patrzeć z perspektywy wymierzonej na ruinach. Jeżeli literatura helleńska jest samorodną, życie helleńskie niem nie było — ruiny uczą nas o tem dostatecznie. I wtedy przyjdzie uznać jedno, co jest doniosłego znaczenia dla trafnej oceny literatury helleńskiej: oto w Helladzie istniał wielki odstęp między życiem a literaturą, przedewszystkiem dlatego, że literatura była silniej stylizowana, niż dzisiaj, i życie prywatne mniej do niej znajdowało przystępu, powtóre, że literatura szła przed życiem; to było bardziej zachowawcze. Szła nietylko przed życiem, ale i przed architekturą, przed malarstwem, przed plastyką. Artysta helleński mógł ulegać wpływom sztuki obcej — wszak artyści wędrowali w starożytności, jak rzemieślnicy. Ale Hellen literat nie znał żadnego innego języka. I dlatego literatura helleńska mówi co innego, niż ruiny, mówi mniej, o ile idzie o prawdę dziejową.

Pochwały Aten, zawarte w panegyrykach krasomówczych, wprawiają w kłopot dzisiejszych geo- i topografów Hellady. Nazwy nadawane przez pisarzy starożytnych różnym dzielnicom, fontanom i strumykom ateńskim, nie dadzą się nieraz pogodzić z sobą. Póki nie znaleziono na Akropolu wazy roboty podrzędniejszej, archeologowie wazy takie, znajduwane w Italji, uważali za wyrób miejscowy. Póki nie poznaliśmy rzeźby, malarstwa i architektury archaicznej, sądziliśmy, że Helleni tworzyli tylko dzieła klasyczne tak mniejwięcej jak literaturę. Zdawało się, a mogliśmy tak wnioskować z tekstów starożytnych, że marmur był głównym materiałem rzeźbiarzy i budowniczych helleńskich. Potrzeba było odkryć Eleusis, Delfy i Olympję, potrzeba było zstąpić na dno terasy Akropolu, ażeby sobie uświadomić, że nietylko praktycznie, ale i tradycyjnie, budulec był inny: drzewo, glina, poros, różne rodzaje wapienia. Czarny kamień megaronów w Knosos, Phaistos, Hagja Triada i w Tirynsie, to ten sam kamień, z którego budowano w V jeszcze wieku w Eleusis, w Delfach, w Olympji — wydaje się mieć wprost kultywne znaczenie (por. tzw. *lapis niger* grobu Romulusa na Forum Romanum).

Któżby domyślił się z literatury, że Ateny V w. były... z gliny. Tylko częste skargi na tojchorychów (burzymurków) pozwoliły się tego domyśleć... z chwilą gdy poznaliśmy rzeczywistość archeologicznie. Hermes Praksytelesa stał w świątyni o ścianach glinianych i między kolumnami z drzewa. Tej glinie, glinie przepięknej, na której cała Hellada stoi i której zawdzięcza, że w lecie z prochem nie idzie, lecz twardnieje w słońcu, zazdrośnie chowając tę odrobinę wody, jaką przez 5 miesięcy w roku otrzymywa; tej glinie, która wprawdzie mąci jej wody, ale tej glinie, z której wyszła najbardziej helleńska ze wszystkich sztuk helleńskich, ceramika; tej glinie, starszej od Hellady, bo glinie naczyń minońskich i mykeńskich; tej glinie, Hellada klasyczna winna swe zatracenie w niepamięci potomnych, — bo od wieków budowano z gliny mieszkania prywatne, a często i budowle publiczne, kładąc grube i wielkie cegły niepalone, szare, żółte, szafranowe, czerwone, zielonkawe, białe, na podbudowie kamiennej. Wykopiska w Knosos i Tirynsie wskazują, że tak budowano od przedwieczy. Bodaj czy te paski kamienne, które nam tak często pozostały z budowli helleńskich, nie były nieraz jedyną częścią kamienną wielu budowli. Do dziś dnia większość domów w Helladzie, poza większemi miastami, buduje się w ten sposób.

Nie trzeba przez to, jak to niektórzy uczeni czynią, lękać się o wygląd Aten glinianych. Widziałem domy współczesne, budowane z cegieł niepalonych, przecież o wyglądzie zupełnie europejskim. Używanie gliny surowej ma jednak pewne niewygodności dla mieszkańców: dom trzęsie się silnie pod każdym krokiem, zczasem cegły zsiadają się i zlewają w je-

dną całość, a wtedy okna i podłoga lubią zmieniać położenie. Mur z takiej cegły, odsłonięty, zwolna rozpuszcza się w wodzie deszczowej i po wiekach niknie zupełnie.

Przez to dom z epoki klasycznej jest nam równie dobrze jak nieznaną. Zato więcej znamy mieszkań z epoki homeryckiej i wcześniejszej (Mykeny, Tiryns, Argos, Phaistos, Hagia Triada). Jeżeli filolog chce słuchać wymowy ruin, musi uwierzyć, że Hellen do wieku IV mieszkał tak samo (jeżeli nie idzie o style, bo i dziś one nie wpływają na wygodę mieszkania, tzn. praktycznie nic nie znaczą), jak w epoce homeryckiej, że upadek monarchji przemazał jedynie architekturę pałacową, a raczej przeniósł ją na świątynie, tak iż architektura dokonała wielkiego postępu jedynie w świątyniach.

Jak uczą zбочa wschodnie Akropolu, jak uczą Eleusis i Delfy, świątynie archaiczne były małych rozmiarów, niewiele różniąc się od kapliczek (świątynie minońskie są kapliczkami, choć zupełnie odmiennego stylu), a było wiele ołtarzy pod otwartym niebem, nienakrytych obwodów z stelami, kamieniami świętymi i figurami kamiennymi i drewnianymi. Architekturalnie i, często, artystycznie były one bez większego znaczenia. Świątynie monumentalne powstają tylko w tyranjach i w demokracjach imperjalistycznych i bogatych. Przeciętą świątynia helleńska jest tak mała, że mieści zaledwie posąg bóstwa; przed nią stoi ołtarz, a dokoła niego skupiają się wierni. Świątynia helleńska jest raczej dla bóstwa niż dla ludzi. Gdy jest wielka, to nie dla większej gromady pobożnych, lecz dla ogromnego posągu.

Co niepokoi umysł nowożytny, to nie rozmiary świątyń helleńskich, lecz ich liczba. Literatura helleńska nie zna, jak egipska, hieroglifów i najmniej chyba czyni wrażenie hieratycznej. Ale, gdy pojechać do samej Hellady, wymowa ruin staje się hieratyczna, wysuwając wszędzie i wszędzie, prawie wyłącznie i w zadziwiającej ilości i gęstości — świątynie. Właśnie tego najmniej domyślilibyśmy się z literatury, od czasów Homera tak świeckiej. By życie starożytne dobrze w tym względzie ocenić, filolog musi przypatrzeć się ruinom. Religijność w starożytności była odmienną np. od naszej w wiekach średnich, ale była równie panującą. Podobnie jak w miastach włoskich, hiszpańskich i w Stambule tureckim spotyka się ustawicznie kościoły (czy meczety). i to po kilka naraz, tak w Helladzie starożytnej, a jeszcze więcej w Rzymie starożytnym, świątynie stoją obok świątyń, powstają całe dzielnice, całe miasta kościelne. Starych świątyń, o ile nie spłonęły lub nie uległy zawaleniu (bo w wojnach z zasady oszczędzono świątyń, jedynie wojny perskie stanowiły wyjątek), nie burzono, ale zostawiano je ostatecznie swojemu losowi, wznosząc w najbliższem sąsiedztwie nową, większą. Na wschodnim

stoku Akropolu, w Delfach, w Heraion argejskim, sterczą obok siebie takie dublety. Tylko w razie całkowitego zniszczenia starej, budowano nową na jej miejscu. Teren Hekatompedonu na Akropolu Ateńskim zostawiono odłogiem z powodów politycznych.

Wielobóstwo religii helleńskiej, wieloprzydomkowość każdego bóstwa, przywiązywanie właściwości kultywnych do miejsc i rzeczy, wszystko to w połączeniu z małymi kosztami wzniesienia świątynki, sprawiało, że nie tylko miasta, ale i przestrzenie niezamieszkałe roiły się od świętych zabudowań i urządzeń kultywnych. Dziś, kiedy zazwyczaj ilość kościołów odpowiada mnogości zaludnienia, kiedy oblicza się, wielu wiernych kościoł może pomieścić, odczuwa się pewnego rodzaju przesyt i znużenie wobec przepelnienia miast starożytnych świątyniami. Nie mówię o miejscach świętych, celach pielgrzymek, bo te i w nowożytności grupują dokoła siebie całe plejady kościołów, kapliczek, klasztorów. Ale filolog, szczególnie gdy zwiedza miasta większe, Ateny i Rzym, które on był skłonny uważać raczej za muzea sztuki, kolebki kultury i literatury, skarbcze ducha i przybytki genjuszu narodowego i politycznego, w takich miejscach czuje się wprost zaskoczonym przewagą religii i kultu nad tem, co on przynajmniej jako filolog uważałby za istotniejsze dla wielkości Helleny, dla wielkości Italji.

Pojęcia jego o bezdogmatowości religii helleńskiej, o wolnym stosunku duszy ludzkiej do bóstwa, ulegają zachwianiu. Błąkając się między zwaliskami świątyń, z trudnością przyszłoby mu uwierzyć, że człowiek starożytny obcował z bóstwem bardziej bezpośrednio, niż to się dopuszcza dzisiaj. Wszędzie tkwią twardo ustalone od wieków formy kultu, rytuał religijny przeważa nad myślą religijną, kolegja kapłańskie, rozsiadłe dokoła świątyń, trzymają na pasku duszę ludzką, rozmodloną w bóstwie. A wiemy z Aristophanesa, z Platona nawet, z historii Akropolu peryklesowego, jak ograniczeni, uparci, nedorzeczni bywali kapłani. W literaturze słyszymy raczej szyderstwa z nich. Ruiny mówią nam, że byli oni wszechmocni, że oni jedni posiadali wiedzę z przed wieków, że dyktowali książętom i rzeszom trwożę wobec starych form i wierzeń, że władali ogromnymi skarbami, że więzili postęp architektury i plastyki, trzymając się uporczywie starych rodzajów budulców i starych klechd. Oczytanemu w literaturze starożytnej trudno uwierzyć, jak nedorzeczne formy kultu utrzymały się aż do schyłku bóstw helleńskich. Upadek niepodległości helleńskiej został spowodowany krucjatą kapłanów w obronie nieuprawnności pola świętego, na którym dziś udają się doskonałe oliwki, bez szkody dla dzisiejszego państwa.

Tylko pisma Epikura i wymowne uwielbienie ich w poemacie Lukrecjusza napomykają, jaką zmorą była religja w sta-

rożytności. Tylko czytając tragedję helleńską, umysł nowożytny burzy się przeciw władaniu zabobonu nad wolą i nad uczuciem. Można tego domyślać się — rozumie się to w całej pełni dopiero w obliczu ruin: nie bogowie mieszkali wśród ludzi, ale ludzie, wielkie miasta tuliły się do świątyń. Bogowie wyparli ludzi z akropolów, wdarli się na rynki, zeszliz na przedmieścia. Tysiące pól leżało odłogiem z ich woli. I dziś wiele cerkwi nowohelleńskich wznosi się w miejscach odludnych, tam gdzie przed wiekami bóstwa starożytne objawiły swoje zamieszkanie. Ale każda świątynia żywiła swoich kapłanów.

W Rzymie było jeszcze gorzej, i dlatego Lukrecjusz jest namiętniejszy od Epikura. Forum Romanum było raczej w rękach kapłanów, niż ludu rzymskiego. Nie sądzę, by odbywanie zgromadzeń ludowych na Forum, nie w sprawach religijno-państwowych, było starej daty. Jeżeli ojciec Lukrecji przemawiał na Forum, czynił to w obronie świętości ślubów małżeńskich. Jeżeli Forum było kiedykolwiek rynkiem między osadami wzgórz okolicznych, kapłaństwo zjednoczonego państwa usunęło handel na inne fora, kramy zepchnęło na skraje Forum, a u wejścia wyznaczyło mieszkanie „królowi”-kapłanowi i pojęło Forum zrazu jedynie jako święte przejście z mieszkania króla do świątyni Jowisza.

Pierwotną Kurję wypchnęło z właściwego Forum. Gdziekolwiek ona zrazu leżała, a mogło być ich kilka po różnych królach, niewątpliwie na początku Kurja mieściła się w Regji. Zamordowanie Romulusa na polu Marsowem, wobec wojska, jest nie do pomyślenia, a jedynie mogło mieć miejsce w Kurji-Regji. Dopiero rzeczpospolita zamieniła we właściwe Forum miejsca pierwotnie wolne, bo leżące pod środkowym pagórkem, niezajętym przez kapłanów i arystokratów, a należącym od początku do ludu — jestto część Forum, najbardziej odległa od Regji. Oczywiście Plutarch, umieszczając kurję Romulusa na Volcanalu, chciał wersję Kurji na Forum pogodzić z historycznym położeniem Kurji obok Forum. Położenie grobu Romulusa dowodzi, że miejsce to uważane było wówczas jako leżące za miastem, orjentując się z Palatium. Tacyt mówiąc, że dopiero Titus Tatius dołączył Forum i Capitolium, rozumie najwidoczniej część Forum pod Capitolium, bo inaczej z Forum Boarium nie byłoby przejścia do *Curiae Veteres*. Forum za czasów Tacyta rozumiano politycznie: okolicę Mownicy. Jeżeli rozwój wychodzi z Palatium, jest jasnym, że Forum musiało cofać się zpod Palatium przed naporem świętości kapłańskich ku Kapitolowi. Część pierwotna utraciła zczasem zupełnie znaczenie polityczne na rzecz sakralnego. Regja Pontifeksa uzmysławia najdalsze wysunięcie Kurji królewskiej z dawnego Forum.

Tak należy tłumaczyć sobie to dziwne wymieszanie urzędzeń politycznych z religijnymi, jakie przedstawia Forum Ro-

manum, zasadniczo w charakterze swym bynajmniej nieróżne od agory ateńskiej. Równolegle z wdzieraniem się kapłanów na Forum i oprawianiem pulsu świata cywilizowanego w wianek świątyń, szły intrygi z apetytem kurcząt, grzmotami przy jasnym niebie, badaniem pogody na kwadratach niebieskich, prodigjami. Arystokracja przy pomocy kapłanów rządziła ludem jeszcze wtedy, kiedy sama była już bezsilna. Cezar był pierwszym i ostatnim demokratą w Regji.

Wymowa ruin nie jest jednak smutna. Pierzcha żal za niepowrotną gęźbą dziejów, gdy z Akropolu rzucisz wzrok dookoła — nie na miasto dzisiejsze, choć i ten widok jest nieporównany — ale najpierw na odległy pierścień gór i klejnot jego: Hymet, rumiany w słońcu, a tonący w fioletach o zachodzie; na jaszczurowaty grzbiet Salaminy, wzdęty nad malowaną w pasy różnobarwne kameą wód saronickich; na Parnas przyciągający obłoki, tak rzadkie pod niebem ateńskim, iż i one liczą się do cudów krajobrazu; na Aigaleos strzegący Eleusyny; na żebrowane Pentele. I już więcej nie należysz do siebie, kiedy potem zawiśniesz okiem na samotnych kolumnach Olympieion, i niby nicią pajęczą, zaczepioną na akantach ich kapiteli, obwiedziesz ciaśniejszym pierścieniem spojrzenia cmentarzysko Aten starożytnych, dziś jeszcze nie zamurowane blokami kamienic: odbiegniesz okiem od osypisk Limn staroateńskich. odpoczniesz na sosnach Kydathenaionu, a potem płyniesz błyszczącą drogą Syngru ku Faleronowi; przebiegniesz wszystkie baseny i nogami Murów Długich zawrócisz ku cieniom Keramejku, wypinasz się okiem na skały przysiadłe u wejścia do Propylei, a wtedy rozpogodzisz się przed wydrążonym w skale pierwszym parlamentem świata Pnyksem i zbożna dusza twoja ugnie kolana przed cięciwą skalną, co dawała echo słowu Temistoklesa, Arystydesa, Peryklesa, Demostenesa — oko widzi płomienną postać Wolności wspiętą na odciskach stóp największych twórców wolnego człowieka. Paryż, New-York, czy Washington nie znajdują, dla apoteozy demokracji, miejsca tak dostojnego, jak to sielskie boisko, pokryte murawą.

Wpijesz oko zadumane w tak mało dziś groźną skałę Areopagu. Nietylko powaga siwych eksarchontów, ale i ogromny głos piśmiennictwa helleńskiego z Aischylosem na czele nadały jej godność rozjemcy między bogami a ludźmi, między moralnością sumienia a moralnością prawa. Tu podjęto rozstrzygać, do czego żaden sąd dzisiaj nie poczuwa się uprawnionym: czy prawa wystarczają dla wyrównania rachub między dobrymi a złymi. Przemierzysz mgnieniem owo zagadkowe gniazdo skalne, wrzucone w wąwozy i zaczepione na głazach. Wiek jego nie jest wiadomy, ale tam stał dom Temistoklesa. Temi wąskimi uliczkami parada panatenajska

rozwijala swoje hufce konne we fryz metop partenonskich. Az zatrzymasz sie nad krawedzia, skad przestepni padali na podlogi skaliste, aby w rzeczywospolitej wiodlo sie zle winowajcom. I potem zlatasz okiem na nieme tympanony jedynej u stop Akropolu relikwji V w., Teseionu, i zdumiewasz sie, jaka zagadka oszczedzila ten ogromny chram, gdy wszystko, wszystko inne przepadlo na stokach.

Zatrzymasz oko i nie pojdziesz dalej w kręte i zaniebane uliczki tureckie dawnych Aten Temistoklesa — tam byla agora; Amerykanie dali milion dolarow za prawo grzebania w jej smieciach. Tam stalo buleuterjon, tam metroon, tam zbieraly sie heliaia — niemal wszystkie ostoje porzadku publicznego i rozkwitu politycznego Aten padly tam w gruzy, zniszczenie tarzalo sie w nich przez 15 stuleci a w koncu proch nawet poszedl z wiatrami. Rzym zachodzil na skraje agory. Najazd za najazdem staczał sie w ogrojec oliwek i ruin. Male zycie codzienne wydrapalo z prochu, z gliny, ze skały, wszystko, co dalo sie uzyc pod dach, do stajni, do kuchni.

Ta czesc Aten Temistoklesa przepadla na zawsze. Tylko gliny Keramejku kryja jeszcze moze czesc przedmieścia i czesc drogi swiętej do Eleusis, z jej nagrobkami. Nie masz dzis poco isc za Cyceronem do Akademji, chyba ze pozdrowisz Kolonos. Skarbiec podziemny na brudnym przedmieściu czeka łopaty Amerykanina. Któz inny mógłby podjac sie tak rozleglych i kosztownych kopań dla znalezienia kilku murów dawnej szkoły? Ateny Hadrjana dopełniają reszty pierścienia — ale tu pamiatki rzymskie niewiele drozsze są od ... tureckich.

Poklon mistyczny w wszystkie strony Aten jest skonczony. Tam w dali, za Patisia, byly Acharnai Aristophanesa; na polnoc Alopeke, Paiania — na cóz to wspominal? Dzis domki robotnicze i wiejskie usiadly na pamietnych zwaliskach lub wieje pustka. Filolog zaluje ruin rozgrabionych, ale jest wdzieczny tej jednej, która zostala nietknieta przez czas i najezdźce, niespalona w piecu wapiennym, nie wmurowana w węgiew monasteru lub chani — jedynej wśród nas, starozytnych i nowozytnych, nieśmiertelnej, Przyrodzie.

I tu ruiny mówią więcej niż literatura. Oddawna uczeni zastanawiali się nad zmysłem przyrody u Hellenów i Rzymian. Byli zdziwieni różnicą między własnym (tj. romantycznym) umiłowaniem przyrody dzikiej i groźnej, a widocznym u starozytnych upodobaniem do krajobrazów sielskich i stylizowanych. Gdy ogień romantyczny stygnie, zmniejsza się dziś potrzeba usprawiedliwiania starozytnych. Ale pozostaje inna przyczyna zniecierpliwienia dla filologów: dlaczego starozytni tak mało zachwycają się przyrodą? Pytano się nawet, czyżby im brakowało zmysłu estetycznego dla poznania piękna przyrodzonego? Nie wiem. Wierzę, że materiał literacki zbzdano wyczerpująco, nie mam chęci jeszcze raz go porządko-

wać dla wniosków odmiennych. I, gdy wrócę do kraju, będę czytał książki — dziś chcę czytać w tej księdze, większej od największych in-folio.

Widziałem Kyme, najstarsze ognisko kultury helleńskiej w Italji. Leży w najrozkoszniejszej okolicy Neapolu — tam gdzie były Baiae, Misenum, Puteoli, Pausilypon i tyle sławne *fauces graveolentis Averni*. Leży w tyle za niemi i ma brzeg osobny, plażę wysypaną żółtym piaskiem (w Ostji jest on czarny) na roztoczy wielu kilometrów. Sama, cofnięta nieco w ład (zresztą brzeg narósł), króluje na skalistej wzniosłości nad błękitnem morzem i leukogea (białą gliną) łądu.

Po drugiej stronie Italji Tarent przypomina położeniem Syrakuzy, siedząc na wysepce i półwyspie zarazem, więcej niż dokoła ukąpany w morzu. Cały brzeg morski, aż po Reggio, sławny z miast dostatnich, bieleje piaszczystą krawędzią naprzeciw szmaragdowego Ionium.

Jakżeż mówić o Selinuncie sycylijskim, którego ruiny jeszcze są tak piękne wśród opuszczonych i zasypanych piaskiem wydm? Jaki czar musiało mieć miasto siedzące na trzech grzebieniach jak na lagunach, a między nie morze niezmiernie wchodziło dwoma podłużnymi portami? Złote świątynie Akragantu, widziane z dzisiejszego Agrigento, jeźliby wrócić dawną rozmaitość innych mniejszych budowli tej ziemi zsiadłej falami, obwiedzionej krawędzią ściętych jakgdyby blanków skalistych, jakżeby roześmiały się, majacząc na tle odległej błoni wód zielonych, z pysznie białą ostrogą cypla na najdalszym widnokrzęgu?

Teby przypominają Selinus: na trzech łądach równoległych ściał się plan miasta, i bynajmniej nie jest pewnem, czy najbardziej wschodni z nich, krwawa Kadmeja, dał gościnę najstarszej osiedli. W oku rysują się ponure gzygzaki gór, które oglądały młodość Edypa, Hezjoda, Pindara. Czarny Kithairon stróżuje nad pobojuwiskiem platejskiem. Zwaliska wielu miast homeryckich drzemią wśród gajów oliwnych. Szerokie gościńce, to plamiły się niegdyś krwią Lajosa, to dudniały pod rydwanami Siedmiu, to tumanami kurzu zakrywały plecy niedobitków Mardoniosa. Podróżny przystaje pod fontanną o 12 strugach, obmywa ręce i orzeźwiwszy wargi, powtarza za Pindarem: „Najlepszą jest woda”. Dziś Teby przebrały się za rozległą wieś turecką, o szerokich ulicach i niskich domach — przecież, zdaleka, mają pewną malowniczość. Przed wiekami źródle i potoki cucily omdlałe anemony pod murami Teb ogromnych, ale w bezkresnej kotlinie niżu beockiego podobnych do małej inkrustacji na wypukłym środku muszli wiekłej fontanny. Aleksander Wielki zburzył Teby, ale nie domyślał się, że nie ludzie wystawili to miasto i że ludzka ręka nie jest w stanie położyć mu koniec. U węzła wszystkich go-

ścińców z zachodu i północy na wschód, szczep wędrujący mógł zatknąć kostury, by rzec się dalszej drogi, o władnąć całą kotliną... i przeszkodzić zkolei innym, by uczynili to samo. Bo niewątpliwie i oni musieli zdobyć jedno to z kilku w Helladzie przez fatum przyrody na osiedla ludzkie przeznaczonych schronisk.

Wyżej, wzdłuż mętnej strugi Kefisosu, broniły przejścia twierdze homeryckie, jak Orchomenos. Zakopane Beocji, Le-badeja, siadła głębiej w górach, na tle Helikonu. Jej nie przeznaczono strzec złowrogiej gardzieli. Noże i strzały kamienne, zatopione w błotach pobojowiska cheronejskiego, uczą, że, zanim jeszcze wędrowka ludów przybrała wygląd pochodu zbrojnego krętym gościńcem wśród gór Beocji, ludzie neolitu uprawiali tę równinę i żyli z połowu ryb i ustrzału ptactwa wodnego, co lata ciężko i przy ziemi. Później, gdy szczyty mosiężne hord północnych ukazały się między brzegiem jeziora kopajskiego a podnóżem Helikonu, ludy łowieckie rozstały się, zostawiając gościniec bezspornym — jest to ten sam gościniec, na którym dzisiaj trzy mostki znaczą etapy klęski Hellenów. Zaczem przysiadły na wzgórzach warownych, Orchomenos i Cheronei, by brać myto wojenne od ciągnących. Tych ptaków już strzała o grocie kościanym nie mogła położyć. Ale z dwurożnej akropoli Cheronei można było nietylko wyciągnąć rękę zbrojną nad wąwozem — można zadumać się nad ogromną łaką rozgromu wszystkich, którzy chcieli zatrzymać silniejszych.

W kirze cyprysów, widoczny ze wszystkich rogów wąwozu, z odległości 20 kilometrów, siedzi, w pewnej niezgodzie z anatomją ciała lwiego, którego chyba nigdy rzeźbiarz nie oglądał, siedzi z głową, źle modelowaną, ale artystycznie pojęzną, lew cheronejski, najtragiczniejszy pomnik, jaki zdarzyło mi się widzieć. Poświęta księżycowa rzuca nań bladeść upiora. W pośrodku leż hufca świętego Teban czuwa wyprostowany. Zaciśnięta paszcza wysadza bokami kły — niewyłamane sarsią macedońską. Wódz powstania nowohelleńskiego Odysseus rozbił go w kawałki, szukając skarbu. Złatany z różnego kamienia, zlepiony z różnego odcienia marmurów pierwotnych, w częściach wyżółkłych cieszy oko filologa, ślizgające się z lubością po szlachetnych karnacjach tułowia, ud. Przyległy do nich i do grzbietu rysunek ogona przywodzi na pamięć najlepsze reliefy poklasyczne, jakby cofające się przed okiem i światem, prawie tające na płynnej powierzchni fali marmurowej. Wielka sztuka reliefu attyckiego IV stulecia umiała zatrzymywać pieszczotę dłuta na zacierającej się między oczyma a brzegiem kamienia granicy między bytem a niebytem, dawała dziełu tylko tyle życia, ile go było w duszy, tylko tyle, by zaczęło powstawać, by mogło żyć pierwszym tchnieniem stworzenia, nie więcej. Rzeźbiarz chciał zwiewnym pocałun-

kiem dłuta musnąć marmur, chciał, by kamień zachował pamięć jego pieszczoty, ciepło jego dotknięcia — nie było to dla ludzi. Kto nie ma serca, w tym kamieniu, ledwo dostrzeże, jak marmur oddecha kształtami swojemi. Lew cheronejski posiadał całe serce moje — kiedyś deszcze zmyją z niego resztę natchnienia artysty i pozostanie dla przyszłych Amerykanów świata zagadką, jak Niobe sypilijska lub jak lew nemejski. My, którzy kochaliśmy Helladę, rozumiemy jeszcze smutek i dumę rzeźbiarza helleńskiego, idąc za spojrzeniem lwa kamiennego przez pola usiane kośćcami. Lamja, Kalaurja, później znowu Cheroneja, okropniejsza dla Aten, lecz nieopisana i przez to niesławna — a potem walka toczy się już nie na żelazo.

Tak z dwurożnego szczytu akropolii cheronejskiej śledzono może fatalnego dnia klęski losy boju na równinie. Po przeciwnej stronie wąwozu Orchomeńczycy zza skał wychylali blade oblicza. W tyle, za Cheroneją, wielka rotunda Parnasu chwytała i kupiła w sobie wrzawę walki niesioną wichrami.

Gdy Stwórca rozdarł góry i otworzył drogę przeznaczeniom, chciał pracę zakończyć i wielką pieczęć przyłożył u kresu tworzenia i nieprzyschłą jeszcze oderwał — tak wygląda Parnas, zaskrzepły w chwili, gdy czeluść otworzyła się na niebo. Płaszcz rozdarł się na nim i dwie półkoliste galerje gór stanęły przeciw sobie; mniejsza służy ludziom, jak łoża w teatrze, ku podziwowi. Większa i wyższa srebrzy się śniegami i gości, prócz wycieczek Cooka, chyba tylko orły, dla nich tylko stworzona pierwotnie.

Pociąg pędzi wiele godzin, nie odrywając się od Parnasu. Gdzież Cheroneja, zdająca się leżeć u stóp jego! Przejrzystość powietrza w Helladzie jest tak wielka, że nogi wędrowca z północy nieraz pokutują za błąd oczu. Dziesiątki kilometrów dzielą w rzeczywistości tych miast kilkanaście, widnych, jak na dłoni, w sąsiedztwie Parnasu. Ale oko cieszy się panoramą, niezwykłą w kraju naszym, gdzie rozrzutna roślinność i opary powietrzne skrcają strzał wejrzenia. Oglądając wszystko jednym rozwarciem powiek, podróżnik czuje się jakby gdzieś na wartownicy świata, wzbity przez anioła dumy. Tylko w rozwartych, jak świat, kotłach Atlasu, miałem podobne chwile kontemplacji bytu. Hellen już u siebie był zdolny dojść do oglądania oderwanego całości bytu razem, jednocześnie.

Nasz stosunek do przyrody jest odmienny. Wyraził go dobrze Mickiewicz, mówiąc o krajobrazie lemańskim: „złudne to, jak *camera obscura*, a przespać się na tem nie sposób”. Istotnie, trudno przespać się na krajobrazach Hellady. „Zawsze coś gdzieś ukłuje, ledwo siądziesz” — zwierzał mi się pewien rodak, zdomowiony od lat w Helladzie. Hellen oglądał przyrodę tylko okiem, nie szedł ku niej. Dla niego przyroda była malowniczą, ale nie była kochanką ani piastunką.

Przyroda helleńska jest urodziwą, ale zarazem wyniosłą bohdanką. Więcej, jak oglądać ją, nie dano, ale kontemplacja sama, bez wygód i jagód, pochłania umysł, skłonny wtedy tonąć w rozmyślaniach nad czymś jednym i ogromnym. Gdzie kolory tynków zacierają się, gdzie druty telegraficzne nikną i kurczy się majestat budynku magistrackiego, ale widać jeszcze inne miasto i dwa jeszcze i trzy inne, i gdy z nich zostaje tylko to, co jest piękne, co jest wiecznie helleńskie, a przepada turczyzna małego obejścia, tam nie rodzi się w myśli małe zadowolenie z dziesięciu kominów i jednej topoli, ale wszystko naraz wpada w duszę i wyciska w niej obraz oczyszczony z małych kresek.

I wtedy θεωρία - *contemplatio* ogarnia tylko to, co jest istotne, wszystko co nie mieści się w rzeczy jednej, ale potrosze jest w każdym, a w całości jest dopiero na bardzo wielkiej, wielkiej roztoczy jednostek, w miliardowym skupieniu atomów wrażeniowych. Patrzenie ogromne przestaje być sprawą wzroku, a staje się rozważaniem czegoś, co istnieje tylko w tem spojrzeniu! I tak przyroda helleńska zaprasza nas, byśmy spojrzeniem wychodzili poza krawędź materji i okiem fizycznym myśleli o rzeczach niewidzialnych. Tylko w Helladzie oko przeprowadza nas poza widome — i to jest jedna więcej nauka, potrzebna do rozumienia książek.

Z akropolii lamijskiej było można śledzić przebieg bitwy w Termopilach. Ciemna Oita odbijała się w źrenicach Helleńców walczących. Mur pasma górskiego Kallidromos odgrzmiewał szczękowi tarcz. Usiądź, kochany filologu, w gaju oliwnym nad źródłem, z którego Leonidas pił przed bojem, i zamyśl się nad szczęściem tej krainy, gdzie nawet śmierć stawała się piękną, gdzie mający ginąć szli w teatr godny ich czynów, wiedzeni troską, by padli przystojnie. Gdy burza się rozpęta i ogniste nici błyskawic szyją na posępnych koronach gór, na pierzastych koronach chmur skłębionych nad wierzchołkiem, trzecią koronę złocistych gzygzaków, wtedy zdaje się na nowo płonąć stos mocarza Heraklesa, zapalony gromami, wtedy, wśród sosen na pagórkach Termopil, zdaje się gorzeć *chappelle ardente* wielkich poległych.

A gdy jest cicho i pogodnie, gdy promień słońca chadza białą drogą pod wzgórzami, gdy niesie się symfonia dzwonek rozgadanych pod szyjami baranów, a przy mandrze stoi pasterz, wsparty na długim kaduceuszu, a stada kaczek dzikich zrywają się tam, gdzie niegdyś hordy Kserksesa tonęły, wtedy Termopile przyoblekają się w urodę inną, w urodę sielanki u źródła i upojenia woniami żywicznymi. Jedno południe wypoczynku na wzgórzu śmierci tysiąca Spartatów daje wtedy więcej, niż sam wypoczynek gdziekolwiek indziej, i więcej niż sama lektura Herodota. Trzeba tych dwu

rzeczy razem, a to może stać się tylko tam, gdzie zostawiłem myśl moją, przy tych kościach nieodkopanych. Wieczysta ironja przyrody, wieczyście tej samej, świadka zatrąty wiekopomnej i tysięcznych dni małych, pogodnych i deszczowych, samotnych i gwarnych, spokój kamieni rwie sercem człowieka. Myśl odchodzi do nich, którzy są nam bliżsi i jak-gdyby tak samo doczesni.

Z maleńkiej stacji kolejowej Kitynion pędzi auto serpentydami wśród śnieżnych wierzchołków przez Szwajcarię Hellady. Hellada w tem jest szczęśliwsza od Szwarcarii, że dwie je posiada: jedną w Focydzie, drugą w Arkadii. Na dnie kotliny żebrowanej rudemi smugami glinki, w głębi ogromnego cebra, którego obręcze odcinają się różnobarwnymi złożami na wykuszach skalnych, krupi się gromadka domków białych, niebieskich, z wenecka czerwonych w odcień cynobrowy. Wygląda to jakby pstre kamyczki mozaiki, rzucone gdzieś z nieba precz na dół, aż stoczyły się najniżej jak mogły. Wszystko rozdzwonione — to trzody owiec i kóz włochatych pozdrawiają przejezdnych językiem hal¹⁾. Jeżeli dzwonki zwracają nas myślą w starożytność, mandry owczarskie (okrągłe, lekko baniaste, niesklepione hurty z prętowia) przenoszą nas wprost w okres przedhistoryczny. Zgóry wydają się one jak gniazda szerszeni, wydrażone kijem psotnika, po wykurzeniu mieszkańców.

Za 40. kilometrem staczamy się karkołomną serpentyną ku Amfissie, a potem zdążamy znowu w górę, pod skały wycięte w nisze i kopuły. To bok południowo-zachodni Delf. Ostatni zakręt, i brzegiem przepaścistego wądołu Pleistosu, obręczą jednej panoramy z widokiem na Krisę (Chryse) i Kirrę (Iteę), na pole święte, zalesione gajami oliwnymi, i na zatokę z maleńką wysepką opodal wybrzeża, wpadamy w nową... nie panoramę — to zbyt słabe słowo dla rzeczywistości prze-

¹⁾ Niech mi będzie wolno tu roztrząsać te dzwonki — są one właśnie jak starożytne: spłaszczone i głębokie. Dziwna tradycja małych rzeczy: wszędzie w Helladzie dziś ujrzyć chleby okrągłe, jak koła, puste w środku na przełożenie ręki, jak to widzi się na metopie z V w. w muzeum na Akropolu. Każdy mieszkaniec Hellady, czy ubrany z turecka, czy w fustanelli albańskiej, czy z miejska, gdy zaprzecza, podnosi brodę do góry, lub choćby oczy, właśnie jak u Homera: ἀνέβουσε κροτίων. I chociaż dzisiaj gest ten już nie trzęsie światem, dla filologa jest ciągle jeszcze spadkiem po bogach Hellady. Jadąc tramwajem do Pireusza, usłyszysz handlarzy portowych, jak enklitycznie skandują rachunki: δίδωκεν ἄμιστον; przebac nowość enklityki za wierność prozodji starożytnej. — Ze sztuki, choćby dwa szczegóły: Użycie ornamentu architrawalnego z metopami, na poziomie, występuje w balustradzie na agorze korynckiej, a przedtem w eksedrach i ławeczkach dokoła wielkiego dziedzińca w Phaistos. W muzeum bizantyńskim w Atenach filolog ujrzy płaskorzeźby przedstawiające napad lwa na bydlę robocze, krowę czy coś dzikszego, bo nie dojrzałem, tak to się zatarło. W sztuce starożytnej jestto motyw znany od czasów minońskich do hellenistycznych i rzymskich.

rastającej wszystkie ludzkie teatry — wpadamy w ogromny amfiteatr zboczy skalistych. Tylne dwie ściany (Phaidriady i Hyampeia) złocą się, obmyte świeżym deszczem. Przodem druga połowa obręczy zatacza posępniemi zębami ku wąwózowi Pleistosu. Tak dojazd odbiera dla siebie część zachwytu, jak gdyby cały mógl dla Delf samych wystarczyć.

Nie chciałbym tu śpiewać pomrocznych początków wyroczni, jej potężniejszego z rozwojem Hellady historycznej głosu tajemniczego, bo nie umiałbym zrozumieć go tak, jak Heraklit wskazał. Owszem, ze smutkiem czytałem zawsze te z wyroków wyrocznych, jakie literatura zapisała. Bóstwo delfickie oszukało tyle razy swoich klientów, co najsmutniejsza, nietylko barbarzyńców, najlichszemi z wierszy helleńskich, że z miłości dla literatury, dla Hellady samej, można stać się racjonalistą, ba nawet ateuszem. Miasto kapłanów siedzących na złocie i ta dziwna wieśniaczka Pytja, Jeanne d'Arc bez oręża i bez patriotyzmu, Bernardka dziewczyna starożytności klasycznej, usposabiają mię antyklasycznie i niewyrocznie. Montecarlo wiary, przetwórnia złego powietrza na wskazówki polityczne! Podobno złe powietrze zmieniło kierunek i dziś wymyka się tuż przed dojazdem do wsi tzw. anemotrupa czyli dziurą wiatrów. W każdym razie przestało szkodzić Helladzie i nie można nawet powiedzieć, by zapowietrzało okolicę. W miejscu, gdzie miało wydobywać się w starożytności, jest dziś solidna skała. Trzęsienie ziemi położyło kreskę oszustwu. Szczęściem pozostała część tego, co oszustwo stworzyło. Stojąc na platformie świątyni delfickiej, myślałem, jak to dobrze, że kłamstwo rodzi rzeczy piękne, skoro prawda poprzestaje na moralnych. Nie chcę także mówić o piękności zwalisk delfickich, bo nie jeździ się do Hellady, aby się o tem przekonać: wierzy się w to już w gimnazjum.

Ale wymowa ruin powiedziała mi co innego. Oto gdy Hellen obmywał się w Kastalji, zanim przestąpił próg świątyni, nad którym widniało zagadkowe *E* (myślę, że nie była to litera), w rzeczywistości był obmyty na duszy i oczyszczony na sumieniu od chwili, kiedy wkroczył w święty krąg skał delfickich. Oczyszczała go matka przyroda widokiem piękności swojej, rozweseliła blaskiem, ukoić balsamem woni tymianowych, wzruszyła milczeniem, uderzyła ogromem, przycięła grozą turni, wzdrygnęła zawieszeniem głazów, przeraziła i uspokoiła, uwięziła i wyzwoliła, olśniła i sprawiła, że przejrzał. Małe kłótnie domowe, jeszcze mniejsze kłótnie państwowe, żale do nieprzyjaciół, urazy do przyjaciół, uniesienia i przycięgnięcia, smutki i marne uciechy — to wszystko przyklekło w nim odrazu, przed wielkim ołtarzem Delf, nie tym z czarnego kamienia w świętym obwodzie, ale przed ołtarzem demona gór i czeluści, przed ołtarzem nimf ruczajów, przed ołtarzem Pana grot, przed ołtarzem Gei, rodzicielki ludzi

i węży, głązów i kwiatów, wód i woni, mroków i blasków. Spojrzał i mógł wracać. Wyrocznia przyrody, zatajonej w tym kręgu, powiedziała mu, że człowiek jest mały a dziełem jego jest tworzyć rzeczy piękne, podobne do wielkich jej tworów.

Delfy powtarzają dzisiaj to samo. Strach paniczny ogarnia w tem piekle wiatrów szalonych i speiki tropikalnej. Głowa mąci się, dusza przewraca się w człowieku na znak i stacza się bez końca po żlebie delfickim. Kłopoty domowe i polityczne czynią się okropnie małe, mniejsze od bożej krówki, która właśnie w tej chwili siedzi na cokole kolumny platejskiej. Ha, Boże wielki, jakież to świat stworzyłeś! — tyle, nie więcej, myśli się w tej chwili. Z pewnością niema w tem wielkiej mądrości, niema jej więcej, jak w wyroczniach delfickich, ale w chwili takiego zastanowienia, w samej prostocie takiego samopoznania, leży coś, po co i dziś warto przyjechać do Delf bęzpańskich, do Delf, gdzie każdy prostaczek, a nawet każdy filolog, staje się na chwilę kapłanem duszy swojej, do Delf prawdziwie bożych, świętych, nad- i pozaludzkich.

Ludzie odziani w skóry, z łukami przez plecy, składali zalewki swemu bóstwu na wzgórzu Kronion w Olympji. Niebawem u stóp pagórka rozłożyły się pierwsze, jakie Europa oglądała, świątynie, w kształcie podkowy wydłużonej. Niewątpliwie do świątyni tuliła się osada świecka, bo żyzne w drzewa błonie, skąpane w dwóch rzekach i zastłonięte od wiatrów północnych łańcuchem wzgórzy lesistych, zapraszało w gościnę w tej Helladzie, ubogiej w wody i w drzewa. Ci którzy przyszli później, zapomnieli prawie o bóstwie wzgórza, zastali też zresztą całą niemal polanę w władaniu niebian. Raj bogów zamienił się w raj kapłanów.

Plemię doryckie oddawało się zapasom i zawodom, i chciało bóstwu ofiarować coś z tego, w czem widziało swą dumę. Z pewnością nie było żadnego związku między prawniecznym kultem w Olympji a zapasami. Ani nawet w czasach, kiedy kapłaństwo helleńskie osiedliło się w obwodzie i za nim, igrzyska nie należały do kultu. Była to poprostu ofiara — votum ludności pobożnej. Oba tory leżały nietylko poza Altis, ale nawet chorograficznie nie należały do polany olympijskiej. Przez dziwną ironję losów, tyle władną w chaosie mniemań naszych i zamierzeń, Olympja bogów, spalona przez chrześcijańskiego cesarza, ale niemal cała w swoich kamieniach węgielnych, Olympja bogów i filologów, umarła na zawsze. Te kamienie są przydatne dziś jedynie dla podręczników. W Altis filolog mniema, że znajduje jeszcze Helladę.

W rzeczywistości żywie ona tam za trybunami pagórków, tam gdzie dziś niema poprostu nic, nawet dla filologa. Tam gdzie Alpheios natoczył piachy żółte i glinę białawą, gdzie ciągną się pola grząskie i moczarowate, dziś arena komarów

i orchestra dla żab, tam, na tych nasypiskach, wzgardzonych nawet przez łopatę kopaczy uczonych — bo filolog szuka tekstów, a archeolog kamieni — tam zczeszła nawet ziemia, niegdyś tratowana przez konie w rydwanach i ubijana chyżą piętą biegacza i ciężką stopą zapaśnika, tam, mówię, w tej próżni, geograficznie, literacko i artystycznie pojętej, żyje cała Hellada młoda, piękna, zdrowa i wieczna.

Oczywiście wiadomo, że Hellada stworzyła gimnastykę, że ta gimnastyka odżyła dziś w sportach, w nowożytnych igrzyskach. Ale nie pięty to i nie ramiona liczą się za Helladę: jest jeszcze w tem i pewna metafizyka. Zapewne, plemię doryckie celowało w sprawnościach ciała, ale nie kapłani olimpijscy uświęcili hart woli, żądzę wysiłku, radość próbowania, ile jest się w stanie uczynić najwięcej i najlepiej, szlachetne dopuszczanie przeciwnika do równych warunków w dążeniu o lepsze nad nim.

Było to pewne czyste, kontemplacyjne zadowolenie, nie z tego, co osiąga się w rzeczywistości, ale było to upodobanie piękne w zdolności osiągnięcia bez korzyści, z tworzenia pewnego stanu uzdolnienia, tężyzny, choćby ona miała ziszczać się niepomyślnie, w warunkach, jakie los nadarza. Bo człowiek silny przegrywa napadnięty z tyłu lub przez większą liczbę przeciwników, lub nieprzygotowany, nieusposobiony, na terenie niekorzystnym dla siebie. Człowiek silny, niemniej dba o swoją korzyść i nie jest skłonny dać warunki równe przeciwnikowi, jeżeli trafem ma sam lepsze. Ale potrzeba zamiłowania w samej zdolności, ἐν δυνάμει, by próbować jej w ogniu każdego hazardu.

I to już nie rzecz gimnastyczna, jestto rzecz umysłowa, etyczna, estetyczna, artystyczna, filozoficzna, co kto chce. I to rasa helleńska dała nam, co miała w sobie tkwiące jednorodnie, w swoim hellenizmie, to dążenie do wysiłku, do rozwoju, do ulepszenia, nie dla powodzenia, ale dla wiecznego przedłużania przebiegu nieprzyrodniczego; bo przyroda uczyniła nas gatunkowo sawcami, a przecież my dziś jesteśmy ludźmi przez pewne znamiona czysto nieprzyrodnicze. Rasa helleńska objawiła nam nie fatalność, lecz świadomość i własnowolność takiej walki z przyrodzeniem.

Ludom wschodnim majaczyła się drabina, po której człowiek wstępował od zwierząt do aniołów. Tak było można śnić przez tysiąclecia, wydając conajwyżej wizjonerów i neurastheników. Jakże to prosto mówią ludzie Homera: bądźmy lepsi od ojców. Nasza cywilizacja nowożytna nie inaczej pojmuje wstępowanie ku aniołom. Niewiadomo, jak tam się z nimi ma, ale to, co znaczy, jestto najbliższy wysiłek, przejść szczebel ostatniego pokolenia, na jakim ojcowie nas zostawili; na to trzeba nie majaczyć, lecz chcieć i trudzić się temi sa-

memi lub tego rodzaju sposobami, przez które dotychczas jesteśmy tem, czem jesteśmy.

Helleńskie pojęcie postępu jest nierozłączne z helleńskim pojęciem zawodu-agonu. Chcąc iść naprzód, trzeba zwyciężać coś lub kogoś. Liczy się tylko *entelecheia* i nie jest ona niczem podrzędnem ni pośledniem. Dlatego Heraklit nauczał obrazowo, że wojna (główny agon ówczesny) jest matką wszystkiego, a w kilka wieków później tragik ateński przypomniał, że życie nasze jest zawodem. A w tym zawodzie dzieło tragika czy komika, popis krasomówcy i filozofa, zapasy mocownicze, wszystko, co buduje życie i popycha naprzód, co przyczynia się do ukrzepienia ludzkości, wszystko to rodzi się jedynie dzięki chęci mierzenia się ludzi na siły między sobą.

Ozimina wschodzi na łąkach hippodromu i stadjonu. Sosny gawędzą na wietrze przedwiośnia, w wyrwach dawnej widowni. Ciężkie koturny gliniane obciążają krok filologa, kiedy zamulonemi jarami dociera do wzgórza trybuny Hellanodików. Tam, gdzie teraz żółwie krocą po piasku wśród kępek ostów, gnały rydwany. Tu, gdzie kobiety o zatulonych twarzach jadą na osłach, biegły nagie drużyny młodzieńców. Schodzę; noga zawadza w mule o kamień drażony w pręgi — stąd ruszali, o tę pręgę zaczepiali palce nogi wyprężonej do biegu.

Nie lubię gimnastyki, nie lubiłem jej nigdy, zawiele pozwalało mi czytać w dzieciństwie, wyrosłem słaby i chmurny — ale tu, wśród błot dorzecza Alphejskiego, dziękuję Helladzie za rozkochanie w wysiłku i trudzie, za zapal żądny zwyciężać, za waleczną siłę wytrwania w pięknie, która podtrzymuje mi nogi w toku państwa po ziemi klasycznej i po ziemi naszej.

My przez Ciebie, Hellado, ale Ty jesteś nietylko dla nas, filologów, Ty co wracasz dziś rumieniec życia młodzieży, Ty co jeszcze prócz ruin masz wymowę ziemi odartej ze swej kras, zmytej nawałnicami, wywróconej przez wulkany podziemne, stratowanej przez najazdy wszystkich barbarzyńców. Zawitaj, matko trudu zwycięskiego, ziść nam, spuść nam Twe wieńce oliwne! Wróć nam, Boże Olympji, zdrowie utracone! Daj nam wiosnę życia, byśmy w jesieni mieli zbożne spożywanie owoca zwiezionego na spichrze. Wybaw nas z trucizn ciała i ducha, byśmy byli mocni i piękni zarazem. Dałeś synom Północy Olympję, dajże im pojednanie w braterstwie wysiłku. Ty co wywracasz kamienie i burzysz własne ołtarze, odbuduj dusze nasze w uzdrowionej glinie ciał naszych.

Zaszło słońce i ołtarz kamienny zaczyna mrozić mi palce. Szybko przemierzam polanę olimpijską ku wyjściu. Kamienie, zapadające w igliwie, ciemnieją pod sosnami, jakby na wiejskim cmentarzu, tylko że u nas szmer liści kołysze umarłych. Wzdrygam się — na tem cmentarzysku słyszałem pęd życia największego, życia silnych i chcących. Ale krajobraz tego

nie mówi — jest tak sielski i tak czarowny, że chciałoby się tutaj przyjechać w młodszych latach, na majówkę, i leżąc pod drzewem czekać dzwonu na Anioł Pański. Dzisiaj nie nęcą mnie cienie drzew zielonych — tam za nimi pędziły rydwany — ku mecie. Wodze rzemienne rzną mi dłonie, proch oczy wygryza, i wszystko wstecz ucieka w szalonej gonitwie — ku mecie.

Ciemnej nocy bezgwiazdnej Agamemnon przybił do Nauplion. Przed tysiącem lat przodkowie jego z wysp wpłynęli w tę samą zatokę, patrząc prosto na zachód, w wąskie siodło między dwiema górami. Przez nie, przed niem i za niem stała otworem droga na całą Helladę i ten mały porcik był kluczem morskim całego kraju. Pewno kupcy wschodni poprzedzili ich i przewieźli na osłach pierwsze towary na Peloponez przez tę małą uliczkę, którą później przeszło tyle hufców spartańskich, ateńskich, tebańskich, którzy szli Leonidas, Temistokles, Epaminondas. Dziś jest tam mała budka i człowiek siedzący w niej, niewiadomo poco. Zarysy dawnych murów i bramy na Mantinę szarzeją w prochu gościńca. Tędy właśnie szła historia, pokój, wojna, podbój z żołą i zarazą. Trudno wprost przychodzi wczuć się w niezwykłość tego miejsca o tak pospolitym wyglądzie.

Agamemnon patrzył w tę samą stronę. Oto wszystko, co było pięknego na ziemi jego, spoczęło pod całunem nocy. Mała wysepka naprzeciw portu była podobna do wydry czyhającej na rybę. Mur skalisty, który w Nauplionie zakrywa koniec Argolidy i Attykę, niby przegroda łoży, ucząca widza, na co patrzeć tu w tej lustrzanej zatoce, zdawał się zasuwac ścianę pułapki i oddzielać go od dali wschodu, gdzie śmierci tyle napatrzył się ze sławą w oczy. Na szczycie Larissy, nad Argos, płonęło światło, i takież, bliżej a niżej, płonęło w Tirynsie. To namiestnicy Agamemnona, osadzeni w twierdzach zdobycznych, mówili sobie, że pan wraca, i strażę pewno stanęły pod bronią.

Myken nie było widać, bo skryte za pagórem skalnym leżały na północ, w kącie gór wysokich. Nie były piękne, te jego Mykeny, lecz z nich wyszedł ród na zabór macierzy argejskiej i murów cyklopich Tirynsu. Tam, nad bramą wjazdową, stały godła dynastji, a tuż za nimi spali w złotych maskach i złotem zarzuceni, utwierdziciele potęgi. Korowód zmarłych już musiał wyjść za bramę na wzgórze pod murem, a nawet zaczął wyciągać się sznurem przy drodze Cyklopów. Dynastja nie mogła powrócić na dawną strażnicę gościńców, na szyję klepsydry, w której życie ludów przeciekało z jednej równiny na drugą, jak przyptyw i odpływ. Był to nakaz nieodparty, postawić nogę na tchawicy obu płuc Peloponezu — i było też tu pięknie patrzeć z wysoka na mrówki ludzkie,

wplatające migotliwy rysunek swych ruchów w pysznie zielone kobierce równin.

Ale skały mykeńskie wychowały ludzi twardszych. Małe to państwo nie miało zrazu własnych pastwisk. Było koniecznym wybić sobie drogę ku morzu na Tiryns i równocześnie okrążyć Argos, by przeciąć mu tętnicę wschodnią, zabrać gościniec na morze. Mijały czasy, kiedy Tiryns miała ludzi tak groźnych jak swoje mury. Wzniosły je ręce niewolnych, wziętych na wyspach i za morzami. Niegdyś Tiryns drżała przed Argos, bo władcy jej siedzieli na zadzie pagórka mało obronnym. Ich strzały kamienne wyczerpały się i siekiery krzemienne stępiały, wyszczerbione. Król argejski wysłał tam swoich krewniaków, bo mu obrzydło oczekiwanie w rodzinie, aż tron kamienny będzie do rozdania. Nowi osiedleńcy przenieśli się na szczyt pagórka i wzniesli twierdzę, jakiej Hellada nie widziała przedtem ani potem.

Była niezdojta, dopóki ród sam sobie wystarczał. Ale zaczęły budzić się rzemiosła, mnożył się lud cieśli okrętowych, przywabionych bliskością morza. I miasto wyszło za straszne, ale ciasne mury, na nieobwarowanej równinie rozmnożyło swoje komórki gliniane wokół cytadeli. I był to początek końca. Lud Myken, schowany cały w murach swoich i wychowany orężnie do staczania kamieni i rzucania dziryków, przyszedł i zagarnął pastwiska, siadł na przedmieściach. Załoga Tirynsu stanęła w sieniach o spiczastych sklepieniach, ale nie byli to ludzie pewni, bo rodziny ich żyły tam w dole i teraz los ich zawisł od łaski najeźdźców. Oszczepy nieruchomiały im w dłoniach, gdyż przyszłoby godzić we własne ogniska domowe, we własny dobytek i w ciała najdroższych. I tak ród mykeński posiadał stopniowo całą Argolidę i wiele wysp, dotarł do wnętrza Peloponezu, gdzie brat królewski dzierżył władztwo, rozległe wprawdzie, ale trzymane w zatrasku przez posiadaczy przesmyków.

Teraz Agamemnon, po świetnym zwycięstwie na czele książąt całej Hellady, pędził, zatulony w płaszcz, na rydwanie, drogą wiodącą przez Tiryns, potem polami, daleko po lewej ręce zostawiając Argos. Trzecie światło zamajaczyło w górze. To kapłanki argejskie z wyżyny Herajonu kołysały głowami. Wóz skakał po drodze skalistej rowami, wyżłobionymi przez koła od lat przeszło tysiąca, wymijał wyrwy i koryta rzeczek górskich. Agamemnon promieniał dumą. Przed lat dziesiątkiem na tej terasie książęta całej Hellady przysięgali mu, że pod wodzą jego wyruszą pod Troję, by pomścić cześć słabego brata. Nie wszyscy wiedzieli, że szło nie o Helenę, lecz o rządy nad Helladą, bo któż śmiałby odmówić zwycięzcy, co przyznał znieważonemu? Aż wkońcu Agamemnon wracał pod lwią bramę, wiele ważąc w piersi.

Lecz kapłanki argejskie, w zмовie z Klytajmestrą, my-

ślały inaczej. W ich piersiach wrzał gniew za uciemienie Argosu, siedziby patronki ich, Hery. Przyszły słuchy, że Agamemnon wiezie obcą wróżbiarkę, i one, których imiona miały znaczyć czas w Helladzie od tak dawna, jak Olympjady Zeusowe, złączyły gniewy kobiece z gniewem władczyni przeciw zdrajcy rodziny, uciemięzycielowi imienia argejskiego, przeciw obcej kapłance. Z skalistej terasy Herajonu, skąd księżta przed laty dziesięciu oglądali całe władztwo Agamemnona z wszystkimi zamkami, być może, dobranej dla popisu władzą, dla ukazania dostojnego zebrania wszystkim swym miastom, dla pogodzenia przed wojną uraz cząstkowych — teraz świątobliwe niewiasty cieszyły się na widok ognia, jaki błysnął na północ, w kącie skalnym. To strażnik mykeński odpowiadał znakiem ognistym na znak ich, i w pół godziny potem z zakrętu drogi cyklopiej nadleciał tętent wozów.

Słowacki i Rydel, nadto różni nasi profesorowie, jeden z nich, jak zapisał w księdze hotelowej, w poszukiwaniu prawidłowej drogi życia, zstąpili w grób Agamemnona. Wydaje mi się, że uczeni niesłusznie odmawiają mu tego miana. Jestto ostatni najświetniejszy grobowiec; dalsze, nieliczne, znaczą powolne podupadanie władztwa. Jakkolwiekby było, małe rude orły, nadlatujące od szczytu Zary i dwie lwice kamienne zachowują zwaliskom znamię królewskość, gdyby je nawet odrzec z legendy wielkiego nazwiska. Złoto mykeńskie, po tysiącleciach tymborychów (okradaczy grobów), znalazło się na szyi pani Schliemannowej — dziś świeci w witrynach muzeum ateńskiego i uczy szacunku dla Homera.

Lwice mykeńskie jeszcze mniej miały szczęścia — u fotografów. W rzeczywistości są to gładkie, o pysznych linjach, siedzące, jak relief attycki, w kamieniu zwierzęta. Cokolwiek ktoś powie o ich nogach, o sile nie tyle anatomicznej, ile dynastycznej, nie umniejszy to żalu za głowami. Nie sposób nie zauważyć także, że nawet niebo helleńskie nie jest dostateczną dla takich skarbów witryną. Dziwna rzecz, że po przeciwnej stronie tych samych gór chadzał inny zwierz królewski, lew nemejski. Jeżeli podanie o nim jest ajtjologiczne, wywołane kształtem niby lwim na skale (podobno wycutym, nie naturalnym), musieli tedy prostaczkowie coś o nich słychiwać. W tych dzikich górach mieszkali ludzie tak drapieżni, że nie dziw, jeżeli prócz orłów szukano innych zwierząt drapieżnych. To pewna, że lew dynastyczny nie wychował się w tych górach i że zbrodnie mykeńskie przypominają inne arysteje życia wysoko ponad poziom morza.

Któż może wiedzieć, czy Klytajmestrze nie opowiadano w dzieciństwie o mściwym podstępie Dejaniry, innej takiej Oready? Póki tylko bogowie mieszkali na górze, bywały i wiarołomstwa i kaźnie uwodzicieli, ale straszne pasmo zbrodni zostało po raz pierwszy zadzierżgane ręką śmiertelniczką.

Za dużo kobiety w tem wszystkim, za wiele zbrodni, za wiele grobów i złota w nich! Kamienie te mogłyby raczej coś królowi powiedzieć. My odchodzimy od bramy lwic, nastroszeni fantastycznie, zdolni do wiary więcej niż homeryckiej, dumni z pałaców, w których chyba po helleńsku gadano, i pamiętający, że słowo pisane przychodzi ze wszystkich darów na ostatku, po złocie, po głazach cyklopich, po megaronach, po rzadkiej piękności płaskorzeźbach i inkrustacjach.

Za cenę tej wiedzy możemy odsprzedać romantyzm ojców naszych. Uczeni romantyczni nie chcieli wierzyć w Helladę podobną do Francji przedrewolucyjnej, tylko dlatego, że ta Francja wtedy przejadła się. My, którym przejadło się przeciwieństwo, wierzymy w Helladę rapsodów nadwornych, życząc literaturze nam współczesnej, by nie było potrzeba zbrodni dynastycznych dla ożywienia krwi w jej żyłach. Homer kosztował Helladę całą ciemnię wieków XI — IX, trzy stulecia nikczemności i nędzy. Dziś produkcja literacka jest niewiele tańsza. Pisarze w. XIX żyli z Rewolucji, nam zdaje się nie wystarczać wojna światowa. O literaturo, nie jesteś zabawką!

Na gruzach Myken należy się także pokłon tragicom ateoskim: zozydźli dostatecznie tę kupę wapienia. Chyba mimowoli, dwaj pierwsi przynajmniej, wychowywali lud ateński na przekonanych demokratów: być królem, znaczy odbierać sen bogom. Okropna opieka despotów niewidzialnych nad despotami małych powiatów tej ziemi uczyła cenić urządzenie państwa, w którym najwyższy dozór pochodzi tylko od policji. Mykeńczycy wieku V, w ślad za Argejami, okazali upodobania demokratyczne; ruiny zamku, upiorniejszego od wszystkich zamków z powieści w zeszytach, zostawili swemu losowi. Ja, który widziałem z przyjemnością i wiele razy Louvre i Wersal, ocalone z Rewolucji, muszę zostawić słusność Mykeńczykom: zamkom królewskim, zamkom wielkich moczary-gnębicieli, jest przystojniej leżeć w gruzach, kiedy niema króla, niż służyć za muzea i tym podobne miejsca na zbiegowisko stanów i narodów. Nie miałem powodu na gruzach Myken czuć się monarchistą, chociaż cieszyłem się, że w braku czegoś lepszego Hellada II tysiąclecia przed Chr. miała królów, a ci mieli zamiłowania, co nam, demokratom, pozwalają poczuć się ludźmi historycznymi, nie bywszy hajdukiem na dworze pana wojewody.

Zresztą, schodząc z pagórka, cieszyłem się, dla tragedji ze śmierci Agamemnona, a dla Homera cieszyłem się z jego narodzin — porządek uciech jest niechronologiczny, ale naturalny w miejscu, które w wrazeniu odpycha, w rozważaniu przyciąga. Dzięki wam kamienie za Homera i za tragedję, za świadectwo prawdzie: dzięki wam, że jesteście pierwszą literaturą wysokiego stylu w Europie! Zbrodnie wasze nie

są gorsze od biblijnych, a wiek wasz ocala dumę naszą, Europejczyków, w tych ciężkich czasach zwycięstwa sztuki kanibalów i murzynów! Nie na Krecie, bo ta geograficznie należy do Azji i Afryki, ale w łęku zatoki argolidzkiej, my, niewątpliwi Europejczycy, wyciągnęliśmy zaraz w kolebce ręce po piękno i władzę. Lud, wyszły z takich budowniczych i z takich artystów, nie mógł zakończyć historii w murach mykeńskich. Mocarz wysiłku i apostoł karnej (w znaczeniu przechodniem) cywilizacji, Herakles, miał wyjść na świat z sąsiedniego Tirynsu.

Takie wspomnienia, jakie nasuwają się na zwaliskach najstarszych miast Europy, pobudzają do odporu przeciw koinizowaniu naszych umysłów filozofjami upadku i zgnilizny. My, Heraklidzi, brońmy spadku Hellady w naszych krajach północnych przeciw znieprawieniu ciemnych doradców. Polakowi muszą przypomnieć się tam dwa utwory: *Grób Agamemnona* i *Oda do Młodości*. Pragnę zostawić słowo obu poetom-humanistom: niech mocniejszym głosem dośpiewają tej wymowy ruin.

Tuzin oblężeń, pełnych powodzenia dla przeciwnika, jakie w ciągu trzech tysięcy lat nawiedziły Korynt, odbiera mi chęć do mówienia o tem mieście. Jedna Pejrene (Nymfeum z czasów Periandra, pierwowzór Kalliroi ateńskiej), schowana w rogu agory, nagradza trudy wędrowki pieszej z Neokoryntu. Oczywiście nie uwłaczam pięknu zachowanej, w fundamentach i 7 kolumnach z narożnikiem, świątyni Apollona, wszelako nie należy to wszystko do tego rozdziału, gdzie pytam zwaliska o ich stafaż przyrodzony. Owóż jest najpiękniejsza rzecz przyrodzona na ziemi korynckiej: to glinka jej kremowa, nienajmniejsza ozdoba waz korynckich, tak poszukiwanych w Rzymie za schyłku Rzeczypospolitej, że dziś z trudnością można w Koryncie znaleźć skorupkę naczynia starożytnego, a nie sposób odnaleźć grobu, nieograbionego z waz. Muzea włoskie ocaliły nieco z tych cacek. Korynt wszystkie rzeźby swoje i wszystkie wazy swoje musiał wydać zwycięzcy. Tak rzymską była robota zniszczenia, że po tylu wiekach kamienie mówią o niej — milczeniem.

Glinka koryncka budzi w filologu, o ile nie jest zbyt ponury, myśl o innym produkcie korynckim. Nie myślę oczywiście o rodzynkach, bo produkt ten wsławił się dopiero w czasach nowszych, kiedy twarze dziewcząt korynckich stały się śniade, a oczy okrągłe jak kasztany. Lecz jeszcze w czasach, kiedy rzymskie marmury barwne malowały miasto, zmartwychwstałe, by mówić po łacinie w swych napisach, kiedy św. Paweł grzmiał w synagodze przeciw wyuzdaniu Koryntjan, jeszcze wtedy, gdy wazy korynckie znachodziły

się już w grobach, jeszcze wtedy twarze dziewcząt korynckich były tak czarowne, jak glinka waz korynckich.

Pochwaliłem przyrodę mniej groźną, pozostaje mi powiedzieć o mniej dostępnej. Nie chwalebę się, że byłem na Akrokoryncie, i nie napisałem stamtąd żadnej kartki. Chciałbym doczekać epoki, kiedy sam Cook Optimus Maximus założy kolejki zębate na akropole helleńskie (szkoda, że cudzoziemcy przepadają tylko za górami z płomienia), albo kiedy nasze ministerstwo zechce dawać profesorom niekamienicznym zasiłki na podróż, by mogli pod Akrokorynt zajechać dryndulką — tak jak jest na razie, zadowolilem się kontemplacją zdaleka i o wymowę ruin wołałem z padołów.

Jeżeli jest gdzie na świecie, czy nad światem, wielki tron, na 600 m wzniesiony nad nasze głowy, więcej niż cyklopowy fotel o dwu poręczach z teatrem skał za oparcie, jeżeli jest zgodne z wiarą, by Bóg mógł wybrać sobie taki tron, uczyniony z turni spiętych do progu niebios, aby usiadł w szóstym dniu stworzenia, dla odpoczynku i oglądania dzieła swego, tedy tron taki nie znajduje się koło Eufratu, ale w samym środku Koryntu; jestto Akrokorynt, jedyna góra, która może usposobić do nabożeństwa. Jest jeszcze w Helladzie Olymp, jest na Krecie Ida, w płaszczu skał na barkach, jak Parnas; jest Synai w Azji — są to nietylko góry, ale i imiona czcigodne. Nie wiem, czy Akrokorynt zasłużył sobie na czyjąkolwiek pochwałę: to pewna, że góra ta była ozdobą dla miasta, rozłożonego później u stóp jej. Poza pięknem swem, w którym majestat miesza się z kosmiczną teatralnością, góra ta nie ma żadnej innej wymowy. Ale zachwył, wedle wielu filozofów, starych i nowych, jest początkiem wszelkiej mądrości.

Chciałbym, by z tej katedry Demiurg Hellady uczył nas mądrości życia, trzymając w jednej dłoni szalę przeznaczeń, a w drugiej żywą wazę koryncką. Wolałbym, by płocze dziewczę korynckie niemniej na niej zaważyło, jak Dejaniry, Fajdry, Klytajmestry i inne menady czerwonej przeszłości. Ważmy dary życia jakkolwiek, byle nie przeciw mieczowi. Piękna Helena przywozła wojnę w wianie Trojanom, surowość Peryklesa przeciw dowozowi urody megaryjskiej na rynek ateński miała, zdaniem komików, rozpalić wojnę peloponeską. Dziewcząt korynckie nie wznieciły żadnych bojów, były w tem niewinniejsze od Sabinek rzymskich.

Niechże filolog przed wielkim tronem Akrokoryntu prosi Demiurga o dar pięknego widzenia, albowiem ta sama siła, która rodzi grozę, stwarza odpocznienie we wdzięku i trzeba równie pogodnie i równie podniosłe patrzeć na wszystkie cudy przyrodzenia, skoro przyroda wydaje z równą łatwością filologów jak okrasę życia.

I przez chwilę widziałem na tronie Akrokoryntu nie Demiurga, lecz jego stworzenie, i zapaliłem ziarno dziękczynne Astarcie. Zachód słońca różowił brzegi alabastrowe jej ciała. Mlecz nieprzeżroczyta wylewała się na kręgi jej piersi a cień ametystowy stępował ku biodrom. *Pieśń nad Pieśniami* wyrwała się z piersi moich. Oto zwyciężyłaś, Hellado, i tą nauką tajemnic Twoich! Wynijdz z pian, Afrodyto, córo mórz błękitnych, ty co wołasz do ręki gołębie skalne w Erycynie, co w wieńcu fiołków na skroniach chadzasz po błoniach Cytery, Ty której wszystkie imiona wyśpiewał Catullus, mieszkanko świętego Idaljon i portów Uryjskich; twoje ołtarze dymią w Ankonie, na Knidos trzciniastej, w Gulgach i w Dyrachium, gospodzie Adrji; *evoe Amathusia Venus*, wszystkich uwielbień godna Miłości! Daj nam wiedzę z pożądaniem, daj żądzę owocu z drzewa poznania! Biodra twoje niechaj będą jako wielka katedra mądrości przez zachwyconie! Niech klęcząc u twych kolan czytam księgę żywota! Niechaj będzie każdemu droga do Koryntu.

Słowo, które ma zostać w pamięci, winno być ostatnie. Jakoż Cię pomnę, Italjo? Na brzegu Sirmionu, rozłożonego rakieta na szybie jeziora Garda; letnim wieczorem na długim moście Kolonji Katuliowej, w Mantui, kiedy poprzez opary zalewu Mincio przezierają światła chałupek stamtąd, gdzie stał ongi folwarczek Wergilego; z terasy północnej na wzgórzu Peruzji, wyniesionem między doliny tokańskie i umbryjskie zarazem, na podziw wędrowca, bezradnego w ogromnym bazarze uroków przyrody, kiedy szukałem w oddali góry rodzinnej Propercjusza, a podemną otwierało się piękniejsze od nieba w górze niebo pół, wybłękitnione zstępującym do samej ziemi eterem, podobnym do kurtyny z muszlinu, co dzieli oko widza od tajemnic piękna; z wzgórza Fiesole, kiedy wzrok zmęczony mozaiką Florencji, wybiegał w krainę winnic i rżysk srebrnawych, założoną jak ekran dokoła zniżającej się lampy słońca, śnać aby oko nie wzięło więcej uroków, niż może śmiertelna siatkówka; z balkonu skalnego Capri, kiedy zawieszony na krańcu wyspy, wymierzonym w zatokę Neapolitańską, z terasy pałacu Tiberjusza widziałem łuk wyspy wygięty w teatr, z miastem rozrzuconem na widowni, i drugą taką skałę z przeciwnego ramienia, opasaną drogą okolną na samej krawędzi nad morzem i z klatką schodów fenickich w skale, na kilkaset metrów wysoko, i gdy oglądałem wyspę oprawioną w prawdziwe szmaragdy wód neapolitańskich od trzech stron odrazu; kiedy w Vico Equense i w Sorrento zazdrościłem skałom, że stoją wiecznie w morzu, gdy ja wkońcu musiałem oderwać oko od błękitno-fioletowych przeżroczy; kiedy siedząc w eksedrze w aleji grobów za bramą

herkulaneńską w Pompei, toczyłem żrenicę na trzech toporach Wezuwjusza i przypomiąłem sobie kaptury Soracte, gdy pociąg pędził przez Kampanję do Rzymu, a kopuła Piotrowa była drugim słońcem na oceanie traw spiekłych; kiedy z dachu mieszkania kapłanki Pompejańskiej wkowałem się okiem w okwiecone stoki Monte Sommo i w sierp zatoki Castella-mare; kiedy ze zwalisk will rzymskich w Pausylipon, w Bajach, w Puteoli i dawniej na cynobrowem stoczku przedmieścia Kartaginy rzymskiej dziwiłem się, jaka różdżka znachowska wiodła magnatów i literatów rzymskich w te ustronia, gdzie jest morze i gdzie są gaje, gdzie rozgwar fali głuchnie w ciszy wybrzeży piaszczystych, gdzie wszystkie żywioły biorą ślub mistyczny i urok wielkości stapia się z upojeniem chwili w czas trwania wieczystego rzeczy pięknych; wtedy, Italjo, czytałem komentarz przyrody na rąbku tekstów twoich. Wielka rodzicielka plonów, wielka mężów, ziemia saturnijska, przestała wnet mieścić zachwyty, i duch schyłku rzymskiego wyszedł na Forum, większe od Forum Romanum, choć i tamto podówczas już było *totius orbis*, na Forum obwiedzione czerwonym, złotym, lazurowym, całotęczowym brzegiem *Maris Nostri*.

Idąc drożyną polną, czy pnać się po skałach, krzyżując zwiry strumieni wyschłych, odpoczywając pod ikonostasem przydrożnym, sam w wielkiej przestrzeni bezludnej, człowiek stara się wmyśleć w tę ziemię obcą i szuka klucza zagadki jej wielkości. Pyta ziemię, skały, niebo, drzewa i wody o rodowód sławy. I wszystko to jest piękne lub, w swojej porze, znośne, ale nic w przyrodzie helleńskiej nie zdoła wytłumaczyć, co złożyło się na wielkość tej krainy.

Różni uczeni usiłowali z różnych właściwości klimatu i ziemi wyciągnąć różne znamiona umysłowości helleńskiej. Tu i ówdzie może być w tem nieco prawdy, zresztą wnioski takie bywają kuszące. Wnioski podróżnicze tylko wtedy mają znaczenie poważne, jeżeli podróżnik zwiedził wiele krajów, położonych w różnych szerokościach geograficznych. Inaczej wszystko, co znajdzie w Helladzie, będzie uważał za helleńskie.

Niesłusznie. Krajobraz helleński nie odbija tak od krajobrazu italskiego, jak umysłowość helleńska odcina się od rzymskiej. Z literatury helleńskiej nikt nie domyśliłby się właściwości klimatu Hellady. Prawie żadna przykra strona życia fizycznego pod niebem helleńskim nie przedostała się do piśmiennictwa.

Helleni starożytni widzieli kraj swój wiele piękniejszym, niż my go widzimy dzisiaj, my którzy go kochamy. Nie rozumiemy już tych nazw: dlaczego Phaidriades, dlaczego Kallichoros, Kallidromos? Słupiejemy, ile cudownych baśni bije z lada utworu w skale (Eleusis!), wyrasta nad każdym niepo-

zornem źródłem, na brzegach każdej „wiecznie płynącej“ rzeki „o przeźroczystych strugach“. W rzeczywistości, ogromna większość wód helleńskich płynie zaledwie kilka dni do roku, a fale największych i najstawniejszych są mętne i nie nęca nawet bydła. Trzeba iść w góry, by napotkać strugę przejrzystą. Ze stel nagrobnych wnioskowałbyś, że w Helladzie umierali tylko młodzi i urodziwi ludzie. A proszę, co Helleni uczynili z pokrzywy, rośliny najczęściej spotykanej do dziś dnia w Helladzie i brzydszej od naszych bodziaków? Wyrzeźbili ją w głowicę kolumny korynckiej! Kto widział w Olympji takie głowice z prostego porosu czy wapienia, przyzna, że wielkość Hellenów leży w uważaniu τέχνης za dalszy ciąg φύσεως, tak jak dziś Amerykanie, Anglicy i Francuzi nie wahają się poprawiać sztucznie natury.

Jest pewien w rasie helleńskiej optymizm, który widział życie w barwach i nie wzdragał się upiększać go sztuką. Ze sztuki i literatury pada refleks na przyrodę helleńską, nie odwrotnie. Sama przyroda uczyła odstępu między oglądaniem a doświadczeniem. Jej piękno malarskie było dla artystów, nie dla wycieczkowiczów. Zbliżenie do przyrody w Helladzie kosztuje tyle, ile krok od sztuki ku życiu. Czyste oglądanie za cenę wyrzeczeń się zbytniej poufałości i chęci wyzysku oszczędza zawodów, rozczarowań, rozgoryczeń. I trzeba poznać, jak życie w tej pięknej Helladzie było i jest praktycznie ciężkie, by odczuć, że ten optymizm był życiowo konieczny.

Cieszymy się, ilekroć możemy oglądać ziemię helleńską i italską, ale nie zapominajmy, że cała tajemnica przyrody leży w człowieku. Hellen uczynił Helladę piękną, dał jej nie tylko świątynie, ale otoczył ją blaskiem, wychodzącym z jego spojrzenia. Idąc w ślad za spojrzeniem pięknych i wielkich, widzimy wszystko, słusznie i prawdziwie, pięknem i wielkiem. I to jest w porządku, skoro oko jest tylko pośrednikiem między nami a przedmiotem, a νόσος ὄρα i nie sama optyka rządzi patrzeniem. Tak, człowiek jest wszystkim, powtarzam sobie, schodząc w Propyleje, a piśmiennictwo jest najbardziej bezpośrednio ze sztuk, bardziej niż nawet muzyka, gdzie technika ma silniejsze prawa niż w literaturze. Człowiek jest wszystkim, a słowo jest czemś jeszcze więcej. Kiedy pojedziesz w kraje klasyczne, nauczysz się, kochany filologu, niejednego, ale nie przestaniesz być tem, czem powinieneś być od początku: wielbicielem słowa pisanego. I to ci odjazd z Hellady uczyni mniej bolesnym.

HOMEROWY HYMN DO POSEIDONA

Poseidona się ninie pochwałą zaniosę,
 co wiecznie żywej wody rząd otrzymał losem,
 co pienne w obłoki podnosi bałwany
 i ziemią trzęsie czarną, kiedy zagniewany.
 W Ajgach sobie złocistych króluje pod falą,
 a lądy mu ofiarę po ofierze pałą.
 Dwoiście błogodarzy i dwoisty bierze
 dank od ludzi: za konia, pięknogrzywe zwierzę,
 i za opiekę, której nie skąpi okrętom.
 Wychwalajmy potęgę Poseidona świętą
 i serce mu pieśniami pójmy, jako miodem,
 by sprzyjał i wygładzał żeglarzowi wodę!

NAWRÓCONY (HORACY II 16)

Spalisz albo utopisz w szumnym Adrjatyku
 me jamby, co ci złego nie szczędzą przytyku,
 i ucichnę, jak ptaszek na noc cichnie burą,
 o piękniejsza od pięknej rodzicielki córo!

Ani tak oszołomi płodziwa Kybela,
 ni Apollon, gdy losów pityjskich udziela,
 ani tak złotem winem Bakchus otumani,
 ani bębniem frygijscy ogłuszają kapłani,

jako ten gniew przeklęty, którego ni miecze
 nie wypłoszą, ni stal go norycka usiecie,
 który morzu srogiemu bluźni i pożarom,
 którego Jowisz gromu nie zatrwoży gwarą.

Cisnął, cisnął Prometej do cudownej gliny
 z najsroźszej wykrojone kawalce zwierzyny
 i załęgła się w sercu człowieczem nieluta
 lwa wściekłego zawziętość i niedźwiedzi buta.

Zmógł ci gniew Pelopidów, gniew potężne grody
 obala, gdy się zerwą ze sobą narody,
 gniew żołnierzowi w rękę pług stalowy wciska,
 by orał i wytracał nawet rozwaliska.

Lecz już mi gniewna nie bądź! Skusił mię, bo skusił
 niebaczny szal i żądłem doskwierać przymusił.
 Lecz oto już przejrzałem i, stęsknione ptaszę,
 do serca twego pukam i pieśnią się łaszę.

BIBLIOGRAFIA

Séchan Louis, *Études sur la tragédie grecque dans ses rapports avec la céramique*, Paris 1926, H. Champion. Grand 8^o, VIII+642 p. Avec 9 planches et 161 figures dans le texte. — Opracowany przez autora temat należy bezwątpienia do najbardziej pociągających w całej dziedzinie filologii klasycznej: dotyczy bowiem kooperacji, że tak powiem, tragedji attyckiej z malarstwem w ilustracji mitologii greckiej. To też filologowie chętnie poświęcili swoje siły szczegółowym badaniom w tym kierunku; brakowało jednak dotychczas dzieła ogólnego, któreby objęło całość zagadnienia. Teraz ta luka jest zapelniona; odtąd już żaden filolog, pracujący nad tragedją grecką, nie będzie mógł obejść się bez dokładnej i sumiennej rozprawy S.-a. Aby dać o niej pojęcie, wezmę poszczególny wypadek. W *Fenicjankach* Euripidesa opowiedziana jest tragedia synów Oidipusa, z których jeden, Polyneikes, pokrzywdzony przez brata swego Eteoklesa, prowadzi zastępy Argiwów przeciwko swej tebańskiej ojczyźnie i ginie razem z bratem w fatalnym pojedynku. Ich zguba powoduje samobójstwo ich matki Iokasty; w końcu tragedji stary i ślepy Oidipus, jako wygnaniec porzuca Teby. Oto kilka scen z tej tragedji: pojedynek obu braci — próba ich uratowania przez Iokastę — samobójstwo Iokasty przy trupach synów — odchód ślepego Oidipusa itd. Ponieważ przy każdej figurze wypisane jest jej imię, nie może być żadnej wątpliwości co do tłumaczenia; również niewątpliwie jest, że nasze czary ilustrują nie wogóle mit o synach Oidipusa, lecz właśnie *Fenicjanki* Euripidesa. Samobójstwo bowiem Iokasty przy trupach synów jest właściwością tej tragedji; według popolitej tradycji (którą znajdujemy m. i. w *Królu Oidipusie* Sofoklesa) Iokasta odbiera sobie życie daleko wcześniej, bezpośrednio po wykryciu jej kazirodczego małżeństwa z Oidipusem. Tu więc wszystko idzie gładko: nie zawsze tak bywa, i kwestją, czy dany obraz ilustruje właściwie taką a taką zachowaną tragedję, czy też tylko jej mit w opracowaniu innego poety — to pytanie wprawia często naszego autora, jako też i jego poprzedników, w niemały kłopot. Klasycznym przykładem jest tu piękna amfora kanozańska (tabl. VIII u autora), wyobrażająca mit o dzieciobójstwie Medei. Wpływ Euripidesa jest niewątpliwy; przecie on pierwszy przypisał bohaterce właściwie dzieciobójstwo, podczas gdy u jego poprzedników ona swą zemstę kieruje przeciw swemu małżonkowi i jego nowej żonie. Z drugiej strony jednak istnieją bardzo poważne różnice między mitopeją Euripidesa i naszej amfory. Tam Medea zabija dwóch synów, tu tylko jednego, drugiego ratuje jakiś młodzieniec. Na amforze, do martwej królowej zbliża się jej brat Hipotes, którego tragedia nietylko nie zna, ale i wyklucza — król po śmierci córki jest bezdzietny. Na amforze, pomijając inne szczegóły, występuje bardzo efektowna figura: widmo Aietesa (ojca bohaterki) — jest napis — którego tragedia nie zna. Pomimo to jednak autor odnosi amforę do tragedji Euripidesa, przypuszczając, że twórca obrazu samodzielnie wprowadził zmiany i dodatki. Od biedy jest to rzeczywiście możliwe; czy jednak nie tracimy gruntu pod nogami, przyznając ilustratorom tak daleko idącą swobodę? Zresztą w razie zachowania tragedji ilustracja ceramiczna nie posiada wielkiego znaczenia; jej prawdziwa wartość występuje dopiero wtenczas, kiedy chodzi o tragedję

zaginioną. Taką jest np. *Alkmena* Euripidesa. Jej szczupłe urywki nie dawały nam pojęcia o akcji: oto jednak przychodzi nam na pomoc krater Pythona w Muzeum Brytyjskiem. Na ołtarzu siedzi Alkmena (jest napis) — jej podniesiona prawa ręka widocznie błaga o ratunek. Przed ołtarzem — stos, podpalany przez Amphitryona i jakiegoś młodzieńca, Antenora. Na górze, w kierunku podniesionej ręki, Alkmaion, Zeus; niebiańskie dziewice — widocznie Chmury — leją z dzbanów wodę na stos; dwa pioruny, leżące tuż przy stosie, świadczą o tem, że deszczowi towarzyszyła burza. Teraz możemy rekonstruować akcję tragedji. Oczywiście Amphitryon, posadzając małżonkę o niewierność, chciał ją stracić. Ta siadła jako błagalnica na ołtarzu Zeusa; chcąc ją stąd wystrząść, Amphitryon każe zapalić stos przed samym ołtarzem, ale Zeus burzą i deszczem gasi stos i ratuje swoją oblubienicę. — To też autor w szerokiej mierze uwzględnił obok zachowanych także i zaginione tragedje trzech wielkich tragiczków; szczególnie ciekawe są jego rozprawy o *Tyro* i *Thyestesie II* Sophoklesa (tu on jednak błędnie odnosi do *Oidipusa w Kolonosie* obraz, który w rzeczywistości, jak to udowodniłem w *Mnemosyne* 1922, ilustruje *Alkmaiona w Koryncie* Euripidesa), o *Andromedzie*, *Antygonie*, *Hypsipyli* i *Telephosie* Euripidesa. Miał on wszędzie poprzedników, których zdania roztrząsa dokładnie, trzeźwo i wogóle przekonywująco. Oczytanie jego w tragedji greckiej jest wcale zadowalające; błędy pod tym względem są bardzo rzadkie (jak np. s. 502, gdzie według niego Orestes w *Andromasze* Euripidesa porzuca Phthiję, aby zabić Neoptolemosa w Delfach). — Co do rysunków, to dobre są te, które są podane na oddzielnych tablicach. Z tych, które są umieszczone w samym tekście, najmniej zadowolające są figury na czarnym tle, jak np. na s. 48. Zadowolające wogóle są linjowania na białem tle, a tych jest większość. Nie zawsze są one jednak wyraźne; tak np. na rysunku amfory neapolitańskiej, wyobrażającym scenę z *Iphigenei Taurydzkiej*, czytelnik napróżno będzie szukał miecza w rękach Orestesa, albo klucza w dłoni Iphigenei, o których przecie mowa w tekście. Naturalnie wygórowanym wymaganiom, jakie np. stawia Robert w swojej *Archäologische Hermeneutik* co do wzroku i wyrazu twarzy, te skromne wizerunki zadość uczynić nie mogą. Aby jednak powrócić do *Iphigenei Taurydzkiej*, jej najlepszą ilustracją jest, jak wiadomo, amfora ze zbioru Campana w Ermitażu petersburskim; otóż ta amfora po raz pierwszy została w sposób zadowolający wydana przeze mnie w *Euripidesie* Ammieńskiego (*Featr Ewripida* t. III, Moskwa 1921 u Sabasznikowa, tabl. przy s. 128—129) według rysunku, wykonanego przez moją uczennicę Natalję Enmanówną. Autor podaje ten wizerunek na s. 385, jak to się robi wogóle, według publikacji w *Monumenti dell' Instituto* VI—VII; porównanie z mojem wydaniem przekonałoby jego, że ta publikacja jest nie tylko niezadowolniająca co do formy, ale i zupełnie niedokładna co do treści. Jeszcze muszę dodać, że autor pod słowem ceramiki rozumie nie tylko malowidła waz (choć one stanowią większość), ale także i płaskorzeźby gliniane. W taki sposób rzeczywistości znaczna część inwentarza archeologicznego została przez niego zużytkowana. T. Z.

Aegyptische Urkunden aus den staatlichen Museen zu Berlin: Griechische Urkunden. VII Band: Papyri, Ostraka und Wachstafeln aus Philadelphia in Fayum. Bearbeitet von Paul Viereck und Friedrich Zucker. Mit 5 Lichtdrucktafeln. Berlin 1926. Weidmann 276 s. — Jeszcze nie przebrzmiały echa epokowego odkrycia tzw. archiwum Zenona z Filadelfji (por. mój artykuł w *Kwart. Klas.* I 1927, 233—245) a już ogłoszono nowe dokumenty, które, zgodnie z przypuszczeniem wydawców, są najprawdopodobniej dalszym ciągiem tamtych aktów. To dokumenty, wymienione w nagłówku. Ale tu zaraz na początku jedno zastrzeżenie. Jeżeli powiadam, że dokumenty, ogłoszone przez Vierecka i Zuckera, są dalszym ciągiem tamtych, nie chcę powiedzieć równocześnie, że dokumenty, które omówić zamierzam obecnie, swoją doniosłością dorównują tamtym. Daleko im do tego. Łączy je tylko wspólność pochodzenia i wspólność osób wzmiankowanych. Ale

właściwa wartość tych dokumentów tkwi nie w nich samych. Dopiero w związku, w jakim one występują, występuje ich znaczenie niemałe. Mianowicie przypadają one na czas zakładania na wielką skalę kolonij wojskowych w Fayum za Filadelfa i Euergetesa, na czas pierwszego rozkwitu Filadelfji. Skutkiem tego stoją one w ścisłym związku z papirusami Zenona, które mówią o użyźnianiu i zagospodarowaniu dóbr Apolloniosa. I tu i tam ośrodkiem zarządu dóbr jest Filadelfja; i tu i tam część zagospodarowanych pól leży na obszarze Hefestjady; i tu i tam potwierdzone są jako należące do zarządu dóbr te same różne klasy gruntów jak: γῆ βασιλική, κληρος, γῆ ἐν ἄμμο, παραδειςος. I skorupki stwierdzają istnienie palestry w Filadelfji, istnienie świątyni Izdy. Ze obok uprawy pszenicy kwitła w Filadelfji uprawa wina, stwierdzają i pap. Zenona i skorupki. I tu i tam jest mowa o numerowaniu pras winnych i beczek; i tu i tam robotnicy otrzymują za pracę bądź pieniądze, bądź pszenicę, bądź wino. Wreszcie styl jednych i drugih dokumentów jest taki sam. I ludzie, którzy występują w pap. Zenona i w naszych ostraka, są ci sami; nie tylko dlatego, że są to w znacznej części Grecy a więc przedewszystkiem kleruchowie, ale dlatego, że są to częstokroć te same osoby. Do tych należą: Kleitorios, Styraks, Horos, Haryotes. — Ale postawmy sprawę ogólniej i zapytajmy: miałaby obok *ὄψεως* ministra Apolloniosa istnieć jeszcze drugi taki majątek, któryby miał swoje pola na tym samym terenie i tyłu ludzi tego samego nazwiska? To nie jest prawdopodobne. Raczej dotyczą nasze skorupki jednego i tego samego majątku. Ale czy należą one do czasów Filadelfa czy Euergetesa? Trzeba stwierdzić, że ani z Zenonem ani z Apolloniosem w nich się nie spotykamy. Apollonios — jak wykazał Rostowcew w książce: *A large Estate* (Addenda i corrigenda do rozdz. III) — stracił swoje lenno wraz z śmiercią Filadelfa. Zenon jednak jest czynny nadal, mianowicie do 9 roku panowania Euergetesa. Co się stało z *ὄψεως* Apolloniosa, nie da się powiedzieć; prawdopodobnie to nadanie królewskie cofnięto i grunt ten istniał nadal w swoim poprzednim charakterze. Za tem przemawiałyby nasze skorupki, o ile one pochodzą z lat 235/4—230/29. Wtedy byłoby zrozumiałem, że obok Kleitoriosa starszego pojawia się młodszy, że gdy w r. 157/6 mówi się o palestrze, iż ją otwarto przedwcześnie (PSI IV 340) — w ostrakon 1546 występuje ona już jako instytucja stała, że w skorupkach już niema aluzji do tego, iż grunt użyźniono dopiero co, raczej mamy już wszędzie stosunki normalne. Tem samem umiejscowienie naszych skorupki w 13—18 r. panowania Filadelfa wydaje się wykluczonym. Wraz ze śmiercią Apolloniosa i Zenon ustąpił widocznie z zarządu dóbr i stąd całkiem naturalne, że ostraka o nich nie wspominają.

Omawiane tu odkrycia są wynikiem odkopywań niemieckich w zimie 1908/9 na terenie Kôm Darb Gerze (starożytnej Filadelfji). Poza większą grupą skorupki z III w. prz. Chr., które budzą największe zainteresowanie, reszta, tj. papirusy i łacińskie tabliczki woskowane, należą częścią do epoki rzymskiej częścią bizantyjskiej. We *Wstępie* zajmują się wydawcy szczególnie przedewszystkiem ruinami Filadelfji (s. 1—13), w szczególności resztkami domów w płn. stronie dzisiejszej drogi do Gerze oraz nekropolą w stronie wschodniej, jako że te miejsca były głównie terenem odkopywań. Odkrytych sprzętów domowych i dzieł sztuki jest niewiele, a do tego bez większej wartości. Tem większe zainteresowanie obudziły skorupki, które wydano pod l. 1500—1562. Te a nadto kilka tekstów literackich znaleziono w najdalszym zakątku pewnej piwnicy. Pismo skorupki wskazuje na w. III prz. Chr. Wymieniają one lata panowania: 13, 15, 16, 17 i 18 albo Filadelfa albo Euergetesa, ale raczej Euergetesa. Mielibyśmy zatem lata: 235/4—230/29. Wydane skorupki informują nas o pracach w obrębie większego gospodarstwa, a więc o uprawie roli, o zasiewie i żniwach, o dochodach i wydatkach, o zakupach i sprzedażach, o nazwiskach i liczbie robotników rolnych oraz rzemieślników, o ich zajęciach i wynagrodzeniu w gotówce i w naturze, o rozdziale i używaniu narzędzi gospodarskich,

o transportach produktów itp. Obszarem, objętym tem gospodarstwem, jest nietylko Filadelfja, ale także i sąsiednia Philoteris i Hephaistias. Punkt jednak centralny gospodarstwa stanowiła Filadelfja. Robotnicy, zajęci w majątku, są często określani wedle swych czynności jakoto: *εκορρευται, τκαφεις, χειροκόποι, ἄμαλεις, καλαμοκόποι, χηνοβοσκοι*: rzemieślnicy: *σικοδόμοι, κεραμεις, ὀλενοστρήφοι, σιτοποις*. Obok dorosłych mężczyzn zatrudnia się przy lekkich robotach chłopców, którzy zbierają korzenie, noszą kosze, kopią, ustawiają sztachety i pale w winnicach. Dla wykonywania swych prac otrzymują robotnicy od zarządu dóbr: siekiery, topory, łopaty i sierpy. Wydawanie i zwrot tego wszystkiego notuje się skrupulatnie. Nierzadko znajdują się meldunki zarządcy dóbr (por. 1501, 1511, 1512, 1522). Dostarczanie wina robotnikom stwierdzają skorupki 1504 i 1537; przeważnie otrzymują po 1 *κεράμιον*, ale za jaki czas, niewiadomo. Z 1537 wynika, że *κεράμιον* przedstawia wartość 500 dr. Niejaki Agathokles, który jest zapewne robotnikiem w dobrach, otrzymuje wedle 1506 dwa *κεράμια* wina, wartości 1000 drachm, które zwraca ratami. Z tego więc wynika, że robotnicy za wino płacili, ale nie od razu, lecz w miarę, jak otrzymywali zarobki. — Z papirusów epoki rzymskiej, przeważnie aktów prawnych, tylko kilka przedstawia większy interes i te mogłyby być przedmiotem osobnych artykułów. Wreszcie tabliczki woskowane, objęte nr. 1690—6, zawierają doniesienia o urodzinach i testamenty żołnierzy. — Jeżeli wiele zagadnień ekonomicznej natury mogło być na podstawie skorupki rozwiązanych tylko z mniejszym lub większym prawdopodobieństwem, przyczyna leży w tem, że omówionych skorupki nie można uważać za jakąś porządnie prowadzoną ksiązkę gospodarską, lecz za bezpretensjonalne notatki, które miały być podstawą dokładnie prowadzonych ksiąg. Tak więc znowu niby w szlachetnym współzawodnictwie papirusy, skorupki i tabliczki woskowane zdradziły światu nowe cenne szczegóły, dotąd z drożnie strżone.

FR. SMÓLKA

v. Wilamowitz-Moellendorff U., Die Heimkehr des Odysseus, Berlin, Weidmann 1927, 205 s. — W. powraca i nawiązuje do swych dociekań z przed lat przeszło 40 (*Homerische Untersuchungen* 1884), rozwijając ostateczny pogląd na podstawie Odyssei, analogiczny do ogłoszonego przed laty 11 o Iljadzie (*Die Ilias und Homer* 1916). Impuls do napisania książki dało studjum E. Schwartz na ten sam temat w r. 1924. Schwartz, posługując się tą samą metodą, dochodzi do innych rezultatów. Natomiast ignoruje autor Dörpfelda, ale w niego chyba godzą niektóre sarkastyczne uwagi, jak: *der Glaube an die Knochen*. Celem dzieła jest rozróżnienie i identyfikacja poszczególnych rąk, jakie pracowały nad Odysseją. Jest bowiem W. przeciwnikiem niemal powszechnie dziś panującego unitaryzmu i przesuwania niezaprzeczoną jednolitość poematów homeryckich ku końcowi, a nie ku początkowi procesu ich powstania. Zachodzi jednakowoż istotna różnica między tym poglądem a wolfianizmem starszego autoramentu. Gdy dawniejsi uczeni układali źródła Iljady i Odyssei niejako na jednej płaszczyźnie, przyjmuje W. pomiędzy powstaniem poszczególnych eposów, których części weszły w skład naszej Iljady i Odyssei znaczne odstępny czasu, a nawet zależność; co więcej: autorowie naszych poematów homeryckich nie byli pierwszymi, którzy z dawniejszych krótszych eposów tworzyli nowe, na większe rozmiary zakrojone epopeje, lecz wyprzedzili ich inni, którzy z tego materiału montowali większe lub mniejsze bloki: słowem — proces pokazywany nam dotychczas, że się tak wyrażę, dwuwymiarowo, widzi W. przestrzennie, w perspektywie. — Referat musi się z natury rzeczy ograniczyć do podania w formie dogmatycznej rezultatów dzieła, w przeciwnym razie gotów się rozróżnić do niedopuszczalnych rozmiarów. Nie mam zresztą ambicji zastąpić nim lektury tej książki, której gruntowne studjum musi sobie każdy filolog uważać za *officium nobile*, chcę tylko zwrócić na nią uwagę. Abstrahując od drobnych wtretów i trzech większych interpolacyj: drugiej Nekyi w ω, polowania na odyńca w τ i tzw. orfickiej interpolacji (λ 563—675), jest Odysseja dziełem jednego

poety, który ją zbudował z przemyślanym planem, korzystając przytem z dawniejszych na ten temat poematów, a nawet dosłownie lub z większymi czy mniejszymi modyfikacjami całe partje z nich do swego utworu przejmując. Tego poetę nazwijmy w braku lepszego określenia redaktorem. Oprócz 1. ε-μ (tak będziemy określali nie tylko księgi, lecz i poematy, z których one mają być wrywkami: niejasności to za sobą nie pociągnie), którejto partji nie analizuje, wylupuje W. z naszej Odyssei części następujących większych poematów: 2. Telemachji, 3. vε, 4. στ, i 5. φχψ i wykazuje, że także wątek wyliczonych pod 2. 3. i 4. sięgał aż do połączenia się bohatera z jego małżonką i zemsty na zalotnikach.

Zacznijmy ich przegląd od vε, któryto poemat już przed naszym redaktorem został złączony z ε-μ. Szew trudno z całą dokładnością wskazać, szukać go należy w okolicy v 187. Ręki redaktora dopatruje się W. w w. v 365, — słowach Ateny v 375—81, które zastąpiły inną dłuższą jej mowę, v 412—28, ξ 174—84 (późniejszymi wtętami są v 192—193 i 306—310; natomiast 190—191, gdzie należy przyjąć lekcję Aristofanesa μν (=γαίαν) ἀδτῷ [tj. Odysseuszowi] i 193—196 są autentyczne) i w kilku innych miejscach, wskazanych już przez Kirchhoffa. Odysseusz dopiero teraz dowiaduje się o stosunkach na Itace, co wyklucza λ. Autor lubuje się w kreśleniu opisów topograficznych, umieszcza akcję w ziemie, charakteryzuje szeroko i rozlewnie osoby działające (Odysseusza, Eumajosa i Atenę); cechuje go pewien realizm: miejsce heroizmu postaci zajęła niemal bukoliczna prostota. Poemat ten urywa się z końcem ξ, ale fragmenty z dalszego jego wątku tkwią w następnych księgach: należą tu o 301—405, ἀναγυρισμός w π (w przeróbce Telemachji) i ἐπ'ἀνοδος Odysseusza do miasta: spotkanie z Melanthiossem i epizod o Argosie w ρ. — Co do σρ W. podtrzymuje i pogłębia wyniki swych *Hom. Unt.* Po wyeliminowaniu przejętej przez redaktora z jakiegoś innego — bardzo późnego — poematu sceny σ 158—303, którą pierwszy zrozumiał Kayser, charakteryzując ją: *Penelope prope ad meretricias artes descendit*, zostają z σ dwie sceny o równoległej budowie: Odysseusz-Iros i Odysseusz-Melantho, zalotników reprezentuje raz Antinoos, drugi raz Eurymachos; obie kulminują w przemówieniu Odysseusza, w obydwu podobnie odzywa się Telemach i interwenjuje Atena. Zpod maski żebraka wyziera prawdziwe oblicze bohatera. τ 1—52 jest urywkiem z poematu φχψ przez redaktora tu przeniesionym, a 393—466 jest wstawką jeszcze późniejszą. τ 476 urywa się nasz poemat tuż przed osiągnięciem punktu kulminacyjnego, ku któremu z wyraźną konsekwencją pnie się akcja — a ten stanowiło poznanie się małżonków. Tylko przez odłamanie tego szczytu możliwe było włączenie φχψ. Poemat ten jest młodszy i zależy zarówno od φχψ, jak od vε, których wzajemny stosunek ustalić trudno. — φχψ zaczyna się właściwie o 390 (takie znaczące zapowiedzi przyszłości znamionują sposób opowiadania tego poety) i sięga do ψ 296, gdzie już według starożytnej tradycji kończyła się Odysseja. Małżonczące interpolacje wyłaczył już Kirchhoff, z większych zasługują na podniesienie χ 205—240, ψ 117—172 i 241—288. Stylizacja tu zupełnie inna niż w vε lub στ. Akcja i charaktery kreślone prostemi, krótkimi rysami, częste porównania, lubowanie się w opisach okrutnych kar, ignorowanie topografji. Odysseusz nie jest przeniesiony. Z tym poematem zostało już przed naszym redaktorem złączone ω (jak vε z ε-μ), które jest dziełem dwu kontynuatorów o sprzecznych intencjach: jeden zamierzał wysłać Odysseusza w dalszą wędrówkę (ψ 247—281 przygotowuje bohater na to swoją małżonkę), drugi zaś przedstawił jego pogodzenie się z rodzinami zalotników i zaprowadził w objęcia starego ojca (o którym w φχψ niema wzmianki). Pierwszy chciał nawiązać jakiś poemat o dalszych przygodach bohatera (na lądzie, może Θεσπερωτίς) zahaczając go już w λ (scena z Teiresiassem), ale górę wziął drugi. Jego dziełem jest ψ 297 — ω koniec i przygotowujące tę partję wstawki w χ 205—240 i ψ 117—172.

Telemachja obejmuje księgi βγδ do w. 620, a więc trzy większe kompleksy. Telemach i zalotnicy, u Nestora i u Menelaosa

a w przerobionej postaci i z dodatkami redaktora czytamy dalszy jej ciąg w scenie δ 621 n. i w księgach σπρ. Już jej autor czerpał z poematów νξ i στ i dlatego trudno nieraz odróżnić jego rękę od ręki redaktora, zwłaszcza w księgach πρ. Analiza nie daje tu więc zupełnie zadowalniających rezultatów. Właściwym Telemachji jest motyw zasadzki zalotników na Telemacha. Niektóre jej sceny przesunął redaktor w inne miejsce: 1. δ 621 n. stało pierwotnie w fudze γδ; 2. sen Telemacha o 1 n. musiał niegdyś mieć miejsce w innym momencie: o 33 otrzymuje Telemach rozkaz ἐκάς νήσων ἔχειν εὐεργέα νῆα, mimo to 299 νήσοισι ἐπιπροέηχε θοήσιν, a jednak szczęśliwie ląduje. Trudność zniknie, gdy przyjmemy, że Telemach miał ten sen w czasie północy w nocy i pod jego wrażeniem zmienił kierunek. Autor Telemachji przerobił — jak wyżej wspomniałem — scenę poznania ojca z synem w π, a w opisie pierwszego spotkania Odysseusza z zalotnikami w ρ zapożycza i przejaskrawia motywy z σ (rzut Antinoosa w ρ, a Eurymacha w σ).

Już przy omawianiu i wyłączeniu z naszej Odyssei fragmentów dawniejszych poematów padły sporadyczne uwagi o sposobie pracy redaktora; teraz trzeba je uzupełnić, by zyskać pełniejszy obraz charakteru jego twórczości i ująć jego intencje. Jest on autorem α i υ (raczej τ 470 — υ 389). Skromny to talent poetycki. Operuje zapożyczonymi motywami, często przejmując dosłownie całe kompleksy, wierszy, nawet całą scenę potrafi skleić, wszystko to jednak nacechowane nieudolnością i epigonizmem. Całe szeregi wierszy trzeba wprost nazwać centonami. Jego celem jest dać ekspozycję całego poematu (α), złączyć Telemachję z Odysseją (zgromadzenia bogów α i ε) i rzucić pomost od στ do φχψ. Temu ostatniemu celowi służy υ, którego charakter poznał już Imm. Bekker w r. 1853. Sposób pracy tego poety niechaj ilustruje kilka następujących próbek. Sen Penelopy przy końcu jest nieudolnym przejaskrawieniem wróżby Heleny o 171 n.; to co Penelopa mówi o swych bezsennych nocach, zacerpnięte jest z υ 87 n. (o tej scenie niżej); na własny rachunek poety trzeba będzie wpisać uczone wywody mitologiczne o córkach Panereosa i teorię o bramach snów; o kontaminacji motywów na początku υ świadczy dwoiste uzasadnienie wzburzenia bohatera: raz zachowaniem się służebnych, drugi raz troską o przyszłość; w wystąpieniu Telemacha 124 n. i naradzie zalotników nad jego zgładzeniem 240 n. czerpie z Telemachji, w opisie zaś ich zachowania się wobec Odysseusa 284 n. — z σ. Natomiast we wstępnej scenie υ malującej nastroj małżonków w ostatnią noc przed odnalezieniem się i w pełnej zgrozy wizji wieszczą 350 nn. należy się dopatrywać urywków z φχψ. Podobna niesamowitość da się wykazać i została wykazana przez Kirnhoffa i W. w α. — Z czasem życia redaktora należy zejść głęboko w VI w.; jeśli się więc jego nazwie autorem Odyssei, trzeba będzie przyjąć, że jako całość jest Odysseja późniejsza od Hezjoda i Archilocha.

Niech mi w końcu będzie wolno wyrazić swój sąd o znaczeniu tej pracy W.-a. Jego czytelnicy i słuchacze nie spodziewali się po nim kompromisu z unitaryzmem, który znalazł znów wymowny wyraz w dziele Dörpfelda, *Homers Odyssee* 1924 (por. recenzję Bednarowskiego i Zielińskiego *Eos* 1925). Pierwotnem, tylko przez późniejszych zniekształconem rusztowaniem akcji jest według Dörpfelda dokładnie przemysłany plan poety rozmieszczający w dziesięciu dniach równolegle i symetrycznie czynności Odysseusza i Telemacha, Ateny, Penelopy i zalotników: harmonja i proporcja jak na tympanonie świątyni. Zaprawdę, taka Odysseja byłaby piękniejsza od naszej, szkoda tylko, że ją stworzył Dörpfeld, a nie Homer. Inaczej filolog. Umie on się wżyć i wczuć w indywidualne właściwości poszczególnych partyj poematu i w ten sposób wyróżnić jednostki ludzkie, od których każda z nich pochodzi. Kto zdołał — za jego przewodnictwem — wykształcić w sobie odczucie czy zrozumienie dla tych różnic, ten będzie musiał odrzucić z góry każdą teorię, której punktem wyjścia i założeniem jest, że wszystko od α do ω nosi zasadniczo jednolity charakter. Dlatego rozwiązanie kwestji homeryckiej leży na linii badań nie Dörpfelda, lecz Wilamowitza. J. B.

KRONIKA

ROK FILOLOGICZNY W POLSCE (1)

Mimo nekrologów ministerjalnych i złowróbnych przepowiedni żyje filologia klasyczna i robi postępy w każdym kierunku — postępy o wiele znaczniejsze, aniżeli którakolwiek inna dziedzina nauki. Nie nasza w tem jednak zasługa: filologia żyłaby w Polsce — gdyby to było możliwe — i bez filologów. Najdobitniej wykazał to ruch w obronie gimnazjum tzw. humanistycznego oraz nauki łaciny, który w całości wyszedł z inicjatywy społeczeństwa, którego najwymowniejsi rzecznicy i nadal są niefilologami, poczawszy od p. ministra Bartla do robotnika śląskiego. Zawstydzić nas może ich zapał, ale też przywrócić nam wiarę w boskość naszego powołania, w doniosłość naszego apostołstwa humanistycznego — bo oni przypomnieli nam, że nam to powierzono opiekę nad owym skarbem, którego pragnie nasz naród.

W ruchu tym — tego wymaga logika — filologowie powinni przodować jako rzeczoznawcy, jako kierownicy. Nie trudno przytem kierować masami, ożywionemi jednym tylko życzeniem: by je prowadzono, by pouczono. Pokażmy więc im świętość, dostojeństwo humanizmu i majestatu klasycznego — dla wielu będzie to objawieniem piękna, sztuki, poezji, objawieniem też boskości człowieka i jego dzieła. Wprawdzie nieliczna jeszcze rzesza filologów jest przygotowana do tego zadania, bo zapomocą gramatyki i dat podręcznikowych tego ognia w sercu zapalić nie można — od ognia tylko zapala się ogień, od światłego dopiero rozumu światłość idzie do drugich. Główną więc troskę kierował Zarząd PTF do przewycięzania największego nieprzyjaciela filologii klasycznej — apatii filologów, i do należytego przysposobienia ich do wykonania ich kapłaństwa: szerokie ma tu pole działania w budzeniu u filologów zainteresowania przez informacje o postępach filologii w Polsce i zagranicą, w pogłębianiu ich wiadomości, polepszaniu metod nauczania. Tworząc Kwartalnik Klasyczny, Zarząd dał nauczycielom filologii przewodnika i pomocnika w trudnej i żmudnej pracy zawodowej.

Myśl założenia takiego czasopisma nurtowała nasze szeregi od czasu wskrzeszenia Polski. Pierwszy przystąpił do jej urzeczywistnienia p. Gustaw Przychocki, profesor w Warszawie, jeszcze w r. 1921, i rozpoczęto nawet druk czasopisma: ale katastrofalna dewaluacja zadała śmiertelny cios tej myśli. Spadek jej objął Przegląd Humanistyczny, wydany przez Książnicę: wydawnictwo i redaktor, p. Wiktor Wąsik, dokonały w sześcioletniej pracy heroicznym wysiłków celem tworzenia żywego i wzorowego organu filologicznego; ale praca ich rozbiła się o obojętności świata humanistycznego, bo po 6 latach liczył ten Przegląd 89 abonentów, w tem 17 bezpłatnych. Słusznie Książnica uważała, że takie czasopismo nie ma racji bytu i zamknęła je. Walczył potem dla myśli utworzenia osobnego organu klasycznego w formie miesięcznika lub dwutygodnika p. Stefan Cybulski, wizytator i profesor w Warszawie: ale brak pieniędzy, brak też redaktora nie pozwalały na

wykonanie pięknego zamiaru. Wobec tego ja sam podjąłem tę myśl w formie nieco zmienionej w ostatnich dniach r. 1926, i po uznaniu jej przez p. Przychockiego przedłożyłem swój plan Zarządowi dn. 3 stycznia 1927 r., dn. 8 stycznia rozesłałem 350 zaproszeń do współpracowników, dn. 20 stycznia rozpocząłem druk zeszytu pierwszego. Tak powstał obok *Eos*, znacznie rozszerzonego, nowy organ filologiczny.

Powstał zupełnie z dobrej woli i z wiary w nasze apostołstwo. Pieniądze dali idealisci: pierwszy największy idealista wśród wydawców, p. dr. Jakubowski, potem z mniejszymi kwotami zapisały się w naszej wdzięczności *Krakowska Spółka Wydawnicza* i *Ossolineum*. Za pośrednictwem naszego Koła Śląskiego, współzawodniczącego w ofiarności i w karności z Kołem Lwowskim, ofiarował Sejm Śląski 900 zł. Natomiast nie dopisała — a to z ważnych przyczyn — *Książnica*, na której obietnicy polegał właściwie cały plan wydawnictwa: z trudem tylko udało się nam przeprowadzić nasz plan, zagrożony tym poważnym i nieprzewidzianym zawodem. Subwencje te, mimo że znaczne, nie pokryły kosztów wydawnictwa (każdy zeszyt kosztował nas prawie 2500 zł.): tu prenumerata, anonsy, odbitki wypełniły luki budżetu i konieczną rezerwę, umożliwiającą dokonczenie rocznika, dał Zarząd PTF. Wydrukowano czasopismo w 2000 egzemplarzach, prócz tego prospekty i odbitki z każdego zeszytu (I Zieliński 2000 egz., II Baldwin 3000 egz., III Coolidge 5000 egz., Śmiałek 3500 egz., IV France 1600, inne w mniejszym nakładzie) w celach propagandowych: cały ciężar tej pracy administracyjnej leżał na barkach p. prof. Goliasa — ciężar ogromny, jeśli się zważy, że miał do czynienia z przeszło 2000 adresów.

Jak społeczeństwo odpowiedziało na nasze przedsięwzięcie? W Polsce specjalnie liczne mamy inicjatywy wydawnictw, kończące się na drugim zeszycie lub na pierwszym roczniku: stąd wielka nieufność do nowych czasopism. Gorsza jednak od tej nieufności jest obojętność. Z jednym i drugim wrogiem mamy także my do waleczenia. Mimo to jednak potrafił Kwartalnik zainteresować szersze koła zaraz od pierwszego zeszytu. Mówiły o nim *Głos Polski* (Łódź 27 kwietnia), *Czas* (Kraków, 17 marca i 22 czerwca), *Dziennik Lwowski* (17 marca), *Chwila*, *Słowo Polskie* (Lwów 26 kwietnia), *Gazeta Robotnicza* (Katowice, 12 kwietnia), *Słowo Tarnowskie* (25 czerwca), *Przegląd Pedagogiczny* (XLVI 1927, 547), *czeskie Listy Filologiczne* (LIV 1927, 174 n.): wszystkie te recenzje uznały zgodnie konieczność i oryginalność czasopisma, wysoki jego poziom i estetyczny wygląd. Niepodobna dać tu streszczeń; jako przykład przytoczę tu mniej dostępną ocenę Czechów z pod pióra p. dr. Ludvíkovskiego: „...Już pierwszy zeszyt* pokazuje, że redakcja ma wolę, a co najważniejsza, i siłę tworzenia czasopisma żywego, które będzie nietylko odbierane, ale i czytane... Przewaga artykułów, traktujących o zagadnieniu studjów humanistycznych, jest znamienym objawem dla naszej epoki i nadaje czasopismu niby swoisty program. Stosunki w Polsce są zupełnie takie same jak u nas i witamy to ze szczerą sympatją, że nasi polscy przyjaciele zdołali w obronie wychowania klasycznego zajmować stanowisko naprawdę światowe“. W chórze tych recenzentów znany mi jest jeden tylko wyjątek: otóż p. A. Peclnik, ksiądz i cenzor kościelny, mając pisać w swej *Gazecie Kościelnej* o Kwartalniku, wynurzył tylko swe żale z powodu liberalizmu jego redaktora — szanuję to jako poczciwe wykonanie ciężkiego i, wierzę, wstrętnego zawodu kateduchowego: ale dlaczego egzekucja ta odbyła się pod nagłówkiem recenzji o Kwartalniku Klasycznym?

Z wielu stron żądano od redakcji zmiany zasadniczego programu: jedni życzili sobie znacznego rozszerzenia kroniki, drudzy ograniczania się do dydaktyki, inni obfitszej biblijografji, inni znowu więcej sprawozdawczych artykułów zamiast biblijografji i dydaktyki. Pozostałem przy rzucie pierwotnym i starałem się o pewną równowagę tych czterech działów, z których najważniejszy jest dydaktyka. Ale nie upieram się przy rozmiarach czasopisma: owszem sam przekroczyłem znacznie

pierwotny projekt, mimo to ani połowy materiału przygotowanego, zwłaszcza w dziale bibliograficznym, pomieścić nie mogłem. Pałacą wprost potrzebą jest wydrukowanie przygotowanego Przeglądu czasopism. Kwestją to finansowa, a tę rozwiązać może tylko dostateczna liczba prenumeratorów; na subwencję rządową nie wolno nam liczyć ze względów zasadniczych — czasopismo polskie, nie mogące się utrzymać z prenumeraty, niema racji istnienia: to jest także nasz pogląd. Żeby Kwartalnik istniał dalej w obecnych rozmiarach, na to trzeba nam 1000 abonentów, a żeby się rozszerzył, 1500 — do tego marzenia nam jeszcze daleko. A jednak to możliwe, jeśli każdy filolog odkryje pod powłoką banauzji dostojęństwo zawodu, jeśli sobie uświadomi, że wspólną ofiarnością, *viribus unitis*, możemy się stać potęgą, zapewniającą wpływ decydujący i filologom i filologii. Podziwiam szczerze małą Katalonję, która walcząc w Hiszpanji przeciw Kastyljanom o niepodległość narodową, w obecnej chwili stwarza sobie piśmiennictwo narodowe, a to przez wydanie i przetłumaczenie klasyków. Liczy ona 3 miliony mieszkańców, a wydawnictwo klasyczne ma obecnie już 1800 abonentów, i przeszło 3000 nabywców przygodnych, tak że niektóre teksty, jak Curtius Rufus, rozsprzedane zostały w 6000 egzemplarzy. Zachowując tę samą proporcję dla Polski, musielibyśmy mieć 18.000 abonentów — tymczasem z trudem dociągamy do 1000. Ale właśnie Katalonja pokazuje nam, co można osiągnąć dzięki uświadomieniu społeczeństwa, dzięki ofiarności samych filologów. Tam studjum starożytności stało się sprawą narodową: zależy to tylko od nas, by i u nas humanizm był także zaczynem nowej polskiej kultury.

Od spraw tych i trosk kwartalnikowych przejdźmy do szerokiego ruchu filologicznego, do ruchu w filologii naukowej. Najważniejszym wydarzeniem jest tu nowy tom E o s (XXX rocznik 1927) o objętości IV + 456 s., dający obraz czasopisma zreorganizowanego, stojącego obecnie już pod każdym względem na poziomie europejskim. Życzyć tylko należy, żeby się udało utrzymać na tym poziomie — w bardzo znacznej mierze to zależy od wysokości subwencji ministerjalnej. Na treść tego rocznika składa się 26 artykułów, 2 sprawozdania, 4 recenzje: wszystko pisane po łacinie i po francusku. K. J a r e c k i, *Sur l'Appendix [Probi] III, son lieu d'origine et son auteur* (s. 1—25) dowodzi na podstawie rozważań topograficznych, że dziełko to powstało w samym Rzymie, i że odzwierciedla w swem słownictwie życie rzymskie: jest to ciekawe studjum, sumujące bystrość filologiczną z dokładną znajomością kultury miejskiej. G. P r z y c h o c k i, *De vitis vel accessibus Vergilianis* (s. 27—32) wykazuje, że tzw. życiorysy wergilowe są w rzeczywistości tylko *accessus*, tzn. część prolegomenów, poprzedzających interpretację poematów, i ułożonych według stereotypowego schematu: *quis, quid, ubi* etc. T. Z i e l i ŋ s k i dał wyjątkowo dwie rozprawy; w pierwszej, *De Auge Euripidea* (s. 33—53), rekonstrukcję tego zaginionego dramatu ze szczupłych fragmentów i streszczeń mitograficznych, tworzącego z *Ifigenją Taurydzką* i z *Ionem* trylogję Pallady; w drugiej rozprawie, *De Helena simulacro* (s. 54—58), wyjaśnia bardzo pięknie znaną palinodję Stesichorosa, dowodząc, że motyw zastąpienia uciekającej przez bóstwo wzgl. widmo, znany przedewszystkiem z podania średniowiecznego o odzwiernej Beatrycy, pojawia się po raz pierwszy w podaniu o Helenie. W. O g r o d z i ŋ s k i, *Fines Germaniae quinam fuerint secundum Caesaris et Taciti opinionem* (s. 59—62) występuje z pomysłem bardzo oryginalnym, że należy rozróżniać między etnograficznem a politycznym pojęciem Germanji (więc między *Germani* a *Germania*), które bynajmniej nie są identyczne: słuszność jego zdania potwierdza innemi dowodami S. Feist (zob. Kwart. Klas. I 1927, 160 n.).

C h. R o s e n t h a l, *Aristophanis comoediae quatenus secundum populi opiniones conformatae sint* III (s. 63—75) daje zakończenie ciekawej serji artykułów o baśniowych składnikach komedji aristofanesowych, z których pierwsze dwa omówiły szeroko *Ptaki*; niniejsza rozprawa poświę-

cona jest *Plutosowi* i *Pokojowi* i uwydatnia w nr. 12 baśniowy charakter *Plutosa*, nr. 13 mówi o wodzie morskiej itd., przywracającej ślepym wzrok; nr. 14 o wężu w baśniach, nr. 15 o baśniowym charakterze *Pokoju* i skarabejuszu, rosnącym w nieskończoność; nr. 16 o wniebowstąpieniu Trygaiosa: wszędzie bogate analogje z nowoczesnych baśni objaśniają autora starożytnego. L. Jus, *De duodeseptuagesimo carmine Catulli I* (s. 77—92) daje bardzo sumienne wyjaśnienie tego najtrudniejszego może utworu Katulla i zajmuje się specjalnie z zawiłem zagadnieniem adresata. St. Lisiecki, *Demosthenes orationes suas salibusne conderit* (s. 93—100) twierdzi za Blassem, że mowy wielkiego Ateńczyka zawierają dowcipne igraszki, ale nie żarty. T. Sinko, *De Vita Platonis Apuleiana* (s. 101—112) poprawia w licznych miejscach tekst Apuleiusa na podstawie greckich biografij. G. Schnayder, *De infenso alienigenarum in Romanos animo I* (s. 113—149) podaje chronologiczny przegląd źródeł do studjum antyromanizmu, z pominięciem atoli autorów chrześcijańskich. W. Barbasz, *De Aegritudinis Perdicae fontibus, arte, compositionis tempore* (s. 150—169) przedkłada rozbiór wątków, do których autor przytacza paralele, wykaz motywów i wzorów poetyckich utworu, którego powstanie przypisuje wiekowi V. R. Schaechterówna, *Philodemus quid de psychagogia docuerit* (s. 170—173) daje dalszy ciąg rekonstrukcji fragmentów Philodema i ich wyjaśnienie. K. Michałowski, *Les Niobides dans l'art plastique grec de la seconde moitié de Ve siècle* (s. 175—193) uwypukla znaczenie peloponeskiej szkoły rzeźbiarzy dla rozwoju sztuki greckiej. J. Oroszówna, *Etude sur l'Athèna Lemnia* (s. 195—206) segreguje krytycznie owe zachowane zabytki, które można uważać za mniej lub więcej wierne kopje Lemnji Pheidiasa. J. Kuryłowicz, *Origine indoeuropéenne du redoublement attique* (s. 206 do 210) uwydatnia, jak reduplikacja attycka, pojawiająca się pierwotnie w czasownikach z protezą wokaliczną, zyskała potem na terenie. J. Manteuffel, *Epistulae privatae graecae* (s. 211—215) wydaje i objaśnia dwa listy papyrusowe zbiorów berlińskich, Pap. Berol. nr. 13 897 i 13 989. W. Śmiałek, *Remarques sur l'origine du symbole de la tête de mort* (s. 217—226) umie ze szczupłych wiadomości i pomników starożytnych wykazać, że średniowieczny symbol trupiej głowy posiada nie tylko swe odpowiedniki, ale też ostateczne źródło w starożytności klasycznej. J. Smerek, *De dinosi I* (s. 227—256) wyjaśnia 1. kto z sofistów greckich wynalazł tę figurę retoryczną, 2. jakie figury retoryczne łączą się z δεινωσις. M. Popławski, *L'apothèose de Sylla et d'Auguste* (s. 273—338) twierdzi, że ubóstwienie władców w Rzymie nie jest obcym, zapożyczonym pierwiastkiem, lecz wyrosło organicznie z przesłanek historycznych i zwłaszcza psychologicznych, które opisuje bardzo obszernie; ubóstwienie to występuje po raz pierwszy w formie wyrazistej w osobie Sulii. A. Śmieszek, "Ἄγγελος et λαβήρινθος (s. 257—266), wyprowadza ἀ. z hetyckiego *halugališ* 'posłaniec'; λ. zaś należy do hetyckiego tytułu króla *tlabarnas* i oznacza *regia* (scil. *domus*), tzn. pałac. L. Hausknecht, *A propos d'inscriptions lydiennes* (s. 267—272) streszcza wyniki swych badań nad odczytaniem napisów lydyjskich, wyjaśniając szereg tekstów i etymologję słów greckich, np. ἱερός z lyd. *hira-* 'własność', Larissa z lyd. *lahi-risa-* 'świątynia', τήρας-τύραννος-Tyr-σηνά lyd. *tyra-* 'akropol', πόλις z lyd. *ptoli* 'akropol', Πελασγοί itd. K. Zakrzewski, *La politique théodosienne* (339—345) wykazuje, jakie były główne linje polityki Teodozego: walka przeciw starom instytucjom państwowym, na których się opierała partja konserwatywna i pogańska; ale z tego dzieła burzenia wyrosły podstawy nowego życia państwowego. L. Sternbach, *Cercidea* (s. 347—366) dowodzi mylności interpretacyj i poprawek fragmentu 16 Pow. Kerkidasa, cytowanego także przez Grzegorza z Nazjanzu i daje przytem bardzo ciekawe spostrzeżenia językowe i prozodyczne. M. Strilciw, *De arte rhetorica in Petronii Saturis conspicua* (s. 367—378) zestawia figury retoryczne z *Satyricon* Petroniusa. J. Kowalski, *Est-ce qu'Augustin se confesse dans ses Con-*

fessions? (s. 379—400) stara się o wyrazistsze niż dotąd uwydatnienie myśli przewodnich *Wyznań* Augustyna. St. Srebrny, *De mimi Graeci fragmento Londinensi* (401—412) zwalczając dowolne interpretacje Crusiusa i Koertego, poddaje dotychczasowe opracowania Pap. Lond. 1984 gruntownej rewizji, których wynikiem są liczne nowe interpretacje tego trudnego pomnika literatury greckiej. — Następują potem w rubryce sprawozdawczej dwa obszernie referaty: J. Kowalskiego, *Adam Mickiewicz à Lausanne* (417—427) — streszczenie wielkiej trzytomowej pracy o wykładach lozańskich Mickiewicza, która dopiero ma się wydrukować, St. Przeworskiego *Grecs et Hittites. État actuel du problème*, zaznajomiący czytelnika z nowymi pracami z zakresu hetylogii, ze szczególnem uwzględnieniem zagadnień grecko-egejskich. Całość zamykają obszernie recenzje z pióra p. Przychockiego o Plaucie (*Lejay, Plaute*, Paris 1925 i *Havet, Pseudo-Plaute*, Paris 1925, s. 440—454) przez najlepszego znawcę Plauta, oraz Przeworskiego o *Harland, Prehistoric Aegina* i A. Rapaporta o *Suetoni De Grammaticis ed. Robinson*. Rozsiane między rozprawami są drobniejsze notatki np. poprawki J. Hollera do liryków i tragików greckich, Zielińskiego o Żydach Horacego (do Sat. I 4, 142), do Phrynichosa, Dembitzera do Apologii Platona p. 32 B, Busego o fonetycznej wartości spółgłoski z w umbryjskiem itd.

Z wydawanych przez PTF *Studia Leopolitana* pod redakcją St. Witkowskiego wyszedł jako zeszyt III Gromska Daniela, *De sermone Hyperidis*, Leopoli 1927, 100 s.; nie rozumiem, dlaczego W. zapomniał zaznaczyć na karcie tytułowej, że *St. L.* są w dalszym ciągu, mimo ustąpienia jego z prezesury, publikacją PTF, a on tylko redaktorem z ramienia Twa. — Przedmowa opowiada, że to pierwsza połowa dysertacji, wykończonych w r. 1910 i później uzupełnionych: część druga, traktująca o słowotwórstwie i składni, czeka na wydanie. Należyście ocenić mógłby tę pracę tylko ten, kto mógłby ją napisać: jak daleki jestem od tego ideału, odczułem sam, gdyż z trudem przeczytałem ją: $\frac{3}{4}$ pracy to cytaty w tekście i pod tekstem (do 30 notek na stronie), „ut minime dubium fiat, quin Hyperides, ubi ab Attica consuetudine classica [lepiej: *idonea*] discedat, Atheniensium sermone cotidiano usus sit“. Nie wiem, czy kiedykolwiek tezy jakieś udowodniono z taką gruntownością wprost oszłością, jak tutaj.

Wydano również w r. 1927 numer czasopisma, poświęcony w całości historii starożytnej: *Przegląd Historyczny* t. XXVI zeszyt II: zawdzięczamy pokaźny ten tom inicjatywie i pracy T. Wałka-Czerneckiego, profesora historii starożytnej w Warszawie. Składano całość na linotypie: wpływało to bardzo ujemnie nie tylko na estetyczną stronę pisma, lecz uniemożliwiło, przy znanem wykształceniu polskich składaczy, korekty — tak więc liczne błędy drukarskie zszpecą całość. Na końcu podano francuskie streszczenia artykułów, rzeczywiście wysoce cennych. Rzec T. Zielińskiego (*Cesarz Klaudjusz i Judejczycy*, s. 133—151) jest w zasadzie przekładem rozprawy francuskiej, streszczonej w Kwart. Klas. I 1927, 256. T. Wałek-Czernecki (*Naród, narodowość i ojczyzna w starożytności*, s. 152—181) rozbiera trzy pojęcia, o wysokiej aktualności zwłaszcza dla Polski współczesnej i nowoczesnej psychozy nacjonalistycznej. W. określa (s. 158) „narod jako grupę ludzką, nieorganizowaną, związaną przez poczucie i wolę wspólnoty, będącej sama dla siebie celem, u jej członków“; ojczyznę zaś (s. 159) „jako terytorjum mniejsze lub większe, z którym pewna (dowolna) liczba ludzi jest uczuciowo związana“. Te teoretyczne przesłanki są bardzo starannie zdobyte: ważniejsze od nich są naturalnie ilustracje ich z zakresu ludów starożytnych. Tu — rzecz ciekawa w historii — przywróci się pierwszorzędną wartość spuściznie literackiej, jako wyrazowi woli narodu. Ale sama literatura starożytna jest fragmentem, i bardzo nieliczne ludy i szczepy przekazały nam pomniki literackie. Zaś o najważniejszym zagadnieniu, o formowaniu się narodu, nie mówią: zwykle

spotykamy tam, gdzie mamy do czynienia z narodem rzeczywistym, odrazu zwarty naród (Babylńczycy, Egipcjanie, Izraelici, Fenicjanie, Grecy) — tam znowuż, gdzie się proces ten dokonał w czasach historycznych, nie dopisują źródła. Tak więc historyk jest skazany na analogje z średnowieczna naszego i nowszych czasów, i tu mamy do czynienia z dwoma czynnikami: z polityką i z cywilizacją, przytem czynnik polityczny pierwotnie zlewa się z poczuciem jedności etnicznej, jak np. u Greków. Natomiast daleko przeceniano w tym procesie dotychczas czynniki geograficzny i ekonomiczny: one podporządkowują się w każdym razie polityce. (c. d. n.)

PRZEGLĄD KSIĄŻEK SZKOLNYCH ZA ROK 1927

1. Nową książkę do elementarnej nauki języka łacińskiego dał nam A. Bednarowski w nowem opracowaniu *Drugiej książki* Frączkiewicza (A. Frączkiewicz i Dr. A. Bednarowski, *Druga książka łacińska*, z ilustracjami i dodatkiem gramatycznym, Książnica-Atlas, 168 s.). Właściwie niniejszy podręcznik prócz nazwiska Frączkiewicza i szczupłej ilości ustępów niewiele ma z dawnej książki. Zawiera 44 ustępów łacińskich i 31 polskich — zdaje się nieco przydługich, — objętości razem stron 53, a więc w wymiarze możliwym do opanowania w przeciągu roku szkolnego. W ćwiczeniach zawarto sporo materiału z historii, kultury, mitologii rzymskiej, czy wogóle starożytnej; nie pominięto rzeczy polskich, żywiołu bajkowego prawie że niema. Jednak mimo że autor nie ilustruje materiału językowego powiastkami, potrafił ułożyć długi szereg ustępów treściowo zajmujących, przykuwających uwagę i działających na uczuciowość, szczególnie chłopaka, choć nietylko chłopaka. Dużo pedagogicznej wartości w ustępach niemoralizujących. Wogóle miał autor szczęśliwą rękę i udało mu się bardzo zgrabne i zajmujące zdania pobudować z wyrazów, które mają zaszczyt być wyjątkami (np. przymiotniki III dekl. i wybuch Wezuwjusza s. 6). I w treści i w formie widać ogromnie staranną robotę, a co najważniejsze, że rezultat niemniejszy od wysiłku. Nigdzie opanowywanie treści nie zużyje energii mózgowej potrzebnej do opanowania form — przeciwnie, za pośrednictwem tak dobranej treści formy wrażeń się będą wszelkimi sposobami w pamięć ucznia, w jego świadomość i podświadomość. Ustępy są ciągle naprawdę, a nietylko z tytułu; nawet ustęp 9, składający się z samych acc. c. inf., jest wcale zgrabną całością. Słowniczek szczegółowy, nawiązujący do rzeczy znanych uczniom w uwagach u spodu, nie jest wyczerpujący i to zapewne umyślnie, by ucznia zaprawić do szukania znaczeń w słowniczku alfabetycznym ogólnym. Co do dodatku gramatycznego, to mimo panującego u nas i zagranicą zwyczaju dodawania do ćwiczeń także i gramatyki uważam, że lepiej dla ucznia kupić osobną gramatykę i nie rozstawiać się z nią od elementarnego stopnia nauki aż do czytania najtrudniejszych autorów w najwyższej klasie. Tak, jak jest dzisiaj, uczeń podczas lektury nie ma gramatyki i nie umie wogóle z książki korzystać — odzwyczajano go od kupowania gramatyki, a przecież i bez tego w naszym klimacie książka nie należy do artykułów pierwszej potrzeby. Obszer-na, dokładna, systematyczna gramatyka to wierny i szczerzy doradca ucznia. A i to coś znaczy, że bez tych prawie dwu arkuszy dodatku gramatycznego zniżyłaby się cena książki. W układzie należy podnieść z uznaniem, że *verba anomala* są umieszczone w pierwszej połowie książki, dzięki czemu jest możliwość przemieszczenia ich i oswojenia się z niemi, podczas gdy przedtem nigdy czasu na to nie starczyło. Jednakowoż nowy materiał syntaktyczny wołałbym rozmieścić inaczej, mianowicie tak, żeby nowość syntaktyczna nie schodziła się z nieregularną odmianą czasowników, a dalej, aby te nowości nie następowały po sobie za prędko. W ustępie XIV mamy acc. c. inf., w XV gerundivum, w XVII abl. absol.: za dużo tego dobrego. Byłoby, mem zdaniem, bardziej wskazanem acc. c. inf. cofnąć do ustępu — powiedzmy — VI a ablat. absolut. dać po *verba anomala* np. około ustępu XXI, coby musiało spowodować pewne przeróbki. W uwa-

gach gramatycznych radziłbym opuścić wyjaśnianie genezy ablat. absol., bo i niezrozumiałe to dla dzieci i niepotrzebne (s. 153). Wyjaśnienie acc. c. inf. także albo opuścić albo przestyliżować (s. 148), przecież *video pueros properantes* jest po łacinie całkiem dobrze (por. Horat. *Epod.* 2, 61 n.), więc np.: *język łaciński rzadko używa takiego zwrotu*. Natomiast uwaga o *hortor* i part. perf. pass. (s. 164) jest bardzo dobra i potrzebna. Przy wprowadzaniu spójnika *cum* nie trzeba unikać technicznych nazw *cum iterativum* (s. 56), *cum causale* (s. 64). Zamiast *Caius* czy nie byłoby słuszniej pisać *Gaius* w ustępach XIV i XXXII? W ustępie 9, *do świtu* czyż nie lepiej tak napisać od razu jak w uwadze; nie dawać zdań pobocznych w acc. c. inf. w ust. 9? Przed imiesłowem wolałbym nie dawać przecinka (*pugnantes gerentes*, XII). W VII e trzeba zmienić szyk, np. orzeczenie dać zaraz po podmiocie, bo *supplicum terrebantur, ne desererentur* (przerażali się głosami proszących, aby ich nie opuszczano) jest nieznośne. W ustępie 1 uw. 1 *zaliczają się* dodać *w rodzinie*, uw. 2 opuścić, bo przed *sum* i *composita* myli. *II a servi pueris ad scholas properantibus aderant*: jak pomagali śpieszyć się do szkoły — czy może brali chłopców „na barana”? Pewnie zgodziłby się autor na *scholas frequentantibus*. W V *libenter oboedio* zmienić, np. na *praesto*, ze względów pedagogicznych: niech ojciec nie będzie posłuszny synowi. Czy zdania pytajne zależne są odpowiednio w książce zaakcentowane, nie zauważyłem, a sprawdzić trudno wobec braku dokładniejszego uwzględnienia w spisie rzeczy szczegółów ze składni.

2. Małą gramatykę Zyg m. S a m o l e w i c z a, z której pokolenia uczyły się łaciny, opracował w wydaniu szesnastem Ludwik Jus (*Gramatyka łac.*, *Część I Najważniejsze wiadomości z głosowni i morfologii*, K.-A., 104 s.). Nowy wydawca dodał objaśnienia naukowe form fleksyjnych, a fleksję poprzedził dość obszerną, bo 9 stron liczącą głosownią. Związek między głosownią a fleksją jest utrzymany przy pomocy ciągłych odsylaczy do potrzebnych w danym razie paragrafów. Uwagi, starannie i sumiennie opracowane, są wcale obszerne i bogate, czasem nawet za obfite w treść, np. § 14; § 10 wydaje mi się w szkole niepotrzebny. Rozróżnienia akcentu *itáque* i *ítaque* itp. wątpię czy są uzasadnione. Uwagi o końcówkach II deklinacji sprowokują pytanie, skąd się wzięło *o* w dat. sing. lub, co gorsza, jak powstał genet. na *i*. Oczywista uwagi naukowe musi brać nauczyciel tylko dorywczo, a nie systematycznie, bo systematyczne wyjaśnianie uniemożliwiłoby przyswojenie sobie form. W zakładach humanistycznych wogóle mało będzie można z nowości tego wydania korzystać przy karkołomnych wyścigach do mety najelementarniejszego obrobienia materiału. Chyba więc w gimnazjach klasycznych starego typu. Książka jak na dziś może jest spóźniona, ale spodziewajmy się, że i dla niej nadejdą lepsze czasy. Obawiam się jednak, że lakoniczne sformułowania i wprawdzie oszczędny, ale nieprzejrzysty sposób typograficznego oddania uwag spowodował dość wysoką niezrozumiałość lub raczej nieprzystępność uwag.

3. Z poetów łacińskich wydano nanowo w tym roku dwóch. Mianowicie wyszło trzecie wydanie *Horacjusza Sinki* z dodatkiem *horacjanistów polsko-łacińskich* (K.-A.) i szóste wydanie *Wiązanki wierszy Owidjusza z dodatkiem wybranych elegij Tibulla i Propercjusza*, K.-A., s. XXVII 195. Horacego omówiliśmy już (K w a r t. K l a s. I 1927, 250 s.). Tekst Owidego jest ten sam, co pierwiej, i zgadza się ze stronami dawnego wydania, mimo że krój czcionek jest inny. Nader staranna korekta usunęła dość liczne błędy drukarskie dawniejszego stereotypu. Z nowych błędów zauważyłem *fato* zamiast *falso* (s. 66 w. 124), ze starych zostały s. 75 *receptit* zamiast *recipit*, s. 96 *sacra* zamiast *sacro* (scil. loco), s. 159 znak pytania dać w w. 12, nie po 10, s. 171 *Claudia wnuczka* nie *córka*, s. 141 w. 1 usunąć przecinek przed *Ulixi*: choć ostatnie cztery wypadki może umyślnie tak drukowano, a nie przez pomyłkę. Także błędy słowniczka imion własnych są poprawione. Przy imieniu *Bacchus* nie stosuje się wydawca do pisowni akademji i pisze *Bakchus* — i nie można się temu dziwić.

We wstępie dodał wydawca umiarkowanej, ale wystarczającej objętości ustęp o rozwoju poezji rzymskiej, a szczególnie elegji, i przerobił uwagi swoje o elegikach i o Owidym. Rozszerzono opis jego młodości i jego pośmiertnych wpływów, dodano charakterystykę i analizę *Metamorfoz* i uwagi o poetyckim szyku wyrazów. Wydawca przyjmuje zapatrywania Jacobyego o nieistnieniu erotycznej elegji aleksandryjskiej — przyjęte także i przez Wilamowitza, *Hellenistische Dichtung*; w sposób zarówno naukowy, jak i przystępny potrafił podkreślić, co jest charakterystycznym i oryginalnym tworem łacińskim. Zgrabnie i dyskretnie podkreślano związek z polskością, nietylko w ustępie o pośmiertnych losach poety. Akcentowanie walorów rzymskiej literackiej twórczości ogromnie jest ważne; dawniejsze, niemieckie uwielbienie Greków kosztem pokpiwania z wysiłków poetów rzymskich wielce zaszkodziło łacinie w planach i programach ministerjalnych (por. Lewicki, *Gimnazj. human.-realne*, K w a r t. K l a s. I 1927, 279 n.), a nie pomogło grece. Może przyszedł reformator, czepiający swą znajomość literatury z czytania we wstępach, złożył sobie inną syntezę piśmiennictwa łacińskiego, niż twórca planów dzisiejszych. Ton wywodów jest, nietylko przystępny, ale i nacechowany serdecznością i ciepłem.

4. Proza łacińska może się pochłubić trzecim wydaniem Cycerona w opracowaniu Jana Szczepańskiego (K.-A.), mianowicie I części *Mów* (s. XXXV 125) i *Wyboru z pism filozoficznych* (s. XXXII 159). W pismach filozoficznych (s. 116—127) umieszczono jeszcze ustępy z *De natura deorum* i *De divinatione* (s. 128—136); wstęp mało co zmieniony. W wyborze mów większe zmiany we wstępie; dodano zwłaszcza duży ustęp o znaczeniu Cycerona dla potomnych, szczególnie dla Pol-
ski, a opuszczono ustęp odnoszący się do organizacji państwa rzymskiego, gdyż wydawca spodziewa się, że kto zechce korzystać z tego ustępu, to zaglądnie do *Kultury klasycznej*.

5. Jan Szczepański, *Kultura klasyczna w zarysie. Podręcznik dla użytku szkół średnich z 310 rycinami w tekście*, Ossolineum, s. 483. Często się słyszy, że trzeba uczyć kultury klasycznej i nawet istnieje taki przedmiot w planie naukowym niektórych zakładów średnich, ale jak uczyć i z czego, nad tem wielu się kłopotalo. I ci wszyscy czują wdzięczność dla autora pierwszej polskiej książki na ten temat i nie kryją się z tem uczuciem. Jest to dzieło piękne, obszerne, bogate w treść, jak sama starożytność. Do książki dodano pół arkusza uwag informacyjnych. Wałą pomocą dla wyobrażenia sobie rzeczy starożytnych są obfite i mądrze dobrane ilustracje. Materiał treściowy czerpany z podręczników i lektury własnej, kontrolowanej wspomnieniami podróży po obu krajach klasycznych. Książkę czyta się gładko i przyjemnie, mimo że to podręcznik szkolny, skąpy w słowa i nierozległy, język poprawny a raczej więcej niż poprawny. Kultura rzymska jest omówiona nieosobno, ale razem z greką dla zaznaczenia jedności kulturalnej świata klasycznego. Ma to tę złą stronę, że czytelnik nie nauczy się cenić tych oryginalnych cech łacińskich, któreimi nowoczesna kultura światowa się wzbogaciła i które dziś po światowej wojnie w mękach porodów państwowo-organizacyjnych w państwach zwycięskich i zwyciężonych rozumiemy lepiej, niż kiedykolwiek przedtem i nietylko uczymy się oceniać jako rzeczywistość historyczną, ale i cenić jako wzór jeszcze dziś do naśladowania. Mimo całego szacunku dla książki i jej autora muszę zaznaczyć, że jest za mało współczesna i równocześnie za wiele współczesna. Jeżeli autor ocenia *constitutio Antoniniana* (s. 21) z punktu widzenia narodowej demokracji, to jest to przenoszenie pojęć dzisiejszych ludzi i to ludzi nieciekawych — mniejsza o to, czy patriotów polskich czy hakatystów — na starożytne stosunki prawno-państwowe, a ponadto naraża na uwikłanie się w sprzeczności, Polakowi nieuchronnie grożące. Bo jeśli wyżej stawiamy cele narodu niż państwo, to czemuż potępiać tych, co pracowali na korzyść Filipa II i zjednoczenia Grecji (porów. o amfiktyonji s. 403 i entuzjazm dla Demoste-

nesa s. 106). Przy sposobności dodają, że w indeksie pod *Karakalla* trzeba dodać s. 21, także pod *obywatelstwo*; *Antoniana* (s. 407) trzeba poprawić na *Antoniniana*. Z drugiej strony kiedyśmy się nauczyli — choć drogo ta lekcja kosztowała i kosztuje — zwracać uwagę na stosunki gospodarcze, otrzymujemy książkę, która zaczyna się od ... literatury i sztuki, a gospodarstwo spycha na szary kącik (s. 445). To coś zanadto po profesorsku i papierowo, zwłaszcza, że literatura zajmuje 140 s., a gospodarstwo wiejskie mniej niż 2 (dwie), przemysł więcej niż 2 (wyraźnie dwie). Wyraz *przemysł* należałoby może odpowiednio mieniać z wyrazem *rzemiosło*, by nikt nie wpadł na porównanie z dzisiejszym przemysłem. A jak nauczyciel objaśni przy pomocy tego ustępu np. tarczę Achillesa i pług grecki (πληκτὸν ἄροτρον)? Trzeba było dać coś więcej, zahaczyć o Egipt (z wielu powodów) i o Persję i dać odpowiednią ilustrację. Dlaczego pominięto np. piratów, których działalność miała różne skutki i gospodarcze i polityczne. Tematy te dzięki nowym monografjom z tej dziedziny łatwo opracować i nowe wydanie uzupełnić, co spowoduje pewne ograniczenie rozmiarów opracowania literatury. — Autor stara się podkreślić związek starożytności z naszymi czasami; można to będzie rozszerzyć i na stosunki polityczne i społeczne. Mimochodem wspomina, że przy Propertiusie trzeba dodać wzmiankę o jego tłumaczku Euzebjuszu Słowackim (s. 51), przy Ksenofonie o przekładzie *Ekonomiku* 1857 (s. 121). Przy kwestjach spornych (np. s. 381 geneza eforów) lepiej wstrzymać się od wydania sądu. Przy nowem wydaniu trzeba będzie uwzględnić Witkowskiego *Historjografię grecką*, zwłaszcza tom III.

6. Przy nauczaniu kultury a także i historii starożytnej walną pomoc mogą oddać *Teksty Źródłowe do nauki historii w szkole średniej* nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej. Uczenie historii w sposób źródłowy w szkole średniej jest oczywiście złudzeniem, w dodatku złudzenie to nie jest wcale nieszkodliwe: ale ilustrowanie wykładu źródłem ma wielką wartość bezpośredniego przeżycia. Do historii starożytnej odnosi się 12 zeszytów dwuarkuszowych po 60 groszy. Ostatnio (1927) wyszedł zeszyt 3a *Chatti i Aram (Mała Azja i Syryja) w świetle źródeł* przedstawił Mojżesz Schorr. Jest to zeszyt dla każdego filologa ogromnie ciekawy i instruktywny; kto chce dowiedzieć się więcej, ma tam zestawioną literaturę (na s. 17 błąd *muniechaj* zamiast *niechaj mu*). Dla dokładności podajemy tytuły innych zeszytów, tembardziej, że w poprzednim omówieniu książek szkolnych, (E o s XXIX 1926, 257 n.) były pominięte. Otóż w r. 1923 wyszły numery 6 i 7 Jerzy Kowalski *Grecja w okresie wojen perskich, Grecja od wojny peloponeskiej do podboju macedońskiego*; Ludwik Piotrowicz (9) *Republika rzymska w dobie rozkwitu*, (10) *Upadek rzymskiej republiki*, (11) *Okres świętości cesarstwa rzymskiego*, (12) *Rozkład i upadek cesarstwa rzymskiego*. W roku 1924 Ant. Śmieszek *Egipt starożytny* (1), M. Schorr *Babilonia i Assyryja* (2) i Tadeusz Wałek *Najdawniejsze dzieje Grecji* (5) Aleksander Wielki i epoka hellenistyczna (8). W r. 1926, M. Schorr *Palestyna starożytna* (3), Ant. Śmieszek *Iran starożytny* i Stan. Schayer *Indje starożytne* (4). Jest tych zeszytów trochę dużo i uczeń nie będzie w stanie sprawić sobie wszystkich numerów. Może niektóre są zbędne, np. zeszyt 3, bo Palestyna znana jest z nauki religii wszystkich wyznań, albo dość trudny i nie bardzo ciekawy zeszyt 5 o najdawniejszych dziejach Grecji. Autorowie powinni zawsze liczyć się z planem całego wydawnictwa, tymczasem część napisu o Cyrusie znachodzimy raz w Iranie (nr. 4, 1) i w Babilonii (nr. 2, 9). Jak to się samo przez się rozumie po nazwiskach autorów, zeszyty są bardzo dobre, czasem znakomite. Szczególnie pożyteczne są prace o epoce hellenistycznej i upadku cesarstwa rzymskiego, bo rzadko który filolog pracujący na niwie szkolnej zna te okresy z własnej lektury. Zeszyt 12 ma bardzo dobre pomysły, w wykonaniu druga połowa jest lepsza niż pierwsza; niektóre ustępy są za krótkie. Na s. 29 ustęp 33 w. 4 wypadło może z 1^{1/2} wiersza i wypełnione dyktografją tak, że nie można dojść do żadnego sensu. Miałbym zastrzeżenia

pewne przeciw temu, żeby cytować tu jako źródła pisarzy klasycznego okresu i wieku srebrnego, a zwłaszcza łączenie ich w sąsiedztwo, które gotowe wywołać w głowach prawdziwy chaos. Cytowanych bowiem znajdujemy obok siebie Lukana i Plutarcha, a na karcie tytułowej mowa o Dioklecjanie. Niedaleko siebie stoją Avenius, Polybios i Gellius. W zeszyście 11 tytuł nie całkiem odpowiada treści; jakże czasy aż do Dioklecjana nazywać okresem świetności cesarstwa rzymskiego? W zeszyście 10 za mało Cicerona. Na s. 32 podaje autor *Cicer. de imper. Cn. Pomp.* § 22 jako źródło wskazujące na rzymski ucisk prowincjałów, tymczasem zdanie to nie jest dowodem bezpośrednim ucisku i krzywd, ale dowodem, że uczciwi i mądrzy Rzymianie wiedzieli, że krzywdy istnieją i boleli nad tem. Lepiej było przytoczyć fakta, a tychby dostarczył jakibądź ustęp z *Werrynek*.

7. Jako pomoc dość wybitna w nauce historii i kultury mogą służyć *Tablice synchronistyczne do dziejów powszechnych z uwzględnieniem najważniejszych dat z historii literatury i kultury* (wyd. 2 ułożył Benon Janowski, K.-A., tablic XXIII). Można się domagać, żeby w tem wydaniu byli już uwzględnieni Hetyci, żeby obok Solona nie zapominać o Serwuszu Tulliusie; ale tablice są niewątpliwie użyteczne i uświadamiają szczególnie dobrze związek kultury i rozwoju literatury z historją polityczną. Ktoby chciał posługiwać się przy kulturze jakimś atlasem, to narazie może posługiwać się *Atlasem do historii kultury i sztuki* St. Truchim'a z przedmową M. Gumowskiego (Spółka Pedagogiczna, Poznań, Podgórna 7, 14 zł.).

8. Rok ten dał nam też *Atlas historyczny* Natanson-Leskiego, o którym była już mowa (Kwart. Klas. I 1927, s. 249). Pomijamy również z tego samego powodu J. Parandowskiego *Mitologję* (Kwart. Klas. I 252). Na wydawnictwa takie, jak przekłady i preparacje charakteru brykowego lub analizy utworów poetyckich dla uczniów (Wróblewskiego przekłady z serji zielonej i żółtej i słowniczki z różowej, w Warszawie, Szarfa *Król Edyp, rozbiór krytyczny* (charakterystyki literackie, nr. 50, z Warszawy) nie zwracamy uwagi. *Składnia słowa łacińskiego porządkiem alfabetycznym ułożonego Część I łacińsko-polska* J. Juraszek, nakład własny, skład główny: Warszawa, Dom Książki Polskiej 7 zł) jest słownikiem złożonym z samych czasowników. Kto nie ma większego słownika niż Langenscheidta, może się tą pomocą posługiwać; ale wobec zniesienia zadań polsko-łacińskich nie wiem, komuby taki słowniczek mógł służyć.

9. Przechodziny do autorów greckich, których wydania mamy już w potrzebnym dla szkoły komplecie. Na samo czoło wysuwa się tu *Homera Odyseja w wyborze, do użytku gimnazjów* wydał Stan. Witkowski, K.-A., XXXI +150+26 s. Wybór z *Odysei* przedstawiał ogromne trudności ze względu na jedność treści i ciągłość kompozycji utworu. Ponadto dzisiejszy uczeń może strawić tylko niewielką ilość ksiąg, choćby z tego powodu, że ma o rok lub więcej krótszą naukę tego języka. Drukować więc można tylko kilka ksiąg, bo większa ilość niepotrzebna w praktyce, a książkę podraża i doszłaby cena do cyfr astronomicznych. Jeszcze trudniej ułożyć wstęp, bo w jednych zakładach czyta się *Odyseję* przed *Iliadą* (pomysł pruski; koniecznie trzeba było coś niemądrego z Prus wprowadzić do naszej szkoły; wobec znakomitej organizacji pruskiej szkoły średniej było to zadanie trudne, ale przecież udało się), w innych odwrotnie. Musi więc wydawca wstęp przemyślnie składać dla różnorakiego stopnia czytelników a tekst skracać i opuszczać niejedno z bólem serca a szkodą dla całości poematu. I tak opuszcza W. z wyjątkiem stu i coś wierszy I ks., całą Telemachję, i ks. XVIII, Apologoi znacznie skraca, a z ksiąg XV, XVII, XX daje tylko małe ustępy. Szczególny żal budzi pokieraszowanie księgi XI, tak że nie można ani jej samej zanalizować ani porównać z VI ks. *Eneidy*. Ale trudno było inaczej. Zresztą VI ks. *Eneidy* także jest w szkolnem wydaniu tak silnie skrócona, że porównywanie idzie bardzo słabo. Pomieszczonych z *Odysei* 4320 w. starczy dla lektury szkolnej i prywatnej i pozwoli nauczycie-

lowi przez szereg lat brać co roku coś innego. W każdym razie uwzględnione jest to, co ma szczególną wartość estetyczną albo dydaktyczną. Wstęp zawiera 7 ustępów: 1. *Wielkość Homera*, 2. *Homer*, 3. *Poezja epiczna przed Homerem*, 4. *Poezja Homerowa*, 5. *Tło historyczne i kulturalne poematów Homera*, 6. *Treść Odysei*, 7. *Znaczenie Homera dla potomności*. W zapatrywaniach swych jest W. unitarystą i zgadza się z poglądami Sinki. Rozwija swe zdanie oczywiście bez balastu uczoności, w rozmiarach poddyktowanych potrzebą szkolną, a w formie jasnej i wyraźnej, w języku zrozumiałym, prostym, bardzo starannym, trzeźwym a pełnym szacunku i zrozumienia dla poezji, choć bez serdecznego ciepła. Przesadny puryzm posunięty nawet do unikania wyrażań takich, jak *plastyka*, choć trzeba przyznać, że równoważniki wyrazów obcych są dobrane szczęśliwie a czystość języka nie wyradza się w manierę. Mam wrażenie, jakoby przy czytaniu odczuwało się, iż wstęp niniejszy jest tylko wyciągiem z obszerniejszego opracowania, którego nie można było w całości wydrukować, by nie podrażać i tak już wysokiej ceny książki. Lepiej możeby było wstęp cały wydrukować w Kwart. Klas. a w szkolnem wydaniu ograniczyć się tylko do tego, co wyłącznie odnosi się do *Odysei* a z czem nie można czekać do poznania *Iljady*. W ten sposób wstęp nie byłby nie stracił, a byłby się dostał do rąk nauczycieli a w odbitkach może i trafił do lepszych uczniów. — W doborze lekcji bądźto w zmianach dyktowanych potrzebą szkolną był wydawca bardzo staranny i oczywiście samodzielny aż do ortografji i interpunkcji włącznie. W kwestjach tekstu i pisowni mocno konserwatywny; o ile nie wchodzi w rachubę względy dydaktyczne, to wybrana lekcja posiada także wartość naukową i może ilustrować zapatrywanie uczonego na pewne zagadnienie homeryckiej krytyki tekstu. Do wydania dodano malutką schludnie wykonaną mapkę Grecji, plany i obrazy, z których najpożyteczniejszy jest przy interpretacji (np. ks. XII) obrazek okrętu. Do inteligencji nauczyciela gimnazjalnego nie ma uczony wydawca wielkiej ufności. Zdaje mu się, że nauczyciel otworzy książkę na pierwszej stronie i każe uczniom wyczytać się pokolei 54 s. wstępu, zanim przystąpi do lektury. Aby się przed tem uchronić, rozważania o technice i artyźmie Homera i historję krytyki homerowej przeniósł do dodatku na końcu książki, tak jakby to była partja dydaktycznie i kompozycyjnie równowartościowa z ustępem pt. *Pałac Odyseusza* i treścią swą usprawiedliwiała umieszczenie jej niedaleko słowniczka imion własnych. Czy dla takich nauczycieli warto łamać ramy książki? W takim razie treść *Odysei* powinna być drukowana w ten sposób, ażeby treść ks. XVIII była drukowana między greckim tekstem ks. XVII i XIX. A jeśli nauczyciel nie dojdzie do s. 151, to nigdy dodatku nie zobaczy i brać go nie będzie. Wydawca i to przewidział, więc dodał do książki półarkuszową broszurkę ze wskazówkami, co i kiedy należy z uczniami przerabiać. Jeżeli więc W. był zdecydowany dodać do swej książki taką broszurkę, to nie trzeba było rozrywać wstępu, lecz poprostu wskazać, w jakim porządku należy ułożyć lekturę tekstu i poszczególnych ustępów wstępu. Korekta nader staranna. W słowniczku imion własnych zauważyłem brak imienia *Ἐρμῆανδρος* potrzebnego dla ks. VI 103. Na s. XXXI opuszczono przekład *Odysei* J. Wittlina (z *Rzeczą o Homerze* R. Ganszyńca, Lwów 1924, nie wiem czy unyślnie. S. XXI w. 13 z góry należy *ponownie* skreślić a zamiast *Kirki* napisać *nimfy Kalipso*; s. 104 obok ostatniego wiersza ks. XVII należy opuścić cyfrę 349.

A. R.

10. Nadto pojawiły się w ostatnich miesiącach: *Homera Iljada do użytku w gimnazjach opracował* Artur Rapaport, K.-A. 1927, wstęp XXXIX, tekst 174 s. (por. oceny Jusa w Kwart. Klas. I 1927, 249 n. i St. Pilcha w Muzeum XLII 1927, 189 n.) i *Wybór z pism Platona I. Apologja-Laches. Opracował* J. K. Jędrzejowski, wyd. III przygotował Artur Rapaport, K.-A. 1927, wstęp XLVIII, tekst 80 s. (por. ocenę St. Pilcha w Kwart. Klas. I 1927, 254 n.) — II. *Menon-Eutyfron. opracował*

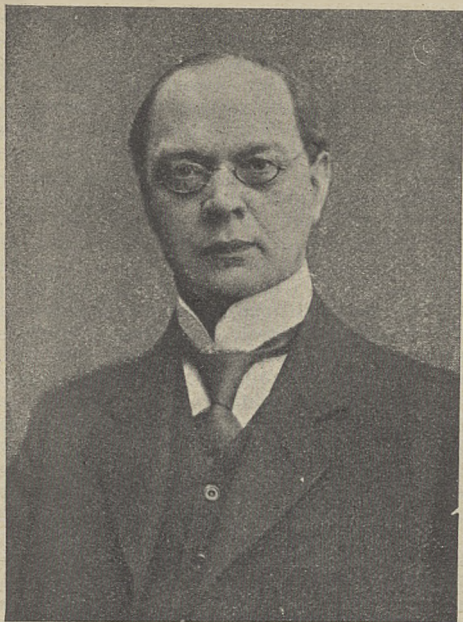
J. K. Jędrzejowski, nowe wydanie przygotował A. Rapaport, K.-A. 1927, 84 s. — III. *Kryton* — *Rzeczpospolita I*. Opracował J. K. Jędrzejowski, nowe wydanie przygotował A. Rapaport, K.-A. 1927, 72 s. — Podobnie jak w tomiku I, tak w II i III każdy dialog poprzedzony jest wstępem, który podając czas i miejsce rozmowy oraz krótki jej przebieg wraz z dyspozycją, ma wprowadzić w lekturę poszczególnych dzieł platońskich. I w tych wstępach znajdują się pewne zwroty, które należałoby wygładzić przy nowem wydaniu. Korekta bardzo starannie przeprowadzona; w *Kritonie* np. zauważyłem tylko 3 usterki drukarskie, a to: VI 23 διομένων τι — XII 3 λέγοντων — XII 6 ἐπιχειρεῖς. Cały wybór z dzieł Platona przedstawia się bardzo korzystnie; ściśle rzecz biorąc, należało w tytule zaznaczyć, że z wydań poprzednich J. K. Jędrzejowskiego przejął wydawca właściwie tylko wstęp, który w wielu miejscach przerobił lub zmienił, natomiast sam wybór, wstępy i dyspozycja do poszczególnych dialogów są pracą nowego wydawcy. Na uwagę zasługują także figury geometryczne, dodane do *Menona* dla uprzystępnienia miejsc czytanych.

St. P.

Sprawozdanie Sekcji Filologicznej Koła Lwowskiego TNSW. Zawiązana w r. 1921 przy Kole Lwowskiem TNSW Sekcja Filologiczna, zrazu pod przewodnictwem prof. dr. Franc. Smolki, a od r. 1925 prof. dr. Stan. Pilcha, zajmuje się zagadnieniami dydaktycznymi i metodycznymi, omawianiem nowych podręczników filologicznych, lekcjami przykładowymi itp. zagadnieniami z zakresu nauczania języków starożytnych w gimnazjach. Mimo ciężkich warunków materialnych, które zmuszają nauczycielstwo do zajęć ubocznych i nieraz uniemożliwiają pracę naukową, na posiedzeniach Sekcji gromadzi się znaczna część filologów lwowskich, zwykle ponad 20 osób, bardzo często przy uczestnictwie przedstawicieli Kuratorjum OS. Posiedzenia odbywają się w sali konferencyjnej gimnazjum żeńsk. im. król. Jadwigi. Na posiedzeniach w r. 1927 omawiano następujące tematy: I w dniu 8 II dyr. Włodz. Bursztyński *Podręczniki do początkowej nauki języka łacińskiego*. Podawszy tezę, którym zadośćuczynić powinien dobry podręcznik do początkowej nauki j. łac. (zajmująca treść z zakresu mitu, historii i kultury starożytnej, ustępy łatwe, przystępne, niedługie, niezbyt obszerny zasób leksykalny), prelegent omówił podręczniki: Scheindlera, Lewickiego i Bednarowskiego. Nowej książce dla kl. I, zpod pióra Bednarowskiego, przyznał duże zalety (zajmująca treść, piękna łacina), jako wady zaś wytknął: duży zasób słówek do poszczególnych ustępów, tak, że w całości jest ich znacznie więcej niż u Lewickiego; ustępy niektóre są za długie i za trudne, nieraz pojawiają się formy czasownikowe, których odmiana nie jest jeszcze podana. Dlatego prelegent, przerabiając tę czytanekę z uczniami, skracał lub opuszczał ustępy. — W dyskusji zabierali głos pp. Pilch, Szczerbański (dwukrotnie), Rapaport, Cyganowa, Smolka, dodając swe spostrzeżenia, oparte przeważnie na praktyce przy stosowaniu tego podręcznika w kl. I lub IV, przyznając, że naogół jest on łatwiejszy od Lewickiego; stawiali także różne życzenia pod adresem obecnego autora, przyjęte przez niego z uznaniem, gdyż zdawał sobie sprawę z pewnych usterek przy wydaniu książki, skrepowany był jednak rękopisem śp. Frączkiewicza. — II w dniu 8 III prof. Stan. Cygan *Nauka języków starożytnych na podstawie instrukcji pruskiego ministerstwa oświaty z r. 1925 (Wskazówki metodyczne)*. Prelegent omówił nowe linje wytyczne do nauki języków starożytnych, ich dodatnie strony, wskazując na pewne postulaty, któreby i u nas z korzyścią dały się wprowadzić, omówił ilość godzin, przeznaczonych na naukę języków starożytnych w różnych typach szkół średnich w Prusiech, porównując je z naszymi stosunkami (odeczyt wydrukowano w *Kwart. Klas.* I 1927, 184 n.). W dyskusji zabierali głos: prof. Szczerbański (dwa razy), dyr. Ulrich, dr. Rapaport, omawiając zadania szkolne i pracę samodzielną uczniów. — III w dniu 5 IV prof. L. Jus i prof. Fr. Smolka *Nowe wydanie *Iljady* (oprac. A. Rapaport)*. Obaj prelegenci, z których pierwszy oceniał rękopis tego nowego podręcznika dla Książnicy-Atlasu, a drugi

dla Min. WR i OP, podnieśli dodatnie strony nowego wydania, przeciwstawiając je dawniej używanemu Scheindlera-Soltyśsika. Wstęp wprawdzie jest obszerny, ale konieczny ze względu na to, że na prowincji często brak nauczycielstwu nowych opracowań kwestji homerowej. Jako braki podnieśli pewne usterki stylistyczne, na co także zwracano uwagę w dyskusji, brak ustępu o uzbrojeniu bohaterów homerowych oraz mapki placu boju, nadto pewne zmiany tekstu, poszczególnych wyrazów lub całych wierszy. W dyskusji zabierali głos pp. Pilch, Szczerbański (typ czcionek), Smolka, Golias, wkońcu wydawca (por. oceny p. Jusa, *Kwart. Klas. I* 1927, 245 n. i Pilcha, *Muzeum XLII* 1927, 189 n.). Po wyczerpaniu porządku dziennego prof. dr. Smolka poruszył sprawę Walnego Zjazdu TNSW w dniu 20 i 21 kwietnia br. oraz nauki łaciny, która miałaby się zaczynać od kl. II i trwać do końca wspólnej podbudowy, tj. do kl. V, a od kl. VI do VIII następowałyby bifurkacja na typ klasyczny z nauką greki i matematyczno-przyrodniczy. W dyskusji ożywionej zabierali głos pp. Ulrich, Willer, Pilch, Rapaport, wiz. Horwath, Smolka, Szczerbański. Wyłonił się wspólny wniosek: *Domagać się, aby przynajmniej pozostały nadal te gimnazja klasyczne, które dotąd są, a w innych, aby greka była przedmiotem nadobowiązkowym, płatnym przez rząd, w wymiarze 3—4 godzin tygodniowo już od kl. III.* Zgodzono się, by nie forsować nauki łaciny od kl. I, gdyż obecny kompromis królewia-ków jest i tak dużym ustępstwem od poprzedniego oporu przeciw nauce języków starożytnych. Wnioski te przedłożono komisji wnioskowej na Walnym Zgromadzeniu TNSW (por. sprawozdanie w *Kwart. Klas. I* 1927, 259 n.). — IV w dniu 4 X i V w dniu 8 XI prof. dr. J. Kowalski *J. Szczepeńskiego, Kultura klasyczna w zarysie.* Omówiwszy zasady, jakich się trzymają recenzenci zagranicą i jakimi sam zamierza się kierować, przyznał, że podręczniki polskie w całości przedstawiają się dodatnio, mają jednak często szczegóły błędne. Poczem pokolei poddał dokładnej analizie nowy zarys kultury klasycznej, wylicząc miejsca, w których należałoby przy II wyd. pewne rzeczy uzupełnić. Wkońcu omówił układ dzieła i ilustracje. W dyskusji dr. Willer dorzucił ciekawe uwagi, naświetlające niektóre działy kultury klasycznej w porównaniu z nowoczesną, dr. Hausknecht podał kilka uzupełnień do kultury mykeńskiej, wiz. Kopacz, witając z radością nowy podręcznik, przestrzegając, by był tylko środkiem pomocniczym, do którego uczeń ma sięgać po wyjaśnienia w razie potrzeby. Wkońcu autor podziękował za życzliwe wskazówki, prosząc, by mu w niedługim czasie pozwolono na osobnym posiedzeniu odpowiedzieć na te uwagi. — VI w dniu 13 XII prof. dr. Marjan Auerbach *Rola gramatyki przy nauczaniu języka łacińskiego w szkole średniej ogólnokształcącej.* Prelegent oświadczył się za ograniczeniem formalnej strony nauczania i mechanizowania form do tego zakresu, który potrzebny jest do lektury, a za wydatniejszym czytaniem autorów i uczeniem na nich gramatyki, zmniejszeniem przekładów z języka polskiego na łaciński (p. *Kwart. Klas. II* 1928, 39—43). W ożywionej dyskusji, w której zabierali głos pp. Ulrich, Willer, Jus, Szczepeński (trzy razy), Szczerbański, Dulemba, Rapaport, Kowalski, sprzeciwili się w s z y s c y wywodom prelegenta, oświadczając się za dwustopniowością w nauce języka łacińskiego: najpierw formalnym (mechanizowaniem form), potem materialnym, przypisując wielką wartość kształceniu formalnemu i mechanizowaniu form, wogóle nauce gramatyki i dokładnej analizie zdań; taka mechanizacja form potrzebna jest również przy nauce języków nowożytnych. Natomiast metoda obserwacyjna, uczenie form i reguł syntaktycznych na tekstach nie osiąga należytego celu. Bez opanowania form i pewnego zasobu słówek uczeń nie będzie mógł samodzielnie pracować. Na zakończenie odpowiedział prelegent, wyjaśniając swój punkt widzenia, godząc się na pewne tezy, w innych uzasadniając swój pogląd.

Członkowie Sekcji Filologicznej prenumerują ze składek własnych *Philologische Wochenschrift*, nadto z funduszów Kola Lwowskiego TNSW *Wiener Blätter für die Freunde der Antike.* ST. P.



1872, studjował 1898—1901 w Niemczech (Berlin, Göttingen, Halle) i podróżował po Grecji, Włoszech, Francji, Anglii, Egipcie; w r. 1912 został mianowany nadzwyczajnym, w r. 1916⁷ profesorem zwyczajnym.

Załączam kilka wyjaśnień do rozprawy. Szkolnictwo norweskie składa się: 1. z 5- lub 7-letniej szkoły ludowej, 2. z 4- lub 3-letniej szkoły średniej ogólnokształcącej i 3. z 3-letniego gimnazjum. S. 4 *Truczna* Kiełlanda wyszła w r. 1883; s. 5 dyrektorem był Horst, mało znany polityk liberalny; — namiętny wróg łaciny to wybitny działacz społeczny i polityk Rudberg; jego syn Gunnar R. jest obecnie profesorem filologii łacińskiej w Oslo; s. 8. ów geolog to W. C. Brögger, obecny prezydent akademii norweskiej i inicjator funduszu in. Nansena; s. 12 *πάθος* z Aischyl. *Agam.* 176 Maz.: *προκόπτων* Epiktet. I 4,1. — Norweskie Ministerstwo WR i OP raczyło nam dać następujące dane statystyczne porównawcze: W r. 1895 ogólna liczba gimnazjów wyniosła 20 (14 państw., 1 miejskie, 5 pryw.): 10 typu realnego i klasycznego, 10 tylko klasycznego. Liczba uczniów: 471 realistów, 374 klasyków, razem 855. Typu „angielskiego“ wówczas jeszcze nie było. W r. 1916 było 34 gimnazjów (15 państw., 11 miejskich, 8 pryw.): 30 typu realnego, 23 typu angielskiego, 17 humanistycznego (13 gimnazjów miało po 3 typy, 10 typ realny i angielski, 4 typ realny i humanistyczny, 3 tylko realny). Liczba uczniów w 2 i 3 klasie: 1097 realistów, 410 anglistów, 578 humanistów, przytem w klasie I (gdzie jeszcze nie było zróżnicowania typów) 1311 — razem 3396 (2368 chłopców, 1028 dziewcząt). W r. 1920 (po reformie) było 41 gimnazjów (15 państw., 21 miejskich, 5 pryw.): 38 typu realn., 32 t. ang., 25 t. klasycznego (17 gimn. miało po 3 typy, 13 typ realny i ang., 7 typ realny i klas., 1 tylko realny, 2 tylko ang., 1 tylko klasyczny). Liczba uczniów: 2055 realistów, 860 anglistów, 1325 klasyków — razem 4210 (3056 chłopców, 1154 dziewcząt). W r. 1927 było 51 gimnazjów (17 państw., z tych 3 z językiem narodowym [landsmal], 29 miejskich, 5 pryw.). Liczba uczniów: 1002 realistów, 496 anglistów, 900 klasyków — razem 2398. Wynika stąd, że mimo bardzo niekorzystnych warunków studia klasyczne w Norwegii wzięły obecnie stanowczo górę.

Studia klasyczne w Norwegji. Norwegja zniosła w r. 1896 naukę łaciny i greki w swoich gimnazjach, a w r. 1917, kiedy ministrem oświaty był nauczyciel ludowy, a większość sejmu radykalno-socjalistyczna, znowu ją zaprowadziła; dalej Norwegja rozszerza dotychczasowe 3-letnie gimnazjum do 5-letniego — kroczy więc w kierunku wyraźnie przeciwnym od zamiarów naszego Ministerstwa Oświaty. Na prośbę redakcji opisał profesor filologii w Oslo, p. Samuel Eitrem, dla *Kwart. Klas.* przebieg walki. P. Eitrem należy do najwybitniejszych uczonych na polu historii religii starożytnej (wydał np. *Kathartisches und Rituelles, Opferritus und Voropfer der Griechen und Römer* 1915, *Eine christliche Inschrift aus Chios* 1910, *Papyri Osloenses I* 1925, *Symbolae Osloenses I—VI* itd.); urodzony 28 grudnia

.....

Société d'Édition „LES BELLES LETTRES“
95, Boulevard Raspail, P A R I S VI^e

.....

COLLECTIONS GUILLAUME BUDÉ

Sous le patronage de l'Association GUILLAUME BUDÉ,
 la Société d'Édition „LES BELLES LETTRES“ publie:

Une collection complète de tous les auteurs grecs et latins, comportant le texte, la traduction française en regard, une introduction, un apparat critique et des notes.

Des Collections de Commentaires d'auteurs anciens
 de bibliographie classique
 d'Études anciennes
 de Textes et documents
 du Monde romain
 du Monde hellénique
 de littérature néo-hellénique
 une Collection byzantine

Plus de 200 volumes ont déjà paru de ces différentes collections.

La Librairie GUILLAUME BUDÉ est un centre de renseignements bibliographiques. On y trouve non seulement les renseignements, mais on peut encore y trouver tous les livres qui concernent notamment la philologie ancienne et ses sciences annexes et d'une manière générale les études littéraires, historiques, artistiques et philosophiques.

.....

KSIĄŻNICA-ATLAS T. N. S. W.

LWÓW, CZARNECKIEGO 12 — WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 59

===== p o l e c a : =====

Platon: **WYBÓR DZIEŁ**

W opr. J. Jędrzejowskiego i A. Rapaporta.

Celem umożliwienia łatwiejszego nabycia pism tego autora, z których tylko niektóre uwzględnia się w nauce szkolnej, rozbito wydanie poprzednie na trzy części, zawierające:

CZ. I. APOLOGJĘ i LACHESA zł 3-20

CZ. II. MENONA i EUTYFRONA zł 3-—

CZ. III. KRITONA i RZECZPOSPOLITĄ zł 2-80

Kto się z tem wydaniem zapoznał, ten rozumie wyższość jego nad innemi, podobnemi, niedorównującemi mu jednak zupełnie. Nazwisko filologa lwowskiego, który się wydania tego podjął, znanego nie tylko ze swej fachowej sumienności i skrupulatności, lecz także z wybornego pióra i walorów metodycznych, mówi samo za siebie.

Homer: **ODYSEJA**

W opr. St. Witkowskiego.

Str. XXXII + 176. Z ilustracjami. Zł 6-40.

Homer: **ILJADA**

W opr. A. Rappaporta.

Str. XL + 176. Zł 5-40.

Oba te wydawnictwa, zamykające całość dzieł Homerowych, czytanych w gimnazjach, staną się niewątpliwie podwaliną nowego traktowania tego autora w nauce szkolnej. Uwzględnienie w szerokiej mierze motywów kulturalnych, plastyczne ujęcie osobistości Homera, trafne a wzięte przedstawienie zagadnień językowych, wysunięcie znaczenia Homera dla literatury polskiej na plan pierwszy i szereg innych kwestyj, poruszanych we wstępach do obu dzieł, nadają wydawnictwom tym takie walory, jakimi żadne inne opracowanie poszczycić się nie może.

Do dzieł Homera ukaże się w ciągu nowego roku szkolnego specjalny słownik.

SZKOLNY ATLAS HISTORYCZNY

J. Natanson-Leski: CZ. I. DZIEJE STAROŻYTNE. 5 mapek. Zł 7-50.

Treść: I. Ludy rasy białej. a. Wschód starożytny w przeddzień powstania państwa perskiego 1 : 15,000.000; b. Ludy rasy białej w VII w. przed Chr. 1 : 60,000.000; c. Palestyna 1 : 2,500.000; d. Jerozolima 1 : 25.000. —

II. Grecja w epoce wojen perskich. a. Grecja w epoce wojen perskich 1 : 3,000.000; b. Ateny starożytne 1 : 50.000; c. Akropol za Peryklesa 1 : 7.500; d. Okolice Aten 1 : 300.000; e. Wojna Peloponeska 1 : 15,000.000. —

III. Epoka Aleksandra Wielkiego. a. Świat grecki i Wschód zhellenizowany przed podbojem rzymskim 1 : 25,000.000; b. Epoka Aleksandra Wielkiego 1 : 17,000.000; c. Ojkumene według Herodota; d. Ojkumene według Eratostenesa. —

IV. Italja za Rzeczypospolitej. a. Ludy Italji w VI w. przed Chr. 1 : 9,000.000; b. Italja za Rzeczypospolitej 1 : 4,000.000; c. Rzym starożytny 1 : 50.000; d. Kapitol i Palatyn 1 : 12.500; e. Okolice Rzymu 1 : 750.000. —

V. Cesarstwo rzymskie. a. Cesarstwo rzymskie 1 : 15,000.000; b. Fragment tzw. Tabula Peutingeriana.

Pojedyńcze mapki osobno do nabycia w cenie à zł. 1-50.

KSIĄŻNICA-ATLAS T. N. S. W.

LWÓW, CZARNIECKIEGO 12 — WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 59

poleca wydawnictwa:

<i>Caesar.</i> Commentarii de bello Gallico, oprac. F. Terlikowski	3:40
<i>Cicero.</i> Wybór mów, Cz. I., opr. J. Szczepański	3:20
— Wybór mów, Cz. II., opr. J. Szczepański	2:30
— Wybór mów, Cz. III., opr. J. Szczepański	2:60
— Wybór z pism filizoficznych, opr. J. Szczepański	3:60
<i>Cybulski S.</i> Poezja łacińska w pieśni	2:50
<i>Danysz A.</i> Materiały do kompozycji łac. dla klas wyższ.	1:25
<i>Eurypides.</i> Medea, opr. J. Oko	1:40
<i>Fiderer E.</i> Gramatyka grecka	2:40
<i>Bednarowski i Frączkiewicz.</i> Pierwsza książka łacińska .	3:80
<i>Bednarowski i Frączkiewicz A.</i> Druga książka łacińska .	4:30
<i>Homer.</i> Iljada, opr. A. Rapaport	5:40
— Odyseja, opr. S. Witkowski	6:40
<i>Horatius.</i> Wybór pism, opr. T. Sinko	7:20
<i>Ksenofont.</i> Wybór z pism, opr. A. Bednarowski	6:40
<i>Livius.</i> Dzieje rzymskie, opr. J. Jędrzejowski i A. Rapaport	4:60
<i>Ovidius.</i> Wiązanka wierszy, opr. T. Sinko	4:—
<i>Pilch S.</i> Preparacja do Wergiljusza. Cz. I. zł. 1:50, Cz. II. . 3:—, Cz. III.	1:50
<i>Platon.</i> Obrona Sokratesa. Tłum. W. Witwickiego	1:20
— Wybór z pism Cz. I. Apologia. Laches. Opr. J. Jędrzejowski i A. Rapaport	3:20
— Wybór z pism. Cz. II. Eutyfron. Menon. Opr. J. Jędrzejowski i A. Rapaport	3:—
— Wybór z pism Cz. III. Kriton. Rzeczpospolita. Opr. J. Jędrzejowski i A. Rapaport	2:80
<i>Plutarch.</i> Żywoty Cicerona i Demostenesa, opr. F. Nagórzański	1:50
<i>Rapaport A.</i> Słowniczek do utworów z Wiązanki wierszy Owidjusza, nieuwzgl. przez Terlikowskiego	3:60
<i>Sallustius.</i> Bellum Iugurthinum, opr. A. Rapaport	2:—
— De coniuratione Catilinae, opr. A. Rapaport	1:20
<i>Samolewicz Z. i Soltysik L.</i> Gramatyka łac. II. Składnia	4:80
<i>Seneca.</i> Listy moralne do Lucyljusza oraz Księga o sposobach na przypadki, przeł. M. Olszowski	1:20
<i>Strycharski I.</i> Komentarz do wyboru pism Horacego Cz. I. zł. 2:— Cz. II. 3:— Cz. III.	4:50
<i>Szczepański J.</i> Wypisy łacińskie	4:—
<i>Szczepański J. i Pilch St.</i> Ćwiczenia polsko-łacińskie	4:—
<i>Tacyt.</i> Wybór z pism, opr. S. Pilch	3:20
<i>Terlikowski J.</i> Słowniczek do wiązanki wierszy Owidjusza	1:20
— Słowniczek do Caesara, Commentarii	2:—
<i>Vergilius.</i> Wybór z dzieł, opr. T. Sinko	4:70
<i>Winkowski i Taborski.</i> Ćwiczenia greckie	4:20



Nakładem

K. S. Jakubowskiego Spółki z ogr. odp.

we Lwowie, ul. Piekarska 11

wyszedł świeżo tom drugi podręcznika p. t.:

Dr. JAN DĄBROWSKI

Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego

**W I A D O M O Ś C I
Z D Z I E J Ó W P O L S K I**

Wraz z wydanym poprzednio tomem pierwszym obejmuje on historję Polski od początków aż do konstytucji trzeciego maja, zgodnie z programem nauczania w pierwszej i drugiej klasie gimnazjalnej, dla których podręcznik ten jest przeznaczony. Przeszłość Polski ujęta została w krótkich, żywych i barwnych ustępach, w których uwzględniono nietylko dzieje polityczne, lecz także zjawiska kulturalne i gospodarcze. Bardzo liczne ilustracje dopomagają do zaznajomienia ucznia z życiem dawnej Polski.

Cena egzemplarza pierwszego tomu	zł. 2·80
„ „ drugiego „	„ 3·20

Do nabycia przez wszystkie księgarnie



Programem Kwartalnika Klasycznego objęta jest metodologia i dydaktyka nauk filologicznych, przegląd badań, bibliografia i kronika ważniejszych wydarzeń w świecie filologicznym.

Kwartalnik Klasyczny nie wzoruje się na organach zagranicznych. Zewnętrznie wyróżnia go wprowadzenie ilustracji, co mają dotąd jedynie czasopisma, poświęcone archeologii i historii sztuki, wewnętrznie zespół informacji naukowych na sposób *Bursians Berichte*, ale w formie dogodniejszej, z rozległej niż gdziekolwiek uwzględnioną dydaktyką. Wszystko uczyniono, by filolog nasz znalazł w jednym organie to, czego dotąd musiał szukać po różnych czasopismach, dla zorientowania się w postępach nauki i metodzie nauczania.

Prenumerata roczna wynosi 16 zł.; zniżenie tej kwoty do 12 zł. otrzymają ci abonenci, którzy powyższą kwotę nadesłali w terminie do 1 lutego 1928 pod adresem skarbnika (p. Marjan Golias, Lwów, ul. św. Zofji 22) lub czekiem PKO Warszawa 153.380. Cena rocznika I 1927 wynosi 16 zł. Cena pojedynczego zeszytu 4:50 zł.

Adres redakcji: prof. R. Ganszyniec, Lwów, ul. Potockiego 20.

Adres skarbnika: prof. M. Golias, Lwów, ul. św. Zofji 22.

Prenumeratę uprasza się przesyłać czekiem PKO Warszawa 153.380.

Następne zeszyty przyniosą m. i.: A. Bednarowski, Nowe metody nauczania języków klasycznych w gimnazjach, Wł. Chodaczek, Zagadnienie łaciny potocznej, St. Cygan, Próbną lekcją gramatyki łacińskiej w klasie IV, R. Gostkowski, Siedem cudów świata, M. Gumowski, Początki monety w Rzymie w świetle najnowszych badań, S. Hammer, Pedagogiczna działalność Michała Psellosa, V. Molé, Sztuka bizantyjska, J. Nagórzański, W jakim zakresie należałoby stosować w nauce gimnazjalnej wiadomości z lingwistyki, H. Nowicka, Homerowe przydawki zdobnicze w przekładach polskich, St. Pilch, Lekcje praktyczne z Horacego (*Epod. 7. C. I 14. 34*), St. Przeworski, Piśmiennictwo hetyckie; Świat Egei, A. Rapaport, Horacy w szkole, St. Rzepiński, Z praktyki szkolnej, T. Sinko, Dyscyplinaryzm i realizm w szkole, R. Skulski, O współpracy nauczyciela języka polskiego z nauczycielem języków starożytnych, St. Szober, Wartość kulturalna filologii w nauczaniu szkolnym, J. Wołyński, Dzieje nauczania języków klasycznych w b. Kongresówce.

Celem rozpowszechnienia wśród młodzieży szkolnej i społeczeństwa redakcja wydaje odbitki niektórych rozpraw, a mianowicie:

Polskie Towarzystwo Filologiczne w sprawie Projektu Ustawy o ustroju szkolnictwa,

St. Baldwin, Klasycy a zwykły człowiek,

C. Coolidge, Studja klasyczne a Ameryka,

A. France, W obronie łaciny,

R. Gostkowski, Wykopaliska w Pompei (*z 17 ryc.*),

M. Popławski, O przekładaniu i przekładach,

W. Śmiałek, Tradycje kultury i szkoły łacińskiej w Polsce.

T. Zieliński, O czytaniu mów sądowych Cycerona w szkole.

Nabyć je można w dowolnej ilości od administracji (prof. Marjan Golias, Lwów, ul. św. Zofji 22) po cenie 50 gr. za egzemplarz.

